Polacy odpoczywają za granicą ▪ Znikające akademiki ▪ Meloni dzieli i rządzi
Łobuzy pójdą do nieba ▪ Zakazane szczyty Cambridge ▪ O czym trąbią słonie

Kraków 26 czerwca – 2 lipca 2024 nr 26 (3912) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne TygodnikPowszechny.pl

ABP MAREK JĘDRASZEWSKI ODCHODZI

Kto po nim posprząta

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Wakacje są zawsze po to, by odpocząć. By zwolnić, przyjrzeć się czemuś nowemu, wyjść poza granice swojej codzienności. By zatrzymać myśli.

W tym zatrzymaniu myśli nasze nowe wydanie specjalne będzie dobrą pomocą.

– Michał Okoński, redaktor „Tygodnika Powszechnego”

E-WYDANIE:
powszech.net/szerokiejdrogi

Wydanie Specjalne „Tygodnika Powszechnego”
w dobrych miejscach z prasą

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA

KS. ADAM

Boniecki: *Cokolwiek potem z nami będzie*

Rozmowa z Justyną Bednarek pt. „Łobuzy pójdą do nieba” jest nie tylko dla tych, którzy się tam wybierają. Autorka książek dla dzieci w każdym wieku mówi: „Nie mam recepty na życie. Każdego dnia popełniam błędy, więc z jakich racji miałabym tłumaczyć innym, jak postępować? Lepiej przyjrzeć się wspólnie różnym problemom, a potem każdy, na własny rachunek, znajdzie dobrą odpowiedź”. Tak może powiedzieć tylko ktoś, kto naprawdę czuje świat i go lubi. Zastanawiam się więc nad problemami jej bliskimi, lecz tylko nieco związanymi z jej pisaniem.

Zastanawiam się też nad tymi, którzy nigdy – niezależnie od wieku – nie odnoszą się do „życia po życiu”. Nad tymi, dla których śmierć jest po prostu końcem. Spotykałem i spotykam ich wciąż. Oczywiście nie wiem, czy gdzieś w głębi serca nie żywią nadziei na dalszy ciąg swojej egzystencji, choć przyznam, że wątpię. Czasem są to ludzie życiowo bardzo doświadczeni. Wiedzą, że „nic potem nie będzie”, i nie ma z nimi dyskusji, a jeśli nawet, to moje szanse w niej są słabe, bo przeświadczenie kresu istnienia jest u nich wystarczająco silne. Zadaję sobie pytanie (raczej zadawałem, bo dziś sądzę, że znam odpowiedź), czy to jest sprawa argumentów, czy pewności, która dla ugruntowania się dobiera argumenty. Argumenty przemawiające za tym, że śmierć to kres, są na tyle mocne, że te przeciwne zdają się bezsilne. Pozostaje więc czekanie. A wierzącym – przekonanie, że uczciwa wiara zawsze jest więcej warta aniżeli udawanie, więc i po tamtej stronie jakoś to ocenią.

Jest jednak z drugiej strony świadectwo, którego nie sposób lekceważyć. Są ludzie, którzy żyli albo żyją wiarą (nie mówię o wmawianiu w siebie czy udawaniu – to w zderzeniu z nadchodzącą śmiercią traci na sile lub całkiem wyparowuje) i wiedzą, że jest, czasem wręcz widzą dalszy ciąg istnienia „po tamtej stronie”. Trudno udawać, że tego (czasem) nie ma u odchodzących. Wiara w obliczu śmierci u tych ludzi jest właściwie pewnością, czymś niezachwianym i zdumiewającym. Nie ma to wiele wspólnego z grubymi tomami dzieł teologicznych, z wykładami profesjonalnych ekspertów nauki o Bogu, ale jest pewnością dającą odchodzącym spokój, a nawet radość. Tak, nie ma to nic wspólnego z wiedzą teologiczną, w każdym razie ma się nijak do formacji w tym zakresie.

Często ludzie umierający mają pewność spotkania „tam” ludzi zmarłych, których kochali, a którzy odeszli wcześniej. O ile jest zrozumiałe myślenie w chwili umierania o sobie i o tych, którzy zostają, a nawet o tych, którzy umarli niedawno, to zaskakuje pamięć o ludziach w jakimś sensie dalekich. Przedziwne są te działające w chwili śmierci mechanizmy pamięci. Daleki jestem od namawiania do wiary w ingerencje zmarłych w nasze życie, jednak i ten element jest wpisany w nasze eschatologiczne doświadczenie.

Oczywiście nie wiemy, jak to będzie. Zaawansowana długowieczność niczego nie gwarantuje. Co do jednego można chyba mieć nadzieję, że jeśli – jak wierzymy – istnieje jakaś rzeczywistość po tamtej stronie śmierci, to dobry Bóg, nie dziwiąc się naszemu niedowiarstwu, otworzy nam bramy na swoje łąki zielone, na niewyobrażalną szczęśliwość poza czasem, jaki znamy. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

90. BONIECKI

zapytaj Adama

Ks. Adam Boniecki obchodzi w lipcu dziewięćdziesiąte urodziny

Poprosiliśmy redaktora seniora naszego pisma, żeby przy tej okazji zrobił nam wszystkim prezent i odpowiedział na kilka pytań. Nie naszych – Twoich.

Żeby je zadać, napisz na: zapytajAdama@tygodnikpowszechny.pl
W treści maila powinno znajdować się oczywiście pytanie do Jubilata, ale i kilka słów o Tobie. Wybrane pytania i odpowiedzi na nie przeczytacie na www.TygodnikPowszechny.pl | **Jubilat czeka na pytania do 10 lipca 2024 r.! Nie zwlekaj!**

20
Palma aspiracji
JAKUB DYMEK
Na urlopie rywalizujemy o pozycję, toczymy walkę klas i szukamy swojego miejsca w Europie.

29
Szukam pracy na wakacje
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK
Tysiące uczniów szkół średnich nie czekały na ostatni dzwonek zwiastujący wakacje, tylko ruszyły do pracy sezonowej w restauracjach, na plantacjach owoców, w turystyce i budowlance. Wielu pracuje „na czarno”.

51 Wyścig między biegunami
ROZMOWA Z KLAUSEM DODDSEM, BRYTYJSKIM EKSPERTEM OD REJONÓW POLARNYCH:
Na Zachodzie długo dominowało myślenie, że Arktyka i Antarktyda mogą być wolne od napięć geopolitycznych. Było to złudzenie.

42
Giorgia rządzi
PAWEŁ BRAVO
Po dwóch latach dominowania we włoskiej polityce – toksycznej, zmaskulinizowanej i nieraz dosłownie zabójczej – Giorgia Meloni dowodzi, że jest nieprzeciętnie odporna.

64
Zakłócacz
BARTOSZ SADULSKI
Stefan Hertmans zamieszkał w gmachu zbudowanym ze słów przodków, a następnie zdarł podłogi i tapety, uwolnił duchy, a więźniom pozwolił mówić.

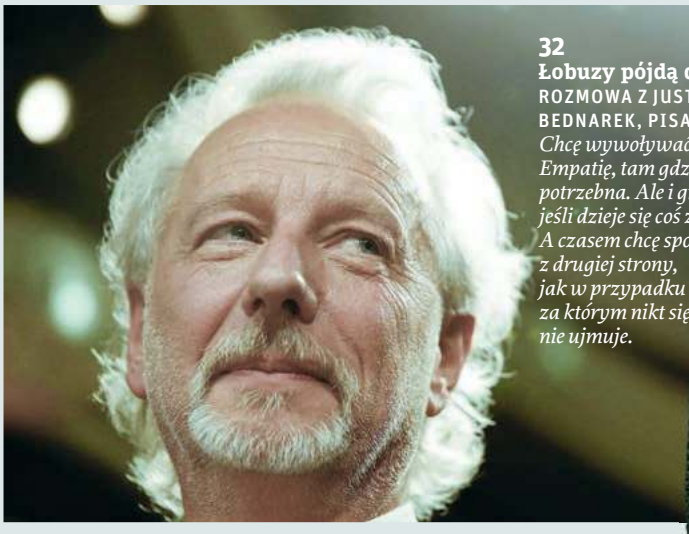

32
Łobuzy pójdą do nieba
ROZMOWA Z JUSTYNĄ BEDNAREK, PISARKĄ:
Chcę wywoływać uczucia. Empatię, tam gdzie jest potrzebna. Ale i gniew, jeśli dzieje się coś złego. A czasem chcę spojrzeć z drugiej strony, jak w przypadku tego węża, za którym nikt się nie ujmuje.

OMAR MARQUES / ANADOLU / EAST NEWS // CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL // IPA / BACKGRID / FORUM // ANNA SALAMON / MATERIAŁY PRASOWE // BAS CZERWINSKI / EPA / PAP // EKATERINA ANISIMOVA / AFP / EAST NEWS

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Rodzinna Europa
MICHAŁ OKOŃSKI

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Palma aspiracji
JAKUB DYMEK

24 Pogoń Konfederacji
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Konfederacja może się stać głównym ugrupowaniem na prawicy*

26 Wojna i pokoje
MAREK RABIJ: *Jak poradzić sobie z brakiem miejsc w akademikach?*

29 Szukam pracy na wakacje
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

■ ■ WIARA

32 Łobuzy pójdą do nieba
ROZMOWA Z JUSTYNĄ BEDNAREK

36 Drogi łagodności
JACEK TARAN: *Ponad 150 zawodników walczyło w Płocku o Puchar Polski w dżudo. Wygrał pochodzący z Ukrainy jezuita o. Vitaliy Osmolovskyy*

38 Przewodnik po modlitwie
MAREK KITA: *Dobrze jest posiedzieć w ciszy i bezruchu, jakbyśmy się opalali w niewyczuwalnych promieniach*

■ ■ ŚWIAT

42 Giorgia rządzi
PAWEŁ BRAVO

45 Brytania skręca na lewo
PATRYCJA BUKALSKA: *„Czas na zmianę" – obiecuje lider brytyjskiej Partii Pracy. Jej wygrana w przedterminowych wyborach, zaplanowanych na 4 lipca, wydaje się pewna*

48 Trybuni ludów
SZYMON ŁUCYK: *Nad Sekwaną karty rozdają dziś populiści*

TEMAT TYGODNIKA

ADAM BURAKOWSKI / EAST NEWS

12 Kto posprząta po metropolicie
ARTUR SPORNIAK, EDWARD AUGUSTYN

Największy wpływ na nominację następcy abp. Jędraszewskiego mają nuncjusz abp Antonio Guido Filipazzi i kard. Grzegorz Ryś. Gdyby wybór zależał tylko od predyspozycji, liderem krakowskiego Kościoła mógłby zostać bp Damian Muskus.

■ FELIETONY ■

41 WOJCIECH BONOWICZ
76 OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
ABP MAREK JĘDRASZEWSKI, KWIECIEŃ 2024 R.
FOT.: FILIP RADWAŃSKI / FORUM

Redaktorka prowadząca:
MONIKA OCHĘDOWSKA

50 Ludzie czują się dziś zdradzeni
IAIN MACWHIRTER, BYŁY REKTOR UNIWERSYTETU W EDYNBURGU, KOMENTATOR POLITYCZNY: *Brytyjczycy koncentrują się dziś mentalnie coraz bardziej na własnych wyspiarskich problemach*

51 Wyścig między biegunami
MARTA ZDZIEBORSKA *rozmawia z brytyjskim ekspertem od rejonów polarnych*

■ ■ HISTORIA

54 Powieśmy te dumne pany
PIOTR SAUTER-ZAWADZKI: *Tadeusz Kościuszki wyśnił sobie, że w walce o wolność zjednoczy się zgodnie cały naród. 230 lat temu jego idealizm zderzył się z gniewem ludu*

■ ■ NAUKA

58 O czym trąbią słonie
ROZMOWA Z DANIELĄ HEDWIG, BIOAKUSTYCZKĄ

■ ■ KULTURA

64 Zakłócacz
BARTOSZ SADULSKI

68 W pozie sprzeciwu
DARIUSZ KOSIŃSKI: *W naszych codziennych ruchach i gestach Akademia Ruchu odkrywała formy bezradnego pogodzenia. Obchody jej pięćdziesięciolecia zorganizowała właśnie Komuna Warszawa*

70 Magazyn marzeń
PIOTR KOSIEWSKI: *Wystawa w warszawskim Muzeum Narodowym jest okazją do postawienia pytania o aktualność polskiego surrealizmu*

74 Za barem
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „The Royal Hotel"*

75 Jasność i czerń
LEKTOR *o „Sublokatorce" Hanny Krall*

■ ■ ZMYSŁY

78 Zakazane szlaki
ADAM ROBIŃSKI *o drugim życiu dachów Cambridge*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Dyplomatyczna kontrofensywa Ukrainy
Od roku Ukraina wysyła do Afryki zboże jako pomoc żywnościową. Kijów otwiera też w Afryce kolejne ambasady – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | **TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata**

Niepoprawny dziadek wspiera zbuntowanego wnuka
ANITA PIOTROWSKA ogląda film „Armagedon" z Anthonym Hopkinsem – *o ponadpokoleniowej więzi silniejszej niż bezwzględna rzeczywistość* | **TygodnikPowszechny.pl/weekend**

Wybierz swoją prenumeratę... ... na stronie 63

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

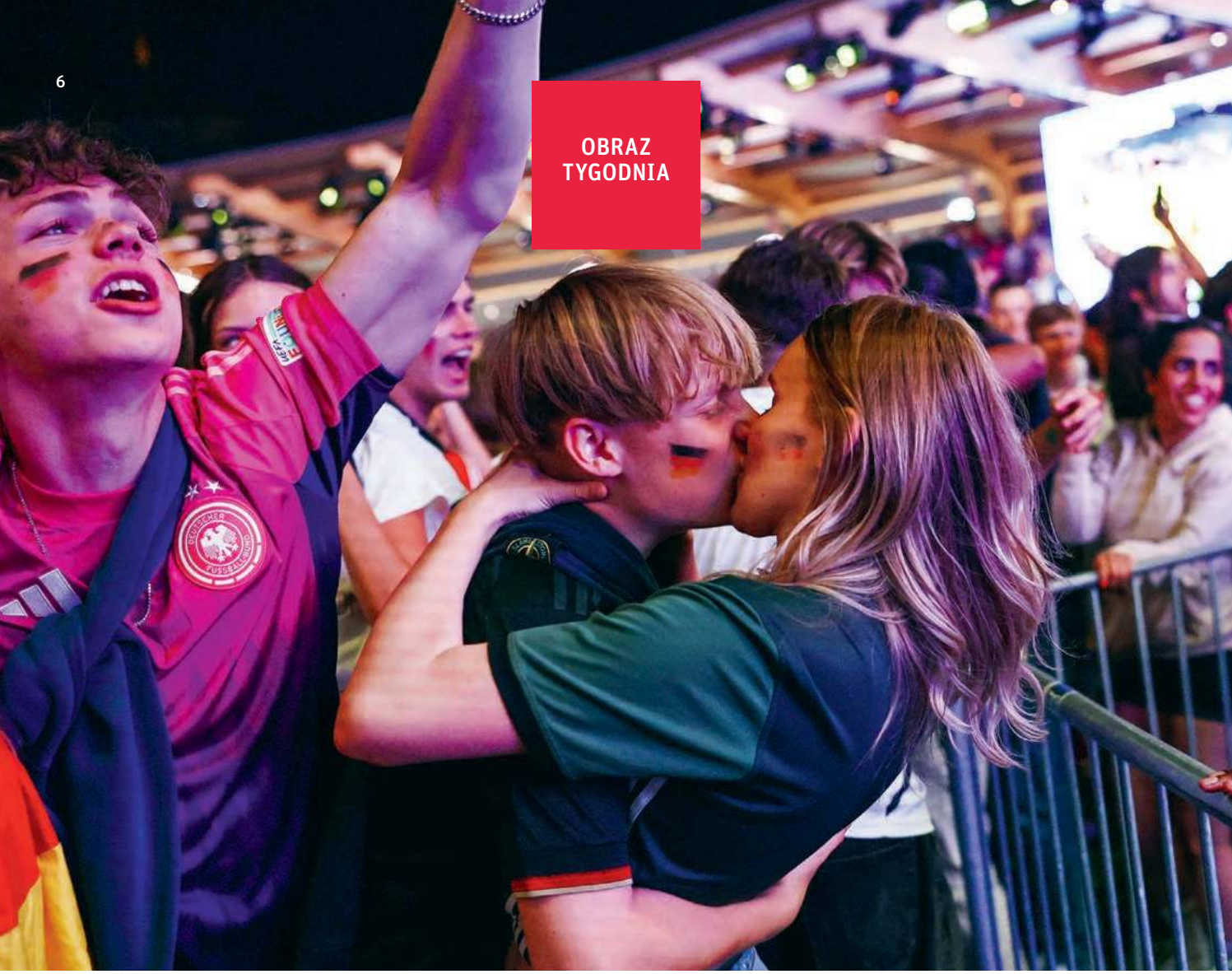

RODZINNA EUROPA

Dzięki piłkarskiemu turniejowi przeżywamy czas karnawału. Pod narodowymi flagami, ale bez nacjonalistycznych skrajności, oglądamy świetne mecze.

MICHAŁ OKOŃSKI

POWYŻEJ:
Kibice Niemiec świętują po tym, jak Niclas Füllkrug strzelił gola w meczu przeciwko Szwajcarii na Euro 2024. Berlin, 23 czerwca 2024 r.

Dwóch młodych kuzynów piłkarza reprezentacji Szkocji Johna McGinna mieszka w węgierskim Sopronu. Ich ojciec jest Szkotem, matka Węgierką i choć obaj urodzili się w ojczyźnie taty, w kwestiach kibicowskich są podzieleni: Márk kibicuje Szkotom, Támas Węgrom. „Mam nadzieję, że młody Támas będzie w poniedziałek smutny" – mówił McGinn przed meczem z Węgrami.

Intensywnością dziecięcych emocji piłkarz grający na co dzień w Aston Villi nie był wcale zdumiony: sam przyznał, że bardziej niż awans jego macierzystego klubu do Ligi Mistrzów (pierwszy raz w historii tych najbardziej lukratywnych rozgrywek na kontynencie) ucieszył go wyjazd z drużyną narodową na mistrzostwa Europy. „Tego nie da się z niczym porównać", mówił, nawiązując do pokazywanych przez media całego świata obrazków tysięcy roztańczonych Szkotów w kiltach i z dudami, opanowujących centra kolejnych niemieckich miast. A rozterki jego kuzynów podzielały rodziny turecko-niemieckie, szwajcarsko-albańskie itd. – wieloetniczność grających tu drużyn odbija europejską rzeczywistość.

SZKOCJA BYŁA PIŁKARSKO NAJSŁABSZA NA TURNIEJU – w zdaniu tym czytelnik znajdzie także ocenę występu reprezentacji Polski, a przede wszystkim emocji targających naszą opinią publiczną, w której jeden niezły, choć przegrany mecz z Holendrami rozbudził nadzieje nie do spełnienia. To temat na inny czas: cóż takiego robi z nami oglądanie futbolu, że gubimy wszelkie

proporcje w osądach. Selekcjoner Michał Probierz objął drużynę pod koniec katastrofalnych eliminacji, wywalczył z nią awans na Euro, w dwóch sparingach przed turniejem, a nawet w jego trakcie pokazywał chwilami, że ona chce i potrafi grać niezły futbol – trzeba pozwolić pracować mu dalej, wstrzymując się ze skrajnymi opiniami po konfrontacji z dużo mocniejszymi i o wiele stabilniejszymi zespołami Austrii i Francji.

Zarazem Szkoci są dobrym przykładem tego, czym dla Europejczyków są obecne mistrzostwa. Zmęczeni pandemią, wojną, kryzysem migracyjnym i niepokojami wywołanymi wynikami wyborów do Parlamentu Europejskiego, mieszkańcy kontynentu nie próbują zapominać o żadnym z tych zjawisk. Nie bardzo się zresztą da, skoro wśród uczestników Euro są również Ukraińcy, a po ich wygranej ze Słowacją prezydent Zełenski daje reprezentację swojego kraju za przykład radzenia sobie z trudnościami (pierwszy mecz przegrała z Rumunią). I skoro wielu reprezentantów Francji, z najsłynniejszym wśród nich, będącym skądinąd dzieckiem dwojga migrantów Kylianem Mbappé, wzywa młodych rodaków do pójścia na wybory i głosowania przeciwko kandydatom skrajnej prawicy.

NAWET JEŚLI ZA CHWILĘ CZEKA NAS POWRÓT POSTU – dzięki piłkarskim mistrzostwom Europy przeżywamy czas karnawału. Karnawału pod narodowymi flagami i w akompaniamencie hymnów, ale bez nacjonalistycznych skrajności: kibicowskie oprawy służą tu raczej prezentacji folkloru, na ulicach niemieckich miast mieszają się tłumy w koszulkach swoich reprezentacji, ale do aktów przemocy w zasadzie nie dochodzi. Nawet jeśli piwo leje się strumieniami, pozaboiskowa rywalizacja sprowadza się do haseł typu „Nasz gulasz jest lepszy niż wasze fondue" albo „Balaton jest większy od Loch Ness". Ponad połowa Niemców badanych przez instytut YouGov określa nastrój panujący w kraju jako „radosny" lub wręcz „euforyczny".

Trudno się dziwić: jeszcze przed turniejem jego gospodarze spodziewali się ok. 2,7 mln widzów na stadionach i 7 mln w strefach kibica, ale liczby te będą wyższe: samych Szkotów przyjechało 200 tys., choć ich federacji przydzielono na każde ze spotkań ledwie 10 tys. wejściówek. Transmisje telewizyjne biją rekordy oglądalności, serwery TVP podczas meczów Polaków nie wytrzymały skali zainteresowania relacją w internecie. Każdą z tych liczb można przełożyć na pieniądze ze zwiększonej konsumpcji, z turystyki, z reklam.

KIBICE MAJĄ CO ŚWIĘTOWAĆ. Wbrew obawom związanym z powiększeniem – również z powodów komercyjnych, żeby rozegrać więcej meczów – liczby uczestników turnieju do 24, wbrew przestrogom, że piłkarze będą przemęczeni po wyczerpującym sezonie, faza grupowa Euro stała na fantastycznym poziomie. Padało wiele bramek (zwłaszcza tych najpiękniejszych, strzelanych zza linii pola karnego), poprawił się poziom sędziowania, a stopień technicznego zaawansowania gry Niemców czy Hiszpanów przykuwał uwagę ekspertów. Zachwycali rutyniarze: Niemiec Kroos, Francuz Kanté. Imponowali młodzieńcy: Hiszpanie Yamal i Williams, Niemcy Musiala i Wirtz. Podbijali serca Gruzini, których na wielkiej piłkarskiej imprezie oglądaliśmy po raz pierwszy.

À propos serca: Duńczyk Eriksen, którego zawał był najbardziej dramatycznym momentem poprzedniego Euro, z wszczepionym defibrylatorem wrócił do grania i na tegorocznym turnieju strzelił bramkę. Lekcje z tamtego incydentu zostały zresztą wyciągnięte: gdy w meczu ze Szkocją po zderzeniu z rywalem stracił przytomność Węgier Varga, akcja ratunkowa była błyskawiczna, a intymność zawodnikowi zagwarantowano dzięki rozwiniętym wokół parawanom.

John McGinn wraca już do domu, podobnie jak Robert Lewandowski – ale karnawał trwa. Potrzebowaliśmy wytchnienia. ©℗

LIESA JOHANNSSEN / REUTERS / FORUM

Sytuacje graniczne

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z NIEMIEC

Incydent z Osinowa Dolnego – gdzie niemieccy policjanci przejechali granicę, aby w tej wsi w Zachodniopomorskim pozostawić afgańską rodzinę, która próbowała dostać się z Polski do Niemiec bez dokumentów – można interpretować bardziej jako przejaw nerwowości niż arogancji. Nielegalna imigracja staje się dla Niemiec coraz większym problemem.

Imigranci, którym udaje się przedostać do Polski – czy to wprost z Białorusi (mimo zapory), czy pośrednio z Litwy albo też z Czech lub Słowacji – zwykle idą dalej: ich celem pozostają Niemcy. Tylko w pierwszych pięciu miesiącach tego roku wniosek o azyl, który jest furtką na pozostanie w Niemczech, złożyło tu ponad 112 tys. ludzi. W efekcie także Berlin, po wielu latach polityki otwartych drzwi, zmienia podejście do nielegalnej imigracji. Granica na Odrze zaczyna się uszczelniać. Od października 2023 r. Niemcy prowadzą wyrywkowe kontrole, a dodatkowe oddziały policji patrolują teren graniczny.

Zmiany zachodzą też w procedurach po zatrzymaniu nielegalnych migrantów. Wcześniej powszechne było doprowadzenie ich do ośrodka dla osób starających się o azyl i rozpoczęcie procedury azylowej. Teraz niemieckie służby starają się zawrócić osoby bez dokumentów – czasem z pominięciem ustaleń polsko-niemieckich, jak w Osinowie. Migranci trafiają wtedy z powrotem do Polski. Część zwraca się o pomoc do polskich organizacji, ale większość podejmuje kolejne próby przedostania się do Niemiec, aż do skutku.

Należy się spodziewać, że działania Niemiec wobec nielegalnej imigracji będą coraz bardziej rygorystyczne. Społeczeństwo domaga się od rządu Olafa Scholza twardego kursu.

Czyli: zredukowania liczby nowych imigrantów, deportowania przestępców i ograniczenia wielkich środków finansowych, które idą na utrzymanie ludzi, jacy latami czekają na decyzję o przyznaniu azylu. A jeśli będzie odmowna, i tak tu zostają.

Dobrze, że po głośnym incydencie, za który Berlin przeprosił, doszło do spotkania ministrów spraw wewnętrznych obu państw. Tomasz Siemoniak podczas rozmów z Nancy Faeser tłumaczył rolę rosyjskich i białoruskich służb w podsycaniu nielegalnej migracji przez wschodnią granicę Polski. Eskalacja na polsko-niemieckiej granicy jest z pewnością pośrednim celem tych działań. Ustalenie procedur i działań zapobiegawczych powinno być głównym i wspólnym zadaniem Warszawy i Berlina. ©

Tusk stchórzył na zielono

KRZYSZTOF STORY

Przed głosowaniem Rady Europejskiej wszyscy patrzyli na Polskę. Wydawało się, że nasze poparcie jest niezbędne, by weszło w życie Nature Restoration Law – przez zwolenników chętnie tłumaczone jako „Natura Ratuje Ludzi".

NRL to kompleksowy plan odbudowy europejskiej przyrody. Zakłada, że do 2030 r. 20 proc. lasów, terenów podmokłych, a także rzek i ekosystemów morskich ma zostać objętych różnymi formami ochrony (do 2050 r. wszystkie takie obszary powinny zostać odtworzone). Oferuje cały pakiet działań (konkretne plany należą do państw): odtwarzanie torfowisk, renaturalizację rzek, zmiany w gospodarce leśnej, odbudowę populacji owadów czy ptaków.

Czy ich potrzebujemy? Odpowiedź zdaje się oczywista w kraju, którego rolnictwo przez susze traci 6,5 mld zł rocznie, na największych rzekach kwitną toksyczne glony, rządzący szli do wyborów z zielonymi hasłami, a przyjęcie NRL rekomendowało Ministerstwo Klimatu i Środowiska.

Mimo to 17 czerwca Polska zagłosowała przeciw. Oficjalnie „z powodu nadmiernych obciążeń administracyjnych i przede wszystkim braku długofalowego planu finansowego", jak podała ministra Paulina Hennig-Kloska. Co jest wymówką, i to nieprawdziwą, bo NRL będzie wchodzić w życie równolegle z nowym budżetem UE w 2027 r. i wtedy będzie można zabezpieczyć środki na odbudowę przyrody.

Wygrała polityczna kalkulacja. Premier i resort rolnictwa, którzy pamiętają protesty rolników i społeczną złość na „Zielony Ład", po prostu stchórzyli. Nie miało znaczenia, że to nie NRL było kością niezgody (najbardziej sporne przepisy są w zupełnie innych ustawach) i fakt, że popiera je 75 proc. Polek i Polaków. Nie pomogło tłumaczenie, że np. torfowiska będą odtwarzane na terenach państwowych, a nie na polach rolników. Ani nawet fakt, że w umowie koalicyjnej mamy i tak zapisane wyłączenie 20 proc. lasów z wycinki.

Po rządach PiS mieliśmy dostać nową jakość: reformę Lasów Państwowych, pomysł na transformację energetyczną (sprawa wiatraków z początków nowej władzy do dziś nie jest załatwiona) i skuteczną politykę klimatyczną. Tymczasem symbolem nowej władzy na razie jest właśnie głosowanie nad NRL. Położyliśmy się Rejtanem w zupełnie nietrafionym momencie i na dodatek nic nie osiągnęliśmy. Rozporządzenie przeszło dzięki odwadze austriackiej ministry środowiska, Leonore Gewessler, która zagłosowała wbrew własnemu rządowi. Może jej za to grozić do 10 lat więzienia. Choćby szczyptę takiej woli politycznej w ochronie przyrody chciałbym kiedyś zobaczyć w Warszawie. ©℗

Leonore Gewessler na Austriackim Światowym Szczycie w Wiedniu. Austria, 20 czerwca 2024 r.

CHRISTIAN BRUNA / EPA / PAP

Bunt biskupa

EDWARD AUGUSTYN

„Nie wiem, co mu się stało" – powiedział kard. Pietro Parolin, watykański sekretarz stanu, o abp. Carlu Viganò, którego Dykasteria Nauki Wiary oskarża o schizmę. Były nuncjusz apostolski w USA, „pracowity i wierny Stolicy Apostolskiej" – jak mówił Parolin, wymówił posłuszeństwo papieżowi i stał się jego zajadłym krytykiem.

Sześć lat Watykan tolerował ataki arcybiskupa. W 2018 r. Viganò wezwał papieża do dymisji, zarzucając mu bezczynność w sprawie kard. Theodore'a McCarricka, seksualnego przestępcy, i uleganie „gejowskiemu lobby". Franciszek kazał opublikować dokumenty sprawy (pokazujące bezradność swych poprzedników) i wyrzucił McCarricka ze stanu duchownego. Ale do zarzutów Viganò nigdy wprost się nie odniósł, czym ten poczuł się zlekceważony i coraz bardziej zaczął się radykalizować:

podważał legalność papieża i jego katolickość, krytykował sobór za „herezję modernistyczną", walczył z masońsko-żydowskim spiskiem i szczepionkami.

Ale nie tylko to, co mówił, jest powodem oskarżenia. Tryb postępowania, jaki przyjął Watykan – proces karny pozasądowy – świadczy, że zgromadzono przeciwko niemu niepodważalne dowody zerwania komunii z papieżem. Być może potwierdzono doniesienia sprzed kilku miesięcy, że przyjął ponownie sakrę biskupią z rąk odłączonego od Kościoła bp. Richarda Williamsona, lefebrysty i negacjonisty. Albo że sam udzielał, bez zgody Watykanu, takich święceń. Na pewno też święcił na własną rękę księży w założonym przez siebie seminarium dla ultratradycjonalistów.

Arcybiskup mówi, że proces o schizmę traktuje jako zaszczyt. Nic dziwnego, bo Watykan rzadko o nią oskarża. Viganò dołącza do ekskluzywnego grona – choćby abp. Marcela Lefebvre'a i wyświęconych przez niego biskupów (w tym Williamsona). I czuje się im równy.

Wyrok wykluczenia z Kościoła, jakiego można się teraz spodziewać, ma być ostrzeżeniem dla wiernych. Choć nie wiadomo, czy skutecznym. Niekonsekwencja papieży wobec lefebrystów (Jan Paweł II nałożył na nich ekskomunikę, Benedykt XVI ją zniósł) działa na korzyść takich jak abp Viganò. Zwłaszcza gdy w różnorodnym Kościele Franciszka, w którym ma być miejsce dla wszystkich, dla „katolików tradycji" akurat jest go coraz mniej. ©℗

NA PUNKTY

NIJAKA LEWICA
Rada Krajowa Partii Razem pracowała w niedzielę. Nie podjęła decyzji o wystąpieniu z klubu parlamentarnego Nowej Lewicy, ale wezwała zarząd do podjęcia rozmów na ten temat, bo – zdaniem członka prezydium Niewiadomskiego – „dalsze funkcjonowanie tak, jak to było do tej pory, nie ma większego sensu".

NIEJAKI RYMKIEWICZ
Z pewnością przydałoby się także podjęcie rozmów z byłą polityczką lewicy, obecnie ministrą edukacji z ramienia KO Nowacką, która jako przykład pomysłów indoktrynacyjnych poprzedniej władzy na liście lektur podała „poezję niejakiego Rymkiewicza". Nieżyjący już pisarz, laureat Nagrody Nike, sam się nie obroni – ale z pewnością broni go jego twórczość.

JAKI KOWALSKI
À propos występowania: poseł Kowalski złożył rezygnację z członkostwa w Suwerennej Polsce, a to w związku z podjętymi w imieniu tego ugrupowania przez europosła Jakiego rozmowami o połączeniu z Prawem i Sprawiedliwością. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że obaj panowie nie spotkali się od pół roku. ©℗

Świętujący duet dyktatorów

ANNA ŁABUSZEWSKA

Płaczące ze szczęścia tłumy na ulicach Pjongjangu, stolicy Korei Północnej, dzieci machające plastikowymi kwiatkami, defilada wojskowa, koncert ku czci „najdroższego przyjaciela narodu koreańskiego": takie obrazki z wizyty Władimira Putina u Kim Dzong Una (na zdjęciu) wypełniły rosyjską telewizję. Uściski, toasty i pocałunki podkreślały atmosferę zrozumienia.

Kim zapewnił gościa o pełnym poparciu dla „specjalnej operacji wojskowej" w Ukrainie i wyraził uznanie dla polityki zagranicznej Rosji, prowadzonej w celu „utrzymania strategicznej stabilności i równowagi w świecie". Putin rewanżował się wyrazami wdzięczności za poparcie „na kierunku ukraińskim", zwłaszcza w kontekście „narzucanej przez dekady hegemonistycznej, imperialistycznej polityki USA i ich satelitów". W przekładzie na język realiów, deklaracje te oznaczają podtrzymanie dotychczasowego kursu Pjongjangu na zbliżenie z Moskwą i pokazanie figi Zachodowi.

Podczas wizyty podpisano traktat o strategicznym partnerstwie między Rosją a KRLD. W komunikacie podkreślono, że ma on „charakter wyłącznie pokojowy i obronny". Nazajutrz strona północnokoreańska opublikowała jego treść. Dwa kluczowe punkty dotyczą udzielenia wzajemnej pomocy, w tym wojskowej, w razie bezpośredniego zagrożenia agresją lub samej agresji. Sformułowania pozostawiają tu pole do interpretacji. Niejasne jest, czy ta pomoc może oznaczać przysłanie na front ukraiński żołnierzy Kima, czy tylko kolejnej partii pocisków. W komunikatach próżno też szukać potwierdzenia, że w zamian za pomoc na polu boju Putin przekaże Kimowi najnowszą technologię do produkcji broni jądrowej. Takie właśnie obawy pojawiają się wśród zachodnich ekspertów.

ANADOLU / EAST NEWS

Pewne jest za to, że traktat to demonstracyjne podważenie zasad systemu bezpieczeństwa międzynarodowego. Putin i Kim zapewniają się w nim także o wzajemnej pomocy w zwalczaniu skutków międzynarodowych sankcji i wspólnym ich obchodzeniu. Prezydent Rosji oświadczył, iż wprowadzone przed laty sankcje wobec Pjongjangu (zwłaszcza za prace nad bronią atomową) „są przestarzałe", i zapewnił o dołożeniu starań w celu ich zniesienia.

Czy to świadectwo wzmocnienia pozycji Rosji, czy raczej degradacji? ©

Więcej na stronie internetowej „TP"

Spokojnie, to tylko deficyt

MAREK RABIJ

Dofinansowanie dla Zakładu Ubezpieczeń Społecznych i dla samorządów terytorialnych oraz wydatki na obronność – na te cele od 1 stycznia państwo polskie wydało najwięcej.

W publicznej kasie rośnie dziura. Mimo że dochody budżetu od stycznia do maja wzrosły w porównaniu z pierwszymi pięcioma miesiącami ubiegłego roku aż o 43,9 mld zł, deficyt finansów publicznych tylko w maju urósł o ponad 13 mld zł – do 53,11 mld zł. Zapewne nie pozostało to również bez wpływu na decyzję Komisji Europejskiej, która 19 czerwca wpisała Polskę na listę jedenastu państw, które mogą zostać objęte tzw. procedurą nadmiernego deficytu. Reguły wspólnotowej higieny finansów publicznych (dodajmy, że notorycznie łamane) zakładają, iż kraje członkowskie nie mogą notować deficytu wyższego niż 3 proc. PKB. Według Komisji na koniec 2023 r. sięgnął on tymczasem w Polsce 5,1 proc. PKB.

Wszczęcie procedury zmusiłoby Warszawę do cięcia wydatków – według analiz samego resortu finansów takie oszczędności mogłyby przekroczyć 60 mld zł. Na szczęście decyzja Brukseli to nawet nie żółta kartka: raczej pierwsze ostrzeżenie. Komisja będzie teraz negocjować z polskim rządem kształt zaleceń, które następnie formalnie skieruje pod jego adresem. Niewykluczone, że w rekomendacjach pojawią się tylko sugestie kosmetycznych zmian, Polska i kilka innych państw wschodniej flanki Unii Europejskiej domagają się bowiem od Brukseli wyłączenia wydatków na obronność z puli uwzględnianej przy szacowaniu skali deficytu. Bardzo prawdopodobna zgoda Komisji na zmianę tych warunków sprawiłaby, że problem właściwie rozwiąże się sam. ©℗

Social media albo zdrowie

PSYCHOLOGIA ▪ Media społecznościowe powinny mieć takie same ostrzeżenia, jakie znajdują się na paczkach papierosów? Apeluje o to naczelny lekarz USA. „Rodzice i ich dzieci są pozostawieni samym sobie, starają się samodzielnie odnaleźć drogę, a po przeciwnej stronie stoją najlepsi inżynierowie i najbogatsze firmy na świecie" – pisze Vivek Murthy na łamach „New York Timesa" i apeluje do Kongresu o regulacje.

Powołuje się przy tym na dane, według których młodzież spędzająca więcej niż trzy godziny dziennie w mediach społecznościowych jest dwukrotnie bardziej narażona na ryzyko wystąpienia objawów lękowych i depresji (tymczasem statystycznie korzysta z nich przez 4,8 godziny dziennie). Ponadto prawie połowa nastolatków twierdzi, iż za sprawą social mediów czują się gorzej ze swoim ciałem.

Murthy nie wskazuje, jak miałoby wyglądać takie ostrzeżenie, ale byłoby to i tak najłatwiejszą rzeczą do ustalenia w całej sprawie. Bo w przeciwieństwie do tytoniu nie ma badań, które jednoznacznie wskazują na związek przyczynowo-skutkowy między korzystaniem np. z TikToka a zaburzeniami postrzegania samego siebie czy używaniem Instagrama a depresją. Badania, na które powołuje się Murthy, nie stwierdzają, które platformy są bardziej szkodliwe, a które mniej, i jakie dokładnie szkody wywołują.

Magazyn „The Atlantic" przypomina głośny spór o metaanalizę wykazującą, że wpływ technologii cyfrowych na dobrostan nastolatków jest „negatywny, ale niewielki". Ostro krytykowali ją tacy znawcy tematu jak psychologowie Jean Twenge czy Jonathan Haidt, twierdząc, że jej metodologia skutkowała „niedoszacowaniem" problemu. Krytykowani autorzy odpowiedzieli jednak kolejnymi badaniami, które potwierdziły ich wcześniejsze wyniki. Ten spór z pewnością będą chciały wykorzystać platformy cyfrowe, bo każde ograniczenie liczby ich użytkowników czy czasu korzystania z nich oznacza spadek zysków.

Najpoważniejszy zarzut wobec pomysłu Murthy'ego dotyczy przerzucania odpowiedzialności za rozwiązanie problemu wyłącznie na rodziców i ich dzieci, podczas gdy wszystkie narzędzia ku temu mają same platformy społecznościowe. Naczelny lekarz Ameryki bierze to pod uwagę i podkreśla, że etykiety powinny być początkiem, a nie końcem działań. „Środki prawne powinny zapobiegać gromadzeniu przez platformy wrażliwych danych o dzieciach i ograniczać wykorzystywanie rozwiązań takich jak powiadomienia push, autoplay i nieskończone przewijanie, które żerują na rozwijających się mózgach i przyczyniają do nadmiernego korzystania z tych platform – pisze Murthy. – Platformy twierdzą, że pracują nad tym, by ich produkty były bezpieczniejsze, ale Amerykanie potrzebują czegoś więcej niż słowa. Potrzebujemy dowodów".

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

KASPARS GRINVALDS / SHUTTERSTOCK

W zeszłym roku wypożyczyliśmy 100 mln książek

CZYTELNICTWO ▪ Coraz chętniej odwiedzamy biblioteki i wypożyczamy więcej książek – poinformował w minionym tygodniu GUS, który policzył także na nowo biblioteczne filie. Stąd wiadomo, że mamy dziś w kraju ponad 7,5 tys. bibliotek publicznych – to dużo, zważywszy, że księgarni jest niecałe 1,7 tys. Ważną kartę biblioteczną posiada 17 proc. Polek i Polaków (dokładnie 6,3 mln; 5,2 proc. więcej w porównaniu z rokiem 2022), a 14 proc. co najmniej raz z niej skorzystało. Wśród regałów z książkami zanotowano łącznie ponad 58 mln naszych odwiedzin (to także wzrost, tym razem o ponad 7 proc.), które zakończyły się zabraniem do domu prawie 100 mln tytułów.

Z danych GUS wynika, że najczęściej książki wypożyczają osoby w wieku 25-44 lat. Nic dziwnego – wedle badań zrealizowanych jakiś czas temu przez Instytut Książki

ANDRZEJ ZBRANIECKI / EAST NEWS

Otwarcie Mediateki MeMo, nowoczesnej multimedialnej filii Biblioteki Miejskiej w Łodzi. 22 listopada 2022 r.

można wnioskować, że młodzi rodzice coraz chętniej towarzyszą dzieciom w czytaniu. Ale ochoczo odwiedzamy publiczne biblioteki także dlatego, że w ciągu ostatnich lat bardzo się zmieniły – nie tylko wizualnie. Oferują po prostu więcej niż książki, stając się domami kultury, a czasem potężnymi mediatekami posiadającymi – jak np. łódzka MeMo – symulator lotu, profesjonalne studio nagrań i montażu oraz kameralne kino. By z nich korzystać, wystarczy karta biblioteczna.

Po wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie biblioteki stały się też ważnym miejscem akulturacji, kontaktu przyjezdnych z lokalną społecznością, często oferującą bezpłatną pomoc w nauce języka polskiego.

Łącznie w 2023 r. biblioteki publiczne zorganizowały prawie 200 tys. różnych imprez, w których udział wzięło 6 mln czytelniczek i czytelników. Zanotowano także 535 konferencji i seminariów, z których skorzystało 28 tys. osób.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

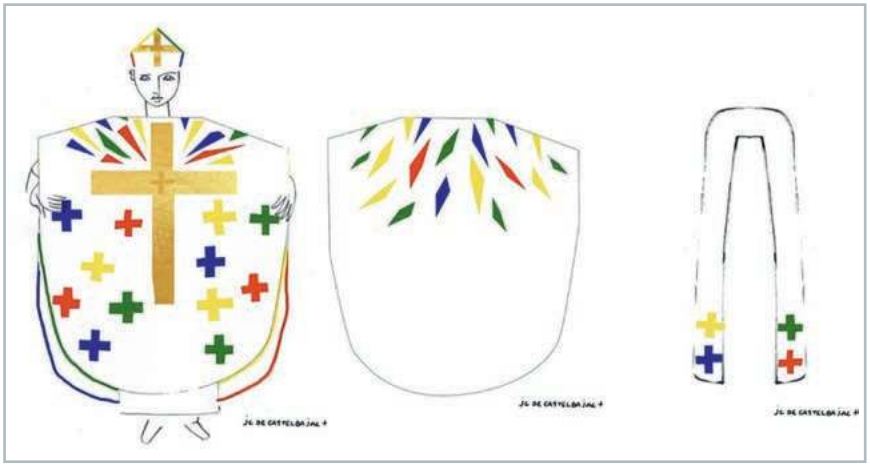

NOTREDAMEDEPARIS / INSTAGRAM

Jeden z projektów ornatu autorstwa Jeana-Charles'a de Castelbajaca

Kreator mody projektuje ornaty dla Notre Dame

LITURGIA ▪ „Nigdy wcześniej w swojej pracy nie używałem złota" – mówi Jean-Charles de Castelbajac, słynny projektant mody, który otrzymał od diecezji paryskiej zamówienie na projekt szat liturgicznych. Mają zostać użyte 8 grudnia, podczas uroczystości ponownego otwarcia zniszczonej pożarem w 2019 r. katedry Notre Dame.

De Castelbajac słynie ze współpracy z takimi gwiazdami jak Madonna (płaszcz z pluszowych misiów), Rihanna (suknia z Kaczorem Donaldem), Lady Gaga (kostium złożony z Kermitów-Żab), Katy Perry czy Beyoncé. Ma też doświadczenie współpracy z Kościołem: w 1997 r. zaprojektował na Światowe Dni Młodzieży w Paryżu ornat dla Jana Pawła II (zdobiony kolorowymi krzyżami) i dla biskupów (krzyż na tle tęczy). Kolorystyka jego prac na ogół ogranicza się do tych podstawowych: czerwonego, żółtego, niebieskiego i zielonego.

Tworząc projekty na otwarcie Notre Dame, de Castelbajac inspirował się krzyżem Couturiera. Chodzi o dzieło burgundzkiego rzeźbiarza Marca Couturiera, powstałe w 1993 r. na zlecenie kard. Lustigera. Pozłacany drewniany krzyż, mierzący 6 metrów, umieszczony w chórze Notre Dame, za XVIII-wieczną Pietą, przetrwał pożogę sprzed 5 lat. W mediach społecznościowych status viralu zyskała fotografia tego krzyża, lśniącego pośród osmalonych gruzów. W pracach projektowych „wysunąłem go na pierwszy plan, jako latarnię morską, punkt orientacyjny, sztandar" – mówi de Castelbajac. Dobierając kolorystykę ornatów, wzorował się na kolorach katedralnych witraży. Żywe kolory mają symbolizować odrodzenie czy wręcz „zmartwychwstanie" katedry.

Kościelne zamówienie dotyczy dwóch tysięcy ornatów, stuł, dalmatyk i innych szat liturgicznych dla 170 biskupów, 700 księży i tyluż diakonów stałych, którzy będą uczestniczyć w uroczystościach otwarcia Notre Dame. Po obchodach, które potrwają aż do czerwca 2025 r., szaty mają zostać rozdzielone pomiędzy wszystkie paryskie parafie. ©℗ MACIEJ MÜLLER

Jak huragan zmienił naturę makaków

EWOLUCJA ▪ Dla zwierząt zmagających się z upałami najcenniejszym zasobem może być skrawek cienia. A gdy nagle zacznie go brakować, mogą zdarzyć się cuda.

Cayo Santiago to karaibska wysepka (powierzchnia: 15 hektarów) oddalona o kilometr od wybrzeża Portoryko. W latach 30. XX wieku dzierżawiła ją rodzina baronów cukrowych i bankowców, którzy najchętniej wypasali tu kozy i organizowali imprezy. Wkrótce jednak zarząd nad nią zaczął sprawować Uniwersytet w Portoryko, którego władze założyły tam w 1938 r. małpią kolonię – m.in. dla prowadzenia badań ekologicznych i biomedycznych.

Ich wybór padł na makaki królewskie (na zdjęciu), agresywne i hierarchiczne małpy, w naturalnych warunkach zamieszkujące Azję. Kilkaset osobników zostało sprowadzonych z Indii przy niemałym zainteresowaniu mediów – m.in. „New York Times" opisywał ich 51-dniową podróż na pasażerskim statku. Pierwsze lata w nowym świecie nie były dla makaków łatwe – wiele zmarło na gruźlicę i od ran odniesionych w walkach, ale doglądana przez badaczy kolonia przetrwała. Do dzisiaj żyje tam na wolności prawie 1500 osobników.

Do 20 września 2017 r. wiodły zwyczajny małpi żywot, walcząc i odpoczywając w cieniu gęsto porastających wysepkę drzew, ale tego dnia w Portoryko uderzył huragan Maria, niszcząc także przeszło 60 proc. terenów zielonych na Cayo Santiago. Makaki znalazły się w trudnym położeniu: w wielu miejscach na wyspie, wystawionych teraz na pełne słońce, temperatura w ciągu dnia przekraczała 40 stopni Celsjusza. Naczelne – z wyjątkiem nas, ludzi, posiadających gęstą sieć gruczołów potowych – nie mają zaś fizjologicznych adaptacji pozwalających im radzić sobie z upałami.

Małpom pozostało jedno: zmiana zachowania. Jak wykazali w „Science" Camille Testard i współpracownicy, w następnych latach u makaków wzrosła tolerancja i spadł poziom agresji, co objawiało się m.in. skłonnością do dzielenia się bezcennym zasobem, jakim stały się zacienione miejsca (temperatura była w nich niższa średnio nawet o 7 stopni). Okazało się także, że po przejściu huraganu – ale nie przed nim – największe szanse na przeżycie miały te osobniki, które charakteryzowały się największą tolerancją na bliskość innych makaków.

PRADEEP SOMAN / ALAMY / B&EW

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

TEMAT TYGODNIKA

KTO POSPRZĄTA PO METROPOLICIE

Największy wpływ na nominację następcy abp. Jędraszewskiego mają nuncjusz abp Antonio Guido Filipazzi i kard. Grzegorz Ryś. Gdyby wybór zależał tylko od predyspozycji, liderem krakowskiego Kościoła zostałby bp Damian Muskus.

ARTUR SPORNIAK, EDWARD AUGUSTYN

Ta decyzja będzie ważna nie tylko dla Krakowa. I nie tylko ze względu na miejsce tej metropolii wśród innych polskich diecezji. Będzie ważna przede wszystkim z powodu modelu biskupstwa, jaki reprezentował odchodzący metropolita, oraz tego, co po sobie zostawia. Nie dziwi więc, że po rezygnacji, którą abp Jędraszewski ogłosił w piątek 21 czerwca w związku ze zbliżaniem się do biskupiego wieku emerytalnego (24 lipca skończy 75 lat), wszyscy zadają jedno pytanie: kto po nim?

Proces wyłaniania kandydatów na biskupa objęty jest na każdym etapie tajemnicą papieską. Ci, którzy biorą w nim udział, nie mogą, pod groźbą ekskomuniki, zdradzać jego szczegółów. Nasi informatorzy są więc dość enigmatyczni, co nie znaczy, że z informacji, jakich nam udzielają, nie da się wysnuć żadnych wniosków. Zwłaszcza gdy zna się procedury i kryteria wyboru, pozwalające dokonać analizy kandydatów i ocenić ich szanse.

Prawo kościelne mówi, że wybór biskupa dokonuje się w drodze „nieskrępowanej decyzji papieża". Który jednak, co oczywiste, nie podejmuje jej sam. Kto zatem informuje go o potrzebach i problemach lokalnego Kościoła? Kto przedstawia mu kandydatów i ma decydujący głos w ich ocenie? I czy odchodzący

metropolita ma realny wpływ na nominację następcy?

Przetrącona diecezja

Abp Marek Jędraszewski zostawia po sobie diecezję pełną napięć, ze zrażonym do siebie duchowieństwem. Od czasu, gdy kościelny system przetrącił mu kręgosłup (a więc od sprawy arcybiskupa Juliusza Paetza, o czym pisali na naszych łamach Anna Goc, Przemysław Wilczyński i Marcin Żyła), sam zaczął łamać kręgosłupy innym. Po raz pierwszy, gdy kazał poznańskim proboszczom podpisywać lojalki wobec oskarżanego o molestowanie kleryków pryncypała. Gdy w styczniu 2017 r. pojawił się pod Wawelem, niektórzy uspokajali, że krakowski kler jest mocny i wiele przetrzyma, w przeciwieństwie do duchowieństwa łódzkiej diecezji – młodej i rachitycznej.

Nie wiemy, ilu księży w Małopolsce zostało złamanych działaniami swego arcybiskupa. Prawdopodobnie dopiero po jego ustąpieniu poznamy skalę zniszczeń. Anonimowe informacje, jakie na jego temat się pojawiają, pokazują, że stał się dla wielu antysymbolem biskupa. Choć – jak się zdaje – on sam nic sobie z tego nie robi, co potwierdzają ostatnie decyzje przed emeryturą, np. przygotowywanie dla siebie bogatej rezydencji w centrum Krakowa, konflikt z proboszczem bazyliki Mariackiej czy kapitułą katedralną – oba o podłożu finansowym. Skutecznie izolując się od ludzi, zaczął żyć we własnym, szczelnie zamkniętym świecie.

Co może krakowski metropolita

Procedurę wyboru biskupa regulują kanony 377-380 Kodeksu Prawa Kanonicznego. Mówią one, że kandydatów na biskupa diecezjalnego wskazuje nuncjusz, który może – choć nie musi – sugerować się nazwiskami, jakie przysyłają mu biskupi z całego kraju. Na wybór trzech nazwisk (tzw. terno), które zostaną przedstawione papieżowi, ustępujący biskup nie ma – przynajmniej teoretycznie – wpływu.

Nuncjusz ma natomiast obowiązek skonsultować swoje propozycje z metropolitą archidiecezji, której wybór dotyczy, biskupami sufraganami (kierującymi diecezjami, które wchodzą w skład metropolii) oraz przewodniczącym episkopatu.

Przełóżmy to na krakowską sytuację. Nuncjusz apostolski w Polsce abp Antonio Guido Filipazzi wybiera terno (w jaki sposób – o tym za chwilę) i prosi o jego zaopiniowanie metropolitę (a zatem abp. Jędraszewskiego), sufraganów (biskupów: Andrzeja Jeża z Tarnowa, Jana Piotrowskiego z Kielc i Romana Pindla z diecezji bielsko-żywieckiej) oraz przewodniczącego episkopatu abp. Tadeusza Wojdę. Ich zdanie nuncjusz przesyła w raporcie do Watykanu.

Na marginesie dodajmy, że nieco inaczej wygląda wybór biskupów pomocniczych. W tym przypadku terno przygotowuje nie nuncjusz, ale biskup diecezjalny. To, czy Watykan zaakceptuje jego propozycję, czy ją odrzuci (zwykle nakazując powtórzyć całą procedurę), świadczy nie tylko o kandydatach, ale też o pozycji tego, kto ich zgłasza. Warto więc w tym miejscu wspomnieć o problemach z zatwierdzeniem terna zgłoszonego przez abp. Jędraszewskiego w 2020 r., gdy wybierano trzeciego biskupa pomocniczego w Krakowie. Został nim ostatecznie ks. Robert Chrząszcz, pochodzący z Kalwarii Zebrzydowskiej, od 15 lat pracujący na misjach w Brazylii. Gdy rozmawialiśmy z nim krótko po wyborze, przyznał, że jego kandydaturę zgłosił nie abp Jędraszewski, ale kard. Orani João Tempesta z Rio de Janeiro. Ignacy Dutkiewicz w książce „Pastwisko" pisze, że ks. Chrząszcz miał zostać biskupem w tamtejszej diecezji (podobnie jak zgłoszony kilkanaście miesięcy wcześniej, przez tego samego kardynała, inny polski misjonarz, ks. Zdzisław Błaszczyk), ale w ostatniej chwili został „przerzucony" do Polski, by zakończyć impas po odrzuceniu propozycji krakowskiego metropolity. ↦

ADAM BURAKOWSKI / EAST NEWS

Po mszy w czasie zebrania plenarnego Konferencji Episkopatu Polski. Warszawa, 11 czerwca 2024 r.

Tak powstaje biskup

↦ Wróćmy jeszcze na chwilę do sposobu tworzenia terna kandydatów na nowego biskupa diecezjalnego.

Nuncjusz wybiera ich z trzech źródeł. Pierwszym są nazwiska wytypowane przez biskupów. Przynajmniej raz na trzy lata każdy metropolita przygotowuje, wraz z sufraganami i biskupami pomocniczymi, listę księży „zdatniejszych do biskupstwa". Normy dotyczące promowania do tej roli z 1972 r., opisujące proces bardziej szczegółowo niż Kodeks Prawa Kanonicznego, mówią, że biskupi aktualizują te listy, dopisując nowe nazwiska i wykreślając tych, którzy z powodu wieku, choroby czy innych przeszkód przestali się nadawać. A następnie przekazują, wraz z opiniami na temat kandydatów, do nuncjusza.

Drugim źródłem są kandydaci zgłaszani indywidualnie do nuncjusza, do czego prawo ma każdy biskup. Trzecim – nazwiska, które proponuje sam nuncjusz, na podstawie własnych informacji, pozyskanych od księży, zakonników czy osób świeckich.

Jak ujawnił były nuncjusz, abp Celestino Migliore, w referacie „Rola Kościoła partykularnego w procedurze mianowania biskupów przez papieża", przed nominacją biskupa diecezjalnego nuncjusz przeprowadza rozpoznanie na temat stanu diecezji, konsultując się z dość dużą, liczącą ok. 70 osób grupą. Z kolei po wykrystalizowaniu się terna prosi o opinie na temat kandydatów nie tylko osoby nakazane przez prawo kościelne (o których była mowa), ale też „powinien wysłuchać zdania niektórych członków kolegium konsultorów [ciało wybrane z rady kapłańskiej] i kapituły katedralnej" oraz wybranych duchownych i świeckich. Abp Migliore zdradził, że o każdego z trzech wybranych kandydatów nuncjusz wypytuje szczegółowo ok. 25 osób. Służy mu do tego specjalny kwestionariusz.

Kandydat w punktach

W maju 2022 r. niemiecka gazeta „Kölner Stadt-Anzeiger" opublikowała 63 pytania, jakie zadawane są podczas opiniowania kandydatów na biskupa. W porównaniu z wcześniejszymi ankietami (ujawnionymi w 2001 r., czyli za czasów Jana Pawła II), pojawiły się nowe zagadnienia. Np. czy kandydat zawsze postępował właściwie i uczciwie w sprawach dotyczących wykorzystywania seksualnego dzieci, i czy sam nie wykazywał jakichkolwiek niewłaściwych zachowań. Z kolei inne pytania zostały usunięte (np. o stosunek do encykliki „Humanae vitae", zakazującej antykoncepcji). W kwestionariuszu znajdziemy pytania o wygląd, stan zdrowia i moralność kandydata, o jego stosunek do kościelnej etyki seksualnej, nauczania o małżeństwie i wyświęcania kobiet. A także o to, „czy traktuje siostry zakonne z szacunkiem i uznaniem", co świadczy, że niektórzy hierarchowie miewają problem nawet z tak oczywistymi kwestiami.

Niezależnie od tego, co można sądzić o wartości i sensowności poszczególnych pytań, z ankiety wyłania się obraz biskupa, jakiego Kościół chciałby widzieć: trzeźwo myślącego, wiodącego skromne życie, umiejącego słuchać i być blisko drugiego człowieka, troszczącego się o biednych i potrzebujących, współpracującego z księżmi diecezjalnymi, zakonnikami i świeckimi, szukającego konsensusu i porozumienia.

Tyle teorii.

Ma nie narzekać i nie bać się ludzi

Terno wraz z dossier kandydatów nuncjusz przekazuje do Dykasterii ds. Biskupów, która z trzech kandydatów wybiera jednego, przedstawiając go papieżowi. Dokonują tego w tajnym głosowaniu, po poznaniu opinii o kandydatach i przeprowadzeniu dyskusji. Trudno sobie wyobrazić, by najbardziej nie liczyło się zdanie tych, którzy kandydatów znają osobiście lub pochodzą z ich kraju. Dlatego decydujący głos w sprawie polskich kandydatur ma w tej chwili kard. Grzegorz Ryś, od 2020 r. członek wspomnianej dykasterii.

Wydaje się też oczywiste, że dykasteria, która jest urzędem papieża, przy wyborze kandydata kieruje się jego „wzorcem biskupa". We wrześniu 2019 r. Franciszek, na spotkaniu z nowo mianowanymi biskupami, podzielił się swoim ideałem „dobrego arcypasterza", który zawsze jest blisko Boga i swego ludu. „Nie otaczajcie się, proszę, sługusami, pochlebcami i karierowiczami" – mówił. „Potrzebujemy biskupów zdolnych usłyszeć bicie serca swoich wiernych i swoich kapłanów. Którzy nie ograniczają się do spotkań formalnych, zaplanowanych czy okolicznościowych". Prosił, by nie bali się ludzi, nie narzekali na nich i nie dzielili ich („biskup, który burzy mosty i budzi nieufność, jest antybiskupem"). By nie myśleli tylko o swojej doskonałości („są bez smaku, jak woda destylowana") i nie bali się ubrudzić rąk. By żyli skromnie, troszcząc się o biednych i wykluczonych. I by byli blisko swoich księży. „Jeśli zadzwoni do ciebie któryś z księży, a ty nie możesz odebrać, oddzwoń do niego najpóźniej następnego dnia. Bo drugi raz on już nie zadzwoni" – mówił przy innej okazji.

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

WROCŁAW, poniedziałek 1 lipca, godz. 18.00, spotkanie autorskie z Władysławem Frasyniukiem, Danutą Kuroń i Mirosławem Wlekłym, „1989. Pozytywny mit", Klub PROZA – Wrocławski Dom Literatury (ul. Gancarska 2, II piętro)

WARSZAWA, sobota 6 lipca, godz. 16.00, spotkanie wokół sylwetki Haliny Bortnowskiej „Wszystko będzie inaczej", cykl „Klubowa Kawiarenka", Domek Fiński PM (Jazdów 3/12)

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

MAREK LASYK / REPORTER

Biskup Damian Muskus przed ołtarzem papieskim stawianym na krakowskich Błoniach na Światowe Dni Młodzieży, 11 lipca 2016 r.

Skąd Jędraszewski w Krakowie

Nie da się ukryć, że krakowski metropolita z trudem wpisuje się we wzorzec nakreślony nie tylko przez Franciszka, ale nawet ten wyłaniający się z kwestionariusza dla kandydatów. Dlaczego więc osiem lat temu powierzono mu wawelską katedrę?

Nominacja abp. Jędraszewskiego została ogłoszona 8 grudnia 2016 r., a on sam, jak twierdzą osoby z nim zaprzyjaźnione, dowiedział się o niej 10 dni wcześniej bezpośrednio od Franciszka. Kto stał za tą decyzją? Jak udało się nam ustalić, kandydatura arcybiskupa łódzkiego nie była pomysłem ustępującego metropolity, kard. Stanisława Dziwisza, choć i on, i jego sufragani ją opiniowali (najwyraźniej z dobrym skutkiem). Niedługo po zmianie pojawiły się w mediach sugestie, że za transferem abp. Jędraszewskiego do Krakowa lobbowała w nuncjaturze ówczesna premier Beata Szydło. To kusząca hipoteza, bo wiadomo, że metropolita łódzki cieszył się sympatią jej środowiska politycznego, a czerwony biret, jakiego się w takiej sytuacji spodziewano (Kraków uważano wciąż za stolicę kardynalską), wart był zachodu. Ale mimo wszystko to hipoteza mało prawdopodobna – ingerencja władz państwowych w proces wyboru biskupa byłaby poważnym naruszeniem prawa, w dodatku ówczesnemu nuncjuszowi, Celestino Migliorem, wcale nie było z PiS-em po drodze. Warto jednak przypomnieć, że proces wyłaniania nowego metropolity Krakowa przypadł na czas zmian w samej nuncjaturze – 28 maja 2016 r. abp Migliore został mianowany nuncjuszem w Moskwie i nie jest pewne, czy zdążył osobiście wyłonić terno. Nowy nuncjusz, abp Salvatore Pennacchio, przyjechał do Polski dopiero w listopadzie, gdy nominacja abp. Jędraszewskiego była już zatwierdzona. Możliwe więc, że za proces przygotowania i zaopiniowania terna odpowiadali urzędnicy niższego szczebla, bardziej podatni na sugestie – niekoniecznie polityków.

Możliwe też, że kandydatura Jędraszewskiego pojawiła się dopiero na poziomie kongregacji. W Watykanie krążyły pogłoski, że stał za nią papieski jałmużnik Konrad Krajewski, pochodzący z Łodzi, który w ten sposób przygotował w swoim rodzinnym mieście miejsce dla innego kandydata, bliższego Franciszkowej wizji. I rzeczywiście: po roku katedrę łódzką objął abp Grzegorz Ryś.

„Co mamy, Stasiu, wolnego?"

Kościelne sita bywają jednak dziurawe – wieloetapowy i precyzyjnie opisany proces wyboru biskupa, diecezjalnego czy pomocniczego, nieraz kończy się porażką. Czasem media ujawniają skrzętnie ukrywane problemy kandydata, blokując jego nominację, czasem wycofuje się sam zainteresowany, innym razem papież uznaje swą pomyłkę. Biskupi impas trwa w Argentynie, ojczyźnie papieża: w maju Franciszek „poprosił o rezygnację" abp. Gabriela Mestre z La Plata, którego mianował na to stanowisko 9 miesięcy wcześniej. Powodem są „poważne błędy", jakie hierarcha miał popełnić w swojej poprzedniej diecezji, Mar del Plata, która zresztą od tamtej pory pozostaje nieobsadzona – pierwszy następca abp. Mestrego zrezygnował po niespełna miesiącu, kolejny po czterech dniach.

↦

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / ILUSTRACJA ZUZANNA KARDYŚ

Spektakularnym przykładem papieskiej pomyłki była nominacja w styczniu 2015 r. bp. Juana Barrosa z Chile, której Franciszek długo bronił, mimo ujawnianych przez media faktów, że biskup zatajał informacje o seksualnym wykorzystywaniu nieletnich przez seryjnego pedofila o. Fernanda Karadimę, swego byłego przełożonego. Po trzech latach papież przyznał się do błędu, tłumacząc, że został okłamany. Afera skończyła się zdymisjonowaniem nie tylko bp. Barrosa, ale też wymuszeniem przez Franciszka dymisji całego chilijskiego episkopatu.

Zdarzały się też przypadki omijania procedur. Jeden z emerytowanych pracowników Watykanu opowiedział nam, jak Wanda Półtawska w rozmowie z Janem Pawłem II domagała się awansu dla współpracującego z nią biskupa („zbyt długo jest pomocniczym i należy mu się diecezja"). Papież zwrócił się do swojego sekretarza z pytaniem: „Stasiu, co my tam mamy wolnego w Polsce?". W odpowiedzi padła nazwa jednej z diecezji nad morzem i po kilku dniach ogłoszono nominację.

Czy podobnie dzieje się za pontyfikatu Franciszka? Możliwe, bo przecież biskupie nominacje są „nieskrępowanymi decyzjami papieża". Choć zapewne nie dotyczy to już biskupów z Polski.

Kto przyjdzie do Krakowa

Procedura wyboru następcy abp. Jędraszewskiego trwa od kilku miesięcy. Jeśli zaproponowane przez nuncjusza terno znalazło uznanie dykasterii i akceptację papieża, nazwisko nowego krakowskiego metropolity poznamy w ciągu miesiąca. Jeśli propozycje z Warszawy były dla Watykanu niezadowalające (albo gdy wybrany kandydat nie przyjmie nominacji, co też się zdarza), obecny metropolita pozostanie na urzędzie aż do znalezienia następcy. Kto nim będzie?

W mediach najczęściej pojawia się nazwisko gliwickiego biskupa Sławomira Odera, który miałby być „kandydatem Jędraszewskiego". Na jego korzyść przemawiają też zasługi dla krakowskiej metropolii – był postulatorem w procesie kanonizacyjnym Jana Pawła II. Gdyby jego transfer do Krakowa zależał tylko od pozycji obecnego metropolity, z pewnością nie doszedłby do skutku – w świetle uzyskanych przez nas informacji wpływy ustępującego metropolity w nuncjaturze i samym Watykanie mocno osłabły.

Warto więc przyjrzeć się innym kandydaturom. Na liście rankingowej pojawia się nazwisko kard. Konrada Krajewskiego. Nowa konstytucja kurii rzymskiej stanowi, że „duchowni, którzy pełnili posługę w instytucjach i urzędach kurialnych, po pięciu latach powracają do posługi duszpasterskiej w swojej diecezji" (kadencję można im wyjątkowo przedłużyć o kolejne pięć lat). Kard. Krajewski pełni funkcję papieskiego jałmużnika już jedenasty rok. Gdyby te przepisy zastosowano także wobec niego (co nie jest oczywiste, bo objął urząd przed ich wejściem w życie), musiałby pożegnać się ze stanowiskiem, które dało mu popularność, swobodę i możliwość realizacji ambitnych planów. Sam pewnie nie zamieniłby go na niewdzięczną i nudną pracę biskupa diecezjalnego, choć przecież papieżowi się nie odmawia... Czy trafi do Krakowa? Już dwa lata temu pojawiły się głosy, że wróci do swej macierzystej diecezji łódzkiej, a w zamian kard. Ryś miałby objąć ważne stanowisko w Watykanie.

Inną, rzadziej braną pod uwagę „kandydaturą watykańską" jest bp Krzysztof Nykiel, wyświęcony zaledwie kilka dni temu (22 czerwca), dotychczasowy regens w Penitencjarii Apostolskiej. On także pochodzi z Łodzi – zaprzyjaźniony jest z kard. Krajewskim i kard. Rysiem. Czy będzie „czarnym koniem" w wyścigu o wawelską katedrę? W kurii rzymskiej cieszy się bardzo dobrą opinią, kierownicze stanowisko (równe sekretarzowi w dykasteriach) pełni od 12 lat. Nasi rozmówcy w Watykanie przypuszczają, że biskupia nominacja jest wzmocnieniem jego urzędu przed nadchodzącym rokiem jubileuszowym, w którego organizacji Penitencjaria Apostolska odgrywa ważną rolę. Choć ci sami rozmówcy nie wykluczają, że zamysł papieża wobec polskiego księdza może być inny.

Muskus wart wyboru

Często biskupem diecezjalnym zostaje któryś z lokalnych biskupów pomocni-

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Klaudia Bień, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Marzena Cora, Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

czych, jako że zna dobrze realia diecezji, a sam też jest znany miejscowemu duchowieństwu.

Atutem wspomnianego już bp. Roberta Chrząszcza jest doświadczenie pracy na misjach, cenione przez Franciszka. Tyle że ściągnięty z Brazylii do Krakowa, przez cztery lata niczym specjalnym się nie wyróżnił.

W przeciwieństwie do innego krakowskiego biskupa pomocniczego, Damiana Muskusa, koordynatora Światowych Dni Młodzieży w Krakowie (2016 r.), przy których wykazał się zdolnościami organizacyjnymi i komunikacyjnymi. Dał się też poznać jako hierarcha niekoniunkturalny – posiadający własne zdanie i niebojący się upominać o ważne sprawy. W 2021 r. krytykował władze za niehumanitarne traktowanie imigrantów na granicy z Białorusią. W 2023 r. wzywał do zachowania rozsądku, gdy wybuchła histeria po filmie „Bielmo" Marcina Gutowskiego, ukazującym niewłaściwe reakcje Karola Wojtyły na doniesienia o księżach krzywdzących małoletnich (abp Jędraszewski mówił wtedy o „drugim zamachu na Jana Pawła II"). „Nikomu nie jest potrzebna dzisiaj nowa odsłona wojny polsko-polskiej, którą od lat fundują nam środowiska polityczne" – pisał w mediach społecznościowych bp Muskus, dodając, że „ani trzymanie w dłoni obrazka z jego wizerunkiem, ani wieszanie go na ścianach instytucji publicznych nie odmieni oblicza tej ziemi".

„Kandydatem Jędraszewskiego" miałby być gliwicki biskup Oder. Ale gdyby jego transfer do Krakowa zależał tylko od pozycji obecnego metropolity, nie doszedłby do skutku: wpływy ustępującego metropolity w Watykanie mocno osłabły.

Krakowski biskup pomocniczy znany jest też z oryginalnych, ale skutecznych pomysłów na pomoc dzieciom chorym na rzadkie choroby. W 2022 r. wystawił na licytacji swój srebrny pierścień biskupi (zakupiło go wspólnie pięć osób za sumę ponad 70 tys. zł, oddając zresztą cenny przedmiot właścicielowi, który po raz kolejny przekazał go na sprzedaż). Od tamtego czasu bp Muskus zaczął wystawiać na aukcję nie tylko biskupie pamiątki, ale też swoją pracę – „zatrudniając się" do sprzątania, zmywania naczyń czy porządków w ogrodzie.

Ostatnio zareagował na list prawicowych intelektualistów, którzy w obronie biskupów zaatakowali osoby skrzywdzone seksualnie przez księży. Pisał: „Bardzo proszę, aby sygnatariusze (...) raczyli nie brać mnie w obronę, gdyż wołanie Skrzywdzonych ani mnie nie krzywdzi, ani gorszy. Gorszy mnie natomiast brak współczucia dla ludzi, którym odebrano niewinność, zadano rany, które są trudne, a czasem niemożliwe do uleczenia. Gorszy mnie dokrzywdzanie ofiar przestępstw poprzez stawianie ich w jednym szeregu z tymi, którzy Kościół traktują jako rzecz zbędną. Jest mi bardzo przykro, że »List w obronie...« w istocie stał się »Listem przeciwko«. Przeciwko skrzywdzonym. Przeciwko pragnącym sprawiedliwości. Przeciwko, jak sami o sobie mówią, »Nieumarłym«".

Gdyby wybór nowego metropolity zależał tylko od predyspozycji kandydata, bp Muskus miałby spore szanse. Także dlatego, że jest franciszkaninem: Franciszek coraz chętniej powierza odpowiedzialne stanowiska w Kościele zakonnikom. Trudno zresztą byłoby znaleźć osobę o podobnym autorytecie wśród krakowskiego duchowieństwa i darzoną przez świeckich większym szacunkiem. A to zalety niezbędne, by móc odbudowywać archidiecezję po rujnujących rządach abp. Marka Jędraszewskiego.

O ile tylko proces wyłaniania jego następcy będzie przebiegał w oparciu o procedury i kryteria nakreślone przez papieża.

©℗ ARTUR SPORNIAK, EDWARD AUGUSTYN

Tygodnik na Festiwalu Kultury Żydowskiej

Zapraszamy na spotkanie „Biblia jako podręcznik mistyki", podczas którego paneliści spróbują odpowiedzieć na pytanie: Kiedy Biblia pomaga, a kiedy przeszkadza w kontakcie z Bogiem?

Gośćmi spotkania będą stali autorzy „Tygodnika": **rabinka Małgorzata Kordowicz** i **o. Wacław Oszajca SJ**, a całość poprowadzi redaktor **Artur Sporniak**, szef działu Wiara.

TYGODNIK POWSZECHNY

FESTIWAL KULTURY ŻYDOWSKIEJ

30 czerwca, godzina 16.00

Kraków, ul. Józefa 36

Namiot Festiwalu Kultury Żydowskiej

Spotkanie będzie transmitowane na żywo na stronie **33.jewishfestival.pl**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Przymuszeni*

Dobra katolicka rodzina na Półwyspie Iberyjskim. W każdy piątkowy wieczór schodzą do piwnicy, by zapalić świece bądź zapalają je w domu i natychmiast gaszą. Albo jeszcze inaczej: świece płoną w zamykanej szafce. „Skąd to postępowanie?" „Nie mam pojęcia, ale tak robili moi rodzice, a wcześniej dziadkowie".

Oto jedna z najbardziej rozpoznawalnych praktyk ludzi zazwyczaj zwanych dziś neutralnie conversos, a kiedyś najczęściej – całkiem nieneutralnie – marranos (hiszp. świnie). Pod koniec okresu rekonkwisty pozostali przy życiu Żydzi mieli w Hiszpanii wybór: dalsze otwarte praktykowanie swojej religii wiązało się z koniecznością wyjazdu, jeśli natomiast chcieli pozostać w tym kraju – musieli zmienić wyznanie. W Portugalii pod koniec XV w. wybór był inny: chrzest albo śmierć. Niektórzy anusim (hebr. przymuszeni) – to kolejna nazwa tej grupy – z czasem wtopili się całkowicie w chrześcijańskie otoczenie. Inni próbowali po kryjomu zachować pewne praktyki judaizmu – jak wspomniane zapalanie szabatowych świec czy obchodzenie fundamentalnego żydowskiego święta – Pesach. Zazwyczaj pokrywa się ono czasowo z Wielkanocą i zbyt wielkim ryzykiem dla zachowujących fasadę katolicką było świętowanie go w tym czasie. Pomocne rozwiązanie podsunął krypto-Żydom sam Pięcioksiąg.

„I oświadczył Wiekuisty Mojżeszowi na pustyni Synai, roku wtórego po wyjściu ich z ziemi Micraim, miesiąca pierwszego, i rzekł: »Niechaj spełnią synowie Israela ofiarę paschalną w oznaczonym czasie«" (Lb 9, 1-2; Cylkow). Czyli przebywający na pustyni Izraelici winni 14. dnia miesiąca nisan obejść rocznicę pierwszego – egipskiego – Pesachu. W ślad za tym dowiadujemy się, że „spełnili ofiarę paschalną pierwszego miesiąca, czternastego dnia miesiąca, ku wieczorowi, na pustyni Synai; zupełnie tak, jak rozkazał Wiekuisty Mojżeszowi, uczynili synowie Israela" (wers 5.).

Jednak nie wszyscy: pewna grupka osób zajęta była przed Pesach pochówkiem i kontakt ze zwłokami sprowadził na nich nieczystość rytualną. Powiedziane już zostało w poprzedniej księdze: „ktokolwiekby ze wszystkiego potomstwa waszego przystąpił do świętości, które poświęcają synowie Israela Wiekuistemu, gdy nieczystość jego na nim: wytrąconą będzie dusza ta z przed oblicza Mojego: Jam Wiekuisty!" (Kpł 22, 3). Grupka przyszła do Mojżesza z zapytaniem: „czemu mamy być upośledzeni"? (Lb 9, 7). Wydawałoby się – jak mawiał nasz ukochany licealny wychowawca-matematyk – że „albo rybki, albo akwarium". Tymczasem tertium datur: owa grupka ma złożyć ofiarę pesachową dokładnie miesiąc później. Czyli druga szansa zostaje dana, a anusim wiele wieków później – w sytuacji zagrożenia życia – mają na czym się oprzeć. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Rehabilitacja śmierci*

„Bóg uczynił człowieka nieśmiertelnym, stworzył go dokładnie na swój obraz (...). Uczynił wszystko, aby istniało, wszystkie stworzenia na ziemi są potrzebne, nie ma w nich zabójczego jadu", czytamy w Księdze Mądrości. Ładnie powiedziane, ale czyżby uwadze autora tej księgi umknęło, że każdy dzień przeczy jego wypowiedzi? „W krainie umarłych, do której zmierzasz (...) nie będzie już ani pracy, ani myślenia, ani wiedzy, ani mądrości" – czytamy u Syracha. Dlatego „Daj i bierz, i ciesz się życiem, bo w krainie umarłych nie można szukać radości".

W Księdze Mądrości również czytamy, że „Bóg nie jest sprawcą śmierci, nie ma upodobania w zagładzie żyjących (...) otchłań śmierci nie panuje nad światem (...) śmierć wdarła się na świat przez zazdrość diabła, doświadczą jej ci, którzy stoją po jego stronie". „Bezbożni przywołują śmierć czynem i słowem, tęsknią za nią jak za przyjaciółką i zawierają z nią przymierze. Zasługują na to, by należeć do niej!". „Nie ściągajcie na siebie śmierci, żyjąc w błędzie, nie szykujcie sobie zguby własnymi rękami". Z tych paru wypowiedzi, a podobnych w Biblii jest sporo, wynika, że śmierć jest dziełem diabła i ludzi. To jak to jest, czyżby ten, kto stworzył „człowieka nieśmiertelnym", w zderzeniu z diabłem i człowiekiem nie miał siły to swoje dzieło obronić przed samounicestwieniem? Czyżby Wszechmogący z jakiegoś powodu musiał ustąpić pola stworzeniu?

Tym kłopotliwym, ale i bardzo bolesnym dylematom próbuje zaradzić Paweł. „Skoro bowiem przez człowieka przyszła śmierć – pisze do Koryntian – przez Człowieka też przyszło zmartwychwstanie. Jak właśnie w Adamie wszyscy umierają, tak też w Chrystusie wszyscy zostaną ożywieni". To już jest coś, jakaś nadzieja na to, że nie wszystko kończy się na cmentarzu, ale też rodzi następny szereg pytań. Po co Panu Bogu potrzebne jest to wszystko, co działo się, dzieje i będzie się działo, czyli ten potworny, naznaczony bezmiernym cierpieniem winnych i niewinnych *dans macabre*, nawet jeśli skończy się happy endem? Czy Bóg i jego święci, patrząc choćby na Ukrainę i Bliski Wschód, mimo tego – czy wbrew temu wszystkiemu – co tam się dzieje, potrafią cieszyć się niczym niezmąconym pokojem?

Może więc nie jest tak, jak się sądzi, że śmierć sama w sobie jest dziełem diabła i człowieka? Niekoniecznie musi być postrzegana jako przekleństwo i największe nieszczęście. Śmierć bywa przecież wyznaniem miłości, dzięki czemu przestaje być ofiarą i staje się darem, na co przykładem jest życie i właśnie śmierć Jezusa. Znamy też ludzi, którzy wolą umrzeć niż wyrzec się Miłości. Czyżby śmierć wciąż czekała na odzyskanie dobrej opinii? ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Prawo odwetu

Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko i ząb za ząb. A ja wam powiadam: Nie stawiajcie oporu złemu, lecz jeśli cię ktoś uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi" (Mt 5, 38-41). Proszę mi pozwolić na dwie refleksje związane z tym fragmentem „Kazania na górze", z którym Liturgia skonfrontowała nas w ubiegłym tygodniu.

„Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko i ząb za ząb". Tora mówi to trzykrotnie: „życie za życie, oko za oko, ząb za ząb, rękę za rękę, nogę za nogę, oparzenie za oparzenie, ranę za ranę, siniec za siniec" (Wj 21, 23b-25; por. Kpł 24, 20 i Pwt 19, 21). I niezależnie od tego, jakie emocje towarzyszą nam przy lekturze tej zasady, „prawo odwetu" wtedy, gdy było wprowadzane, miało być wyrazem postępu moralnego, a nie zalegalizowanego okrucieństwa. Nie zezwalało na okrucieństwo, lecz je wyraźnie ograniczało. Wystarczy je zestawić z odnotowaną w Księdze Genesis wypowiedzią Lameka: „Gotów jestem zabić człowieka dorosłego, jeśli on mnie zrani, i dziecko – jeśli mi zrobi siniec. Jeżeli Kain miał być pomszczony siedmiokrotnie, to Lamek siedemdziesiąt siedem razy" (Rdz 4, 23b-24). Wobec takiego zdziczenia „prawo odwetu" domaga się (dziś też się o tym dyskutuje publicznie) reakcji proporcjonalnej do doznanej krzywdy.

Jezus jednak – i tu się pojawia zapowiedziana myśl druga – nie zadowala się postępowaniem wyznaczonym tak zadekretowaną sprawiedliwością (mówi wcześniej wyraźnie o potrzebie „sprawiedliwości większej", zob. Mt 5, 20). Nakazuje: „Nie stawiajcie oporu złemu!".

Polecenie to nie oznacza wcale bezradności i pełnego rezygnacji i bierności („bierny opór") poddania się złu. Nie! Oznacza własny/Boży sposób reagowania na zło. Oznacza własną/Bożą drogę do zwycięstwa, pojmowanego (dodajmy) również na swój własny/Boży sposób.

Najpierw: nie rezygnacja i poddanie się złu – to najlepiej oddaje Pawłowe sformułowanie tego zalecenia, zapisane w Liście do Rzymian (a w naszej, ufam: powszechnej wrażliwości sumienia przez księdza Jerzego): „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj!" (Rz 12, 21).

„Nie dać się zwyciężyć złu" – znaczy z całą pewnością: nie dać sobie narzucić jego logiki, nie poddać się dyscyplinie jego działania, ochronić własne myślenie i sumienie przed zgodą na przemoc.

Ale co znaczy: „zwyciężyć zło"? Kiedy można mówi o zwycięstwie nad złem? Czy wtedy, gdy nasz przeciwnik został unicestwiony? Czy raczej wtedy, gdy został przez nas pozyskany? Interesuje nas odwet czy odbudowana relacja? ©

Uczyń dobro,
o którym pamiętasz,
a odkryje się
przed tobą to,
o którym
nie pamiętasz.

MAREK ASCETA

Nie proś bogów
o nic dla siebie,
bo nie wiesz,
co przyniesie ci
największy pożytek.

PITAGORAS

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (30 VI – 7 VII)

13. niedziela zwykła: Mdr 1, 13-15; 2, 23-24; Ps 30; 2 Kor 8, 7. 9. 13-15; Mk 5, 21-43;
Poniedziałek: Am 2, 6-10. 13-16; Ps 50; Mt 8, 18-22;
Wtorek: Am 3, 1-8. 4, 11-12; Ps 5; Mt 8, 23-27;
Środa: Ef 2, 19-22; Ps 117; J 20, 24-29;
Czwartek: Am 7, 10-17; Ps 19; Mt 9, 1-8;
Piątek: Am 8, 4-6. 9-12; Ps 119; Mt 9, 9-13;
Sobota: Am 9, 11-15; Ps 85; Mt 9, 14-17;
14. niedziela zwykła: Ez 2, 2-5; Ps 123; 2 Kor 12, 7-10; Mk 6, 1-6.

PALMA ASPIRACJI

Wakacje nie służą dziś tylko do odpoczynku. Na urlopie rywalizujemy o pozycję, toczymy walkę klas i szukamy swojego miejsca w Europie.

JAKUB DYMEK

W TYM ROKU NA WAKACJE WYJEDZIE 20 milionów rodaków – z czego blisko połowa, bo aż 9 milionów, deklaruje, że wybierze się za granicę. To samo w sobie nie jest już szokiem. Podobnie licznie udawaliśmy się na wakacje także u schyłku poprzedniej dekady, zanim pandemia i ograniczenia w podróżowaniu nie kazały nam skorygować planów. Ale obecny trend wzrostowy, szczególnie jeśli chodzi o zagranicę, jest widoczny.

Pytanie o to, czy to skutek większych transferów społecznych, rosnących dochodów gospodarstw domowych i wzrastających ambicji, jest właściwie zbędne. Wiadomo, że stać nas na więcej, konsumenckie apetyty rosną, a sformułowanie „egzotyczne wakacje" przestało być synonimem luksusu.

Nawet jeśli wziąć pod uwagę badania planów Polaków na lato, publikowane przez CBOS, które są bardziej zachowawcze od szacunków branży turystycznej i prywatnych ośrodków badawczych – widać zmianę. W 2018, 2019 i w 2024 r. co najmniej dwudniowy wyjazd w celach wypoczynkowych planowało już 64 proc. Polaków. Jednocześnie blisko dekadę temu udział podróży zagranicznych zaczął stabilizować się na poziomie 40 proc., co oznacza, że w poszukiwaniu wypoczynku lub przygody corocznie wyjeżdżają poza Polskę miliony rodaków. Co ciekawe, niedostatek pieniędzy w zasadzie ich nie powstrzymuje. O ile jeszcze w 2015 r. 40 proc. badanych przez CBOS deklarowało brak środków jako powód, dla którego nie udają się na wakacje, a brak możliwości wzięcia urlopu kolejne 5 proc. – to w 2023 i 2024 r. wskazania te spadły do 27 proc. (brak pieniędzy) i 1-2 proc. (brak urlopu).

Jeśli jednak wakacje nie są dla większości społeczeństwa luksusem i rzadkim dobrem, to czym się stały? Czasem z dala od obowiązków czy jeszcze jedną przestrzenią rywalizacji – o prestiż, status i przynależność? A może dziedziną życia, w której próbujemy przewalczyć swoje kompleksy – i to nie tylko te indywidualne? Albo lustrem, w którym przeglądamy się, szukając odpowiedzi na pytanie o swoją tożsamość?

„Polskie Malediwy" – kąpielisko na terenach nieczynnego kamieniołomu w Jaworznie, maj 2024 r.

OMAR MARQUES / ANADOLU / EAST NEWS

Czas kaowców

By odpowiedzieć na pytanie o rolę wakacji współcześnie, trzeba się trochę cofnąć. Najlepiej do PRL i trwającego kilka dekad procesu – jak nazywają to socjologowie – „demokratyzacji czasu wolnego". Oczywiście, to nie władza ludowa przyprowadziła do Polski idee masowego i zorganizowanego wypoczynku. Ale z całą pewnością to w tamtej epoce idea „wczasów" (najlepiej z dopiskiem: „pracowniczych") stała się ważną częścią całego projektu społecznego i państwowej ideologii. Konstytucja PRL przyznała obywatelom prawo do wypoczynku w 1950 r., a od pierwszych lat powojennych aparat państwa i sternicy gospodarki centralnie planowanej kładli nacisk na to, by robotnicy i ich dzieci korzystali ze zorganizowanego wypoczynku naprawdę masowo.

Już w 1948 r. w zrujnowanym wojną kraju liczba dzieci wyjeżdżających latem na kolonie i obozy dobiła do pół miliona – czyli więcej niż w II RP. W latach 50. ambicje Funduszu Wczasów Pracowniczych sięgały organizacji wakacji dla dwóch milionów pracujących Polaków – dla wielu z tych ludzi dwutygodniowe wolne i wyjazd na wakacje były nowością.

Kolektywny charakter wypoczynku nie był podyktowany wyłącznie wymogami ustroju. Początkowo dla milionów Polaków wyjazd do ośrodka wypoczynkowego był doświadczeniem na tyle niecodziennym, że nie chcieli jeździć bez rodzin, potrzebowali przewodników i takiej formy wyjazdu, która nie narazi ich na wstyd i poczucie wyobcowania (stąd też wzięli się niesławni kaowcy i zorganizowane zajęcia edukacyjno-oświatowe).

Wakacje naszej klasy

W ciągu trzech pierwszych dekad PRL upowszechnienie idei wypoczynku się powiodło. Do lat 70. wczasy stały się powszechne, choć na pewno nie dla rodzin i dzieci rolników (pracujących wtedy ciężko w polu). Wypoczynek rzeczywiście się zdemokratyzował, mimo że nie było wtedy raczej mowy o wyjazdach zagranicznych. W całym kraju powstały tysiące ośrodków turystycznych, a architektura domków kempingowych i modernistycznych domów wypoczynkowych wpisała się na stałe w krajobraz. Najlepiej ustawieni mogli co prawda dostać paszport i pojechać za granicę (a nawet przy okazji dorobić), ale nie było to konieczne, by wypocząć lub dobrze się bawić. A skoro wybór lokalizacji i atrakcji był mocno ograniczony, to i idea wakacji jako okazji do podkreślenia swojej pozycji społecznej i towarzyskiej była ograniczona do bardzo wąskiego grona.

Analogicznie: ponad 30 lat po przełomie 1989 r. przeżywamy kolejną rewolucję demokratyzacji czasu wolnego. I tak jak tamta miała być w założeniach ludowa, egalitarna i powszechna, tak dzisiejsza jest głęboko indywidualistyczna, komercyjna, a czasem wręcz oparta na rywalizacji.

Niegdyś wczasy miały być dostępne dla każdego, niezależnie od klasy społecznej. Dziś trzeba spędzać czas wolny tak, by nie wypaść gorzej, niż nakazywałyby aspiracje naszej klasy. Nawet więcej: by nie zaznać deklasacji. Wybór tego, gdzie, jak i po co jedziemy, jest istotny. Może być tym, co nas wyróżni – albo zagwarantuje przynależność. Powszechny dostęp do rekreacji i wypoczynku, polepszająca się sytuacja materialna Polaków i dobra sytuacja na rynku pracy (bez niej przecież trudno o dobre wakacje) przyniosły ze sobą nie tylko nadzieje, ale i nowe niepokoje.

Najazd Hunów

– Łatwiejsza dostępność cenowa wyjazdów wakacyjnych, w tym zagranicznych, okazała się z perspektywy niektórych Polaków nie zbawieniem, ale zdradą. Uderzeniem w jedną z fundamentalnych obietnic III RP – zaczyna brutalnie Przemysław Sadura, socjolog z UW i współautor książki „Społeczeństwo populistów". Ale jak to? – dopytuję. Dlaczego akurat coś tak niegroźnego jak wakacje pod palmami miałoby być źródłem społecznych napięć?

– Fakt, że coraz więcej osób stać na wyjazdy zagraniczne, uderza w mit założycielski „kultury zapierdolu". Mit ten mówił, że w III RP nie dostaniemy może dobrych usług publicznych, hojnych świadczeń i wysokiej jakości państwa, ale na pewno wszystko, co wyszarpiemy sami, będzie tylko nasze. A tu się okazuje, że wyjazdy zagraniczne i egzotyka już nie są zarezerwowane wyłącznie dla tych, którzy sobie to wyszarpali. Rośnie grono ludzi, których zwyczajnie na to stać. I nawet nie musieli dorabiać się w tym celu przez lata! Po prostu wakacje to coś, czym cieszy się także klasa ludowa – wyjaśnia Sadura. I dodaje, że PiS sporo tu pomógł, bo dzięki transferom społecznym wakacyjne ↦

kierunki, postrzegane wcześniej jako prestiżowe i egzotyczne, najzwyczajniej przestały takimi być.

Intuicja Sadury wydaje się trafna. Po pierwsze, liczba wyjeżdżających na wakacje – w tym zagraniczne – jest po 2015 r. w trendzie wzrostowym. Po drugie, nie brakuje publicystycznych analiz łączących ten fakt ze świadczeniem 500+, koronnym programem PiS. Już w 2016 r. „Newsweek" straszył „najazdem Hunów" nad Bałtyk. Podróżujący tam wówczas na wakacje Polacy mieli być, zdaniem tego tygodnika, dużo gorsi niż korzystający z zakładowych wczasów robotnicy w PRL. Niespecjalnie dyskretnie łączono fakt rzekomego radykalnego pogorszenia się obyczajów – „pijani", „zarzygani", „kradną", „państwo Kiepscy", „półprzytomni", „myją w morzu dzieci ubrudzone fekaliami" – z wprowadzeniem programu 500+.

Horyzont ucieka

Ale skoro niezamożne dotąd rodziny mogą pojechać na wakacje marzeń, to czy nie powinniśmy się cieszyć? Sadura przekonuje, że przeciwnie: emocje, jakie budzi ta zmiana, dalekie są od pozytywnych.

– Spędzanie czasu wolnego jest swego rodzaju grą w klasy – mówi autor „Społeczeństwa populistów". – Klasa średnia często imituje nawyki klasy wyższej, żeby ją gonić. Bogatych stać jednak na to, żeby jeździć w coraz to bardziej egzotyczne miejsca i wymyślać coraz to bardziej atrakcyjne wypady. A więc horyzont ucieka. Pojawia się presja, żeby nie tylko pojechać za granicę, ale tam, gdzie nie spotkamy innych, mniej zamożnych czy gorzej ubranych od nas rodaków.

To prawidłowość znana socjologii od grubo ponad stulecia. Im bardziej jakieś dobro konsumpcyjne staje się dostępne, tym szybciej traci jako oznaka statusu i pozycji. W czasach rosnącej zamożności społeczeństw walka pewnych klas o to, żeby się wyróżnić, nie słabnie, ale przybiera na sile. Gdy Egipt, Tunezja czy Turcja stały się relatywnie tanim kierunkiem wyjazdu – nierzadko tańszym niż polski kurort – ci, którzy aspirują, muszą jeździć dalej i dalej. Kraje europejskie, do których dwie dekady temu Polacy trafiali, by dorobić, dziś są na wyciągnięcie ręki – według CBOS tylko do Włoch w tym roku pojedzie 20 proc. udających się na wypoczynek rodaków, nieco mniej do Grecji i Hiszpanii. Niektórzy z nas w ciągu sezonu odwiedzą kilka krajów.

> Łatwiejsza dostępność cenowa zagranicznych wyjazdów wakacyjnych okazała się z perspektywy niektórych Polaków nie zbawieniem, ale zdradą. **Uważają oni, że zbyt wielu rodaków na nie stać.**

– W trakcie badań coraz częściej słyszymy od respondentów sformułowania w rodzaju: „to nie jest kraj dla klasy średniej" – podsumowuje Sadura. I podkreśla, że to nie tylko zagadnienie dotyczące społecznych zmian, ale problem polityczny: – To stawia rządzących w niełatwej pozycji. Musi dać poczucie satysfakcji swoim wyborcom z klasy średniej, ale nie kosztem uboższych. Bo oni zawsze mogą umożliwić powrót PiS do władzy – mówi.

Uśrednieni średniacy

„Znowu jesteśmy w takiej sytuacji, że jesteśmy takimi europejskimi biedakami. Nawet jak sobie trochę odłożysz przez cały rok, to czujesz, że jest źle, że te pieniądze są nieadekwatne, że procentowo do tego, co zarabiasz, wyjeżdżanie stało się znowu wielkim wydatkiem" – to wypowiedź uczestnika badania obejmującego sympatyków aktualnej większości rządowej, którą przytacza w rozmowie z „Tygodnikiem" Marcin Duma, prezes agencji badawczej IBRiS.

Ten cytat, choć nie znajduje oparcia we wskaźnikach *de facto* rosnącej siły nabywczej polskich pensji, spadającej inflacji i nie tak znów słabego złotego, dobrze odzwierciedla pewną społeczną emocję.

Duma przekonuje, że w naszych troskach o dobrze spędzone wakacje nie odbija się tylko rywalizacja klas. Zdaniem szefa IBRiS-u za narzekaniami na inflację i niezdolność do spełnienia konsumpcyjnych aspiracji stoi obawa, że rządy PO nie będą lepsze niż PiS.

– Sympatyk rządu myśli sobie, że to dobrze, iż powstały wszystkie te komisje śledcze do rozliczenia PiS-u, że pogoniono zarządy TVP i spółek skarbu państwa – tłumaczy Duma. – Ale pyta się: a gdzie pieniążki? Kiedy to KPO, te miliardy, ten europejski dobrobyt do nas przyjdzie? Przecież pan premier tyle nam naobiecywał...

Przypominam sobie te wszystkie nagłówki z gazet, które straszyły, że w czasach inflacji, rosnącego zadłużenia publicznego, drogiej energii i wojny, najbardziej oberwą aspirujący średniacy. To oni – ani biedni, ani nie za bardzo bogaci – stracą styl życia, którego synonimem stały się tanie loty do europejskich miast i konsumpcja w euro. „Ewidentnie kończą się czasy, że z nudów leciało się do Włoch za 50 zł, żeby zjeść pizzę i wrócić" – mówił „Gazecie Wyborczej" informatyk Paweł w 2022 r. „Lodówka pełna, ale cały czas się boimy", „Jedziemy na wakacje, bo za rok będzie tylko gorzej", „Nie pójdę do fryzjera, żeby mieć na czarną godzinę, jak mnie znowu ten kraj wystawi", „Hiszpania tylko dla bogatych?" – to tylko kilka nagłówków ze stron tego dziennika w ostatnich dwóch latach.

Polskie strefy

O co tu naprawdę chodzi? Polacy mają przekonanie, że 8 lat władzy PiS pomogło mniej zamożnym, a w szczególności rodzinom wielodzietnym.

– Po stronie klasy średniej od kilku lat pojawia się oczekiwanie, że także jej należy się więcej. A premier Donald Tusk jest twarzą tej obietnicy. Żeby odnaleźć to napięcie związane z obawami o zdolność rządu do jej zrealizowania, nie trzeba głęboko kopać. Sympatykom rządowej większości chodzi o to, żeby poprawiło się konkretnie i w bardzo czytelny sposób właśnie im. A nie tym, co jeżdżą nad Bałtyk i wiadomo, co na tych wydmach robią – śmieje się Duma.

Wraz ze wzrastającą liczbą wyjazdów zagranicznych i rosnącą zamożnością coraz powszechniejsze staje się bowiem

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

BARTŁOMIEJ JURECKI / FORUM

Polscy turyści w Gizie, Egipt, sierpień 2010 r.

porównywanie naszej – Polaków – pozycji nie do krajów „nowej UE", ale najzamożniejszych państw Europy. Szef IBRiS wiąże więc powstawanie „polskich stref" w zagranicznych kurortach nie z naszymi kompleksami, ale przeciwnie – z potrzebą, abyśmy mieli wszystko to, co Holendrzy, Niemcy i Anglicy. Nawet to, że za granicą zachowujemy się czasem niegrzecznie, głośno i obcesowo, może być dowodem przekroczenia kompleksów i butnego udowadniania, że stać nas na to samo. Nawet na ostentację i eksces, którą pokazują czasem bawiący się w polskich miastach zagraniczni, głównie brytyjscy, turyści.

Lato w innym stanie świadomości

– Gdzie znajduje się nasza palma aspiracji? To oczywiste – mówi Jacek Wasilewski, zajmujący się językiem mediów, marketingu i opisu zachodzących w Polsce przemian. – Coraz dalej i dalej: już nie w Egipcie, prędzej w Indonezji i na Bali, wszędzie tam, gdzie do niedawna jeździli Niemcy, a dziś możemy i my. A za chwilę nawet tam, gdzie i oni nie mogli sobie jeszcze wczoraj pozwolić.

Ale nie chodzi tu, wbrew pozorom, o rywalizację z innymi narodami, podkreśla Wasilewski. On też uważa, że chodzi o przekraczanie własnych ograniczeń w ramach bardzo wąskiej grupy podobnych nam pod względem biograficznym i zawodowym ludzi.

– Pojawia się więc druga, obok wypoczynku, potrzeba. Aspirujemy do samorozwoju. Wakacje służą do zrealizowania ambicji, które niegdyś zamożnym Amerykanom czy Europejczykom dawały Indie. Odszukania siebie, duchowego poznania, wejścia, czasem dosłownie, na inny poziom świadomości – tłumaczy. – Jednak w odróżnieniu od lat 70. i czasów hipisów, dziś to głęboko skomercjalizowane i uszyte pod bardzo konkretne potrzeby turystyczne pakiety, obsługujące szereg różnych ambicji: wyjazd na jogę i medytację, cyfrowy detoks albo wizyta u szamana i spożycie ayahuaski.

Szczeble do zdobycia

A jeśli sport i rekreacja, to w odległym od powszechnego, egalitarnego, „ludowego" wydania: Wasilewski wymienia rajdy samochodowe przez bezdroża Eurazji, wyprawy konne połączone z elementami survivalu, kolarstwo szutrowe albo szosowe z obowiązkowym zaliczeniem przełęczy i górskich serpentyn, znanych z telewizyjnych transmisji największych wyścigów.

To charakterystyczny typ wakacyjnego wyjazdu. Pozwala połączyć pozornie sprzeczne potrzeby: czas wolny z rywalizacją, pokonywanie osobistych barier i zdobywanie nowych osiągnięć, z dającym bezpieczeństwo przebywaniem w grupie. Przynosi też okazję do porównania się z innymi – jednak nie na tyle odległymi pod względem zamożności, kondycji fizycznej i potrzeb, żeby musieć się wstydzić.

Badania wskazujące na rosnącą popularność sportów ekstremalnych i zmieniająca się oferta turystyczna potwierdzają intuicję Wasilewskiego. To nie tylko wyjazdy połączone ze sportem, nie tylko przygody i odkrycia natury duchowej, ale i wyprawy do Skandynawii (by obcować z naturą i uprawiać *nordic walking*) albo wyjazdy skrojone na potrzeby samotnych kobiet, które chcą zwiedzić dzikie ostępy bez dzieci i mężczyzn wokół, przy okazji bezpiecznie. Tak działa glamping, czyli połączenie luksusu („glam") z prostotą kempingu czy integracja w „zrewitalizowanym" budynku dawnego gospodarstwa rolnego lub winiarni, połączona z degustacją lokalnych alkoholi.

Głód i potrzeba, którą chcemy zaspokoić, nie dotyczą już wyrwania się z pracy ani wyrwania się z kompleksów, lecz osiągnięcia czegoś więcej – przekonuje Wasilewski. Słowem: nawet na wakacjach potrzebujemy realizować cele, przeskakiwać bariery i zdobywać kolejne szczeble awansu. Trochę jakbyśmy wcale się nie wyrwali z budynku korporacji.

Polityczna pizza

Tak naprawdę nie chodzi tylko o wakacje. Jak widać, są one lustrem większych niepokojów – o status, awans, przyszłość i zdolność „dowiezienia" obietnic przez rząd. To dzięki nim, a konkretnie dzięki dokonywanym w ich trakcie wyborom, odpowiadamy sobie na pytanie, kim jesteśmy. Czy przynależymy wciąż do „gorszej" Europy – i ktoś myli nas z Rosjanami, Białorusinami czy Ukraińcami? A może – i tu pojawia się wielka ulga – jesteśmy nieodróżnialni od Niemców, Hiszpanów i Brytyjczyków?

Jeśli bowiem wakacje w późnym kapitalizmie dają wolność – to nie wolność od rywalizacji i „gry w klasy", o której mówi Sadura. Inni letnicy są dla nas nie tylko kompanami urlopu, ale także grupą, na tle której dokonujemy oceny własnej pozycji. Dla Polaków, których na wakacje stać, pieniądze same w sobie stają się mniejszym problemem. Bardziej boją się uciekającego horyzontu – „palma luksusu" się oddala. A klasa średnia – jak cytowany przez Dumę sympatyk rządu – boi się statusu „europejskich biedaków".

I choć czas wolny – jak prawie wszystko inne – został poddany w III RP głębokiej prywatyzacji, to wciąż oczekujemy od rządzących, że się o nas zatroszczą. To, co pozornie prywatne, ma swój polityczny wymiar. Rządzący zaś muszą grać razem ze swoimi wyborcami – podtrzymując ambicje, ale nie dopuszczając do tego, by urosły ponad miarę i prowadziły do niezadowolenia. Hasłem klasy średniej w Polsce AD 2024 jest: „pizza w Neapolu naszym prawem".

© JAKUB DYMEK

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

Kampania Konfederacji do Europarlamentu. Na zdjęciu Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak. Warszawa, 7 czerwca 2024 r.

Pogoń Konfederacji

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Jeśli formacji Bosaka i Mentzena dobrze pójdą przyszłoroczne wybory prezydenckie, Konfederacja może stać się głównym ugrupowaniem na prawicy w miejsce ogarniętego kryzysem i starzejącego się PiS. To nie będzie jednak łatwa droga.

Skończył się właśnie maraton wyborczy, rozpoczęty październikowymi wyborami do Sejmu i Senatu, a zakończony czerwcową elekcją do Parlamentu Europejskiego. Gdyby próbować wyciągnąć wnioski z sumarycznych wyników tych wyborów, można zaobserwować kilka tendencji. Przede wszystkim widać rosnące poparcie dla Koalicji Obywatelskiej, skutkujące wymianą lidera wyścigu wyborczego. O ile zwycięstwo PiS nad KO w październiku 2023 r. było zdecydowane (35 proc. do 30 proc.), w kwietniowych wyborach samorządowych (do sejmików w skali kraju) już mniej wyraźnie (34 do 30), to w wyborach do PE nastąpiła zmiana lidera i KO wygrała z PiS 37 do 36.

Inna tendencja to systematyczne przesuwanie się Konfederacji w górę tego peletonu. W październikowych wyborach parlamentarnych zamykała ona stawkę tych, którzy przekroczyli próg wyborczy. W wyborach samorządowych wyprzedziła już lewicę, natomiast w wyborach do PE zajęła trzecie miejsce z wynikiem 12 proc., zostawiając w tyle kolejne ugrupowanie – Trzecią Drogę.

Zajść PiS z prawej flanki

Oczywiście wpływ na to miały różne czynniki, wybory te są poza tym w niewielkim stopniu porównywalne, bo różni je frekwencja oraz stopień zainteresowania elektoratów poszczególnych partii. Ale przy analizie wyników od razu nasuwa się pytanie, czy wobec stopniowego słabnięcia PiS, starzenia się jego aktywu i elektoratu i przy jednoczesnym wzroście siły Konfederacji może kiedyś dojść do zamiany miejsc między tymi dwiema formacjami.

Obie mają nieco zbliżony program, odwołujący się do wartości mocno konserwatywnych, sceptyczny wobec Unii Europejskiej. Konfederacja ma jeszcze tę przewagę, że posiada znacznie młodszy elektorat od PiS. Została utworzona przed wyborami do Parlamentu Europejskiego w 2019 r. przez różne niewielkie prawicowe ruchy. Była sojuszem „wolnościowców" i „narodowców", ale podchodzących nowocześniej do polityki i mediów społecznościowych oraz kierowanych przez dużo młodszych działaczy. I dlatego od momentu jej powstania PiS dostrzega z tej strony poważne zagrożenie. Jarosław Kaczyński miał bowiem zawsze największe obawy przed formacjami, które mogą zajść PiS z prawej flanki. Dziś ten strach w PiS jest większy niż kiedykolwiek.

Po tym jak w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2019 r. PiS odniósł ogromny sukces, a Konfederacji nie udało się przekroczyć progu, formacja Kaczyńskiego robiła wszystko, by zepchnąć ugrupowanie firmowane przez Korwin-Mikkego, Bosaka i Brauna do politycznego niebytu. Media publiczne, będące wówczas instrumentem propagandy PiS, „nie zauważały", że w ogóle taki podmiot istnieje. Gdy zaś krótko przed zaplanowanymi na październik 2019 r. wyborami parlamentarnymi sondaże dawały jednak Konfederacji zauważalne poparcie, media rządowe zaczęły ją atakować m.in. za rzekomo podejrzane związki z Rosją.

Wszystkie te zabiegi okazały się nieskuteczne – Konfederacja w wyborach z 2019 r. przekroczyła próg i przez cztery następne lata mocno zakorzeniła się na scenie parlamentarnej. Pomogła jej w tym pandemia, czyniąc ją politycznym depozytariuszem wszystkich ruchów spiskowych i antyszczepionkowych, obecnych otwarcie w części Konfederacji. Wszyscy zapamiętali np. regularne wykluczanie z posiedzeń Sejmu przez marszałek Elżbietę Witek posła Grzegorza

Brauna za to, że notorycznie nie chciał zakładać maseczki.

Były już takie historie

Sytuacje, w których dochodziło do wymiany głównej siły politycznej, odwołującej się do określonego elektoratu, w przeszłości miały już miejsce. Najbardziej spektakularny przykład to przejęcie bardzo wielu zwolenników Akcji Wyborczej Solidarność przez Prawo i Sprawiedliwość. AWS wygrała wybory w 1997 r. i rządziła, przez większość czasu wspólnie z Unią Wolności. PiS powstał niedługo przed kolejnymi wyborami w 2001 r. na fali popularności Lecha Kaczyńskiego, powołanego na ministra sprawiedliwości w rządzie mniejszościowym Jerzego Buzka.

Jednak to właśnie powstanie PiS, choć w wyborach 2001 r. formacja ta osiągnęła wynik poniżej 10 proc. i zaledwie czwarte miejsce, stało się gwoździem do trumny skompromitowanej AWS, która startując jako koalicja, nie przekroczyła 8-procentowego progu wyborczego (część wyborców zabrała utworzona też wtedy PO, choć jej ofiarą padła z kolei Unia Wolności). Zresztą przed wyborami toczyły się nawet rozmowy o wspólnym starcie PiS i AWS, ale ugrupowanie braci Kaczyńskich zdecydowało o samodzielnej drodze, ostatecznie pogrążając AWS. Nawet dziś większość działaczy i parlamentarzystów PiS ma za sobą epizod w AWS.

Czy do podobnego zjawiska może dojść w najbliższym czasie, tyle że tym razem PiS zostanie „skanibalizowane" przez młodszą Konfederację? Politolodzy w to trochę powątpiewają, zwracając uwagę na zupełnie inną sytuację polityczną, szereg ograniczeń formacji Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena oraz różnice między elektoratami.

Prof. Andrzej Rychard z PAN przywołuje niedawno opublikowane badania Andrzeja Machowskiego, z których wynika, że między wyborami parlamentarnymi a europejskimi Konfederacja zyskała wyborców kosztem wszystkich ugrupowań. Najwięcej kosztem elektoratu PiS, ale obecna koalicja rządząca też ma problem – aż 220 tys. jej wyborców z października w elekcji do PE opowiedziało się za Konfederacją.

– Zgadzam się z tymi, którzy mówią, że nie można przepływów między wyborami parlamentarnymi a europejskimi liczyć jeden do jednego, ale te badania pokazują, że coś jest na rzeczy – mówi Rychard. Przyznaje, że PiS i Konfederacja mają zbliżony elektorat, czyli m.in. ludzi o poglądach konserwatywnych i antymodernizacyjnych. Tym niemniej kierunek przepływu elektoratów jest dziś zdaniem Rycharda trudny do określenia.

– Jeśli PiS będzie utrzymywał silnie antyimigrancką i antyunijną retorykę, a nic nie wskazuje na to, że miałoby się to zmienić, może też zyskiwać kosztem Konfederacji, np. zdobyć część młodego elektoratu – mówi Rychard.

Dwie Konfederacje, dwa PiS-y

Kłopot w tym, że kierowany przez starą gwardię PiS nie mówi językiem młodych ludzi, co niemal do perfekcji opanował Mentzen z Bosakiem. Barierą mogą być też bardziej liberalne gospodarczo poglądy Konfederacji i niechęć do „rozdawnictwa". – Choć na to PiS może znaleźć remedium, jeśli zacznie znów przedstawiać się jako obrońca małych polskich przedsiębiorców, ciemiężonych przez zagraniczne korporacje – przyznaje socjolog.

Zdaniem prof. Antoniego Dudka z UKSW – w krótkiej perspektywie nie będzie jeszcze istotniejszego przepływu elektoratu między PiS a Konfederacją. – Niektórzy sądzą, że PiS uderza w temat migrantów właśnie dlatego, że boi się odpływu wyborców do Konfederacji. Ja jednak uważam, że ten przepływ jest ograniczony. Konfederacja w obecnej formule moim zdaniem nie zdoła zabrać PiS więcej niż kilka procent. Żywi się bowiem młodymi wyborcami, którzy dotąd nie brali udziału w życiu politycznym i mają niestabilne preferencje. To widać w badaniach, z których wynika, że Konfederacja podbiera wyborców różnym partiom.

Stąd, zdaniem Dudka, scenariusz słabnięcia PiS i przejmowania jego wyborców przez Konfederację wydaje się na razie mało prawdopodobny. Natomiast w dłuższej perspektywie, dodaje politolog, po odejściu Jarosława Kaczyńskiego może dojść do dużej rekonfiguracji prawicy i wtedy część PiS razem z częścią Konfederacji może tworzyć nową formację prawicową.

– Zarówno w PiS, jak i w Konfederacji można już dziś zaobserwować odmienne potencjalne byty polityczne – zwraca uwagę Dudek. – Jest Konfederacja Bosaka i Konfederacja Mentzena. Jest PiS Morawieckiego i jest PiS Czarnka. PiS-owi Czarnka nie jest daleko do Konfederacji Bosaka, a PiS Morawieckiego nie jest daleko od Konfederacji Mentzena – wyjaśnia.

Różnice widać przede wszystkim w kwestiach gospodarczych i w stosunku do Unii Europejskiej. Pion „Czarnkowo-Bosakowy" jest znacznie bardziej eurosceptyczny i znacznie bardziej etatystyczny w znaczeniu podkreślenia roli państwa w gospodarce od pionu Mentzenowo-Morawieckiego. – Ten ostatni jest z kolei znacznie bardziej rynkowy, a zarazem mniej bigoteryjno-katolicki – ocenia politolog.

Zdaniem prof. Dudka, jeżeli po odejściu Kaczyńskiego doszłoby w PiS do pęknięcia, to można sobie wyobrazić, że ze zmiksowania Konfederacji i PiS wyrastają dwie formacje prawicy. – Nie wiem, która byłaby silniejsza, prawdopodobnie ta Czarnkowo-Bosakowa, ale to zależałoby od wielu czynników – mówi Dudek.

Również szybka zmiana na prawicowym podium mogłaby nastąpić tylko w przypadku, gdyby w przyszłorocznych wyborach prezydenckich kandydat Konfederacji, np. Krzysztof Bosak, osiągnął dobry wynik. Ideałem byłby dla tego środowiska rezultat lepszy od kandydata PiS i wejście konfederaty do drugiej tury oraz walka w niej z kandydatem Koalicji Obywatelskiej. Jednak ten scenariusz, ocenia Dudek, jest bardzo mało prawdopodobny. Żeby się ziścił, PiS musiałby wystawić w wyborach prezydenckich wyjątkowo nieudanego kandydata.

■■■

Takiego scenariusza nie można wykluczyć. PiS jest dziś pogrążony w powyborczych rozliczeniach i wykonuje różne przedziwne ruchy. W ugrupowaniu Kaczyńskiego można usłyszeć, że szeroko dyskutowana zmiana szyldu (w grę wchodziła np. nazwa Biało-Czerwoni) była częściowo podyktowana zamiarem poszukiwania nowych wyborców i właśnie ucieczką przed Konfederacją. Natomiast spory o kandydata w wyborach prezydenckich nie wyłoniły na razie żadnej mocnej postaci. Lider rankingów, Mateusz Morawiecki, to dla Kaczyńskiego ostateczność i wersja raczej niechciana. Jego pozycji na pewno nie wzmacniają plotki, że wraz z prezydentem Andrzejem Dudą były premier czyha na przejęcie rządu dusz z rąk prezesa PiS. To wszystko działa na korzyść Konfederacji. ©℗

Wojna i pokoje

MAREK RABIJ

Przez ponad trzydzieści lat nie udało się zaspokoić polskiego głodu mieszkań metodami wolnorynkowymi. Dlaczego więc w ten sam sposób próbujemy poradzić sobie z brakiem miejsc w akademikach?

Już niebawem problem na chwilę zniknie nam z oczu. Ponad 1,2 miliona polskich studentów kończy właśnie letnią sesję egzaminacyjną. Część ma już w ręku promocję, reszta powalczy o nią jeszcze jesienią. Na czas wakacji częściowo opustoszeją także 444 publiczne i prywatne akademiki, ale już w wrześniu, wraz ze zbliżającym się nowym rokiem akademickim, ruszy doroczny wyścig do ponad 115 tysięcy miejsc noclegowych oferowanych przez domy studenckie. I jak co roku, walka będzie zażarta. Na jedno łóżko przypadać będzie statystycznie około 10 studentów. W żadnym kraju tej części Europy o miejsce w akademiku nie jest tak trudno jak dziś w Polsce.

Rzecz jasna, nie wszyscy studenci marzą o zamieszkaniu w takim miejscu. Jednych odstrasza brak prywatności, innych zniechęcają spartańskie warunki lub niesprzyjająca nauce atmosfera. Jeszcze inni prostu nie spełniają kryteriów dochodowych narzucanych przez uczelnie. Część studentów stanowią zresztą miejscowi, którzy na zajęcia będą zrywać się z tego samego łóżka, z którego zwlekali się przez cztery lata szkoły ponadpodstawowej. Jakkolwiek by liczyć, już za trzy miesiące akademicka Polska ocknie się ze zdumieniem, że w kolejny rok nauki wchodzi z wielkim deficytem miejsc w akademikach. Jedni będą wyrażać go w okrągłych liczbach, dochodzących nawet do 400 tysięcy. Inni – jak prof. Jacek Popiel, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego – wskażą raczej na utracone przez to korzyści.

– Reformy systemu szkolnictwa wyższego przeprowadzono w Polsce z założeniem, że do dużych ośrodków akademickich na studia magisterskie będą przenosić się absolwenci studiów licencjackich z mniejszych miast – podkreśla rektor UJ. – Chodziło o to, żeby optymalnie wykorzystać potencjał naukowy i dydaktyczny największych uniwersytetów i dać szansę młodym ludziom zdobyć nowe doświadczenia. Od co najmniej dwóch lat obserwujemy jednak postępujący spadek odsetka studentów drugiego stopnia, którzy nie pochodzą z Krakowa i okolic. I nie sposób nie połączyć tego z kryzysem kosztów życia w dużych miastach. Dla coraz większej liczby naszych studentów miejsce w akademiku to być albo nie być na studiach.

Rektor sięga po statystyki. Tylko w październiku ub. roku ze studiów na UJ zrezygnowało 29 osób, które nie otrzymały miejsca w domu studenckim. Rok wcześniej odpadły aż 42 osoby. Na początku roku akademickiego 2021-22 brak przydziału akademika zmusił do rezygnacji 17 osób.

Taka dynamika – podkreśla rektor – nie jest dziełem przypadku.

Scenariusz ostateczny

Moment, w którym miejsce w domu studenckim stało się w Polsce dobrem deficytowym, można wskazać z chirurgiczną precyzją. 24 lutego 2022 roku, pierwszy dzień agresji Rosji na Ukrainę. Kilka dni później w Polsce jest już kilkaset tysięcy uciekinierów z terenów objętych bądź zagrożonych działaniami wojennymi. Ceny najmu mieszkań, zwłaszcza w dużych miastach, szybują dosłownie z dnia na dzień. Jesienią na rozgrzany do czerwoności rynek wracają studenci – i podbijają stawki najmu jeszcze wyżej. W listopadzie 2022 r. za wynajem 40-metrowego mieszkania w Krakowie trzeba będzie zapłacić o 33 proc. więcej niż w styczniu. Rok później ceny wzrosną o kolejne 11 proc.

– W roku akademickim 2022-23 popyt na miejsce w akademiku po raz pierwszy od kilku dekad przekroczył podaż – wspomina rektor UJ. – Jeszcze rok wcześniej w całej bazie noclegowej naszej uczelni mieliśmy wiele wolnych łóżek. W ankietach studenci częstokroć pisali, że zamieszkanie w domu studenckim uważają za scenariusz ostateczny, kiedy wyczerpią się inne możliwości.

Inflacja i wywołany przez nią gwałtowny wzrost kosztów utrzymania, zwłaszcza w dużych miastach, sprawił, że „inne możliwości" błyskawicznie zniknęły z pola widzenia. Nawet „scenariusz ostateczny" dla wielu stał się finansowym wyzwaniem. W ub. roku najbardziej przyjaznym kieszeni studenta miastem uniwersyteckim była Łódź, gdzie miejsce w publicznym akademiku kosztowało średnio 590 zł miesięcznie – takie dane przynosi ostatni raport firmy doradczej Cushman & Wakefield, jednego z największych graczy w obrocie nieruchomościami. Najdroższą bazę noclegową dla studentów miał Wrocław, gdzie za łóżko trzeba było zapłacić średnio 810 zł miesięcznie. Największy wybór standardu noclegu i stawek mieli natomiast studenci z Poznania, którym tamtejsze uczelnie publiczne oferowały miejsca w cenach wahających się od 610 do nawet 1650 zł miesięcznie. Z szacunków Cushman & Wakefield wynika, że koszt miejsca w pokoju współdzielonym w akademiku publicznym wzrósł na koniec 2023 roku średnio o 12 proc. w porównaniu z rokiem 2020. Pokój jednooso-

JACEK TARAN

Studencka okupacja akademika UJ Kamionka. Kraków, 19 maja 2024 r.

bowy podrożał w tym samym okresie aż o 40 proc.

W górę poszły jednak nie tylko ceny noclegów. W 2021 r. miesięczne wydatki przeciętnego studenta wynosiły w Polsce 2740 zł. Rok później – jak wynika z raportu „Portfel studenta" przygotowanego na zlecenie Związku Banków Polskich – wzrosły do 3177 zł, by w kolejnym roku poszybować już do 3870 zł. Najdroższą pozycją w studenckim budżecie jest jednak lokum. W ub. roku statystyczny słuchacz polskiej uczelni wydawał na ten cel 1350 zł. Nic też dziwnego, że aż 17 proc. studentów rozważało przerwanie nauki z powodów ekonomicznych. Takie pytanie w badaniu „Portfel studenta" padło po raz pierwszy, trudno więc o retrospektywne porównanie. Łatwiej wskazać ciąg dalszy.

– Poszukiwania miejsca zamieszkania zaczynałam z budżetem 1500 zł miesięcznie – opowiada Zuzanna Kicińska, studentka pierwszego roku politologii na UJ i jedna z bohaterek raportu „Studia drogie jak nigdy", który na łamach „Tygodnika" opublikowaliśmy we wrześniu ub. roku. – Skończyło się na stawce 1600 zł za pokój. Moja umowa wygasa we wrześniu. Właścicielka mieszkania na razie nie wspomina o podwyżce, ale od znajomych słyszę, że za 1500 zł miesięcznie w zasadzie nie da się dziś znaleźć blisko uczelni lokum w stanie nadającym się do zasiedlenia.

Do kości

Zuza uczestniczyła w ostatnich protestach w obronie niezamieszkanego krakowskiego akademika Kamionka, który władze UJ jeszcze w 2018 roku wystawiły na sprzedaż, a po wybuchu wojny w Ukrainie zmieniły w tymczasowy ośrodek dla uchodźców. Protestowała nie w swojej sprawie, lecz w obronie idei. Studia na publicznej uczelni w Polsce z egalitarnych stają się, jak mówi, elitarnymi. Albo pochodzisz z ośrodka uniwersyteckiego i nie martwisz się kosztami, bo mieszkasz nadal z rodzicami, albo jesteś z bogatego domu.

W podobnym klimacie utrzymany był ubiegłoroczny protest poznańskich studentów sprzeciwiających się wyłączeniu, a może nawet rozbiórce akademika Jowita. Dzięki ich determinacji rząd znalazł pieniądze na remont obiektu, wcześniej rzekomo nieopłacalnego. Władze – jak mówi z przekąsem Zuza – jedno mówią, a drugie robią. Każda ekipa rządowa zapowiada dofinansowanie szkolnictwa wyższego. Po dojściu do władzy tnie zaś koszty do kości.

Tkanka polskich akademików faktycznie przeszła serię bolesnych amputacji. Od 2008 roku baza noclegowa uczelni publicznych stopniała w całym kraju aż o 81 domów studenckich. Albo o ponad 37 tysięcy łóżek. Oficjalna liczba oferowanych obecnie miejsc – 112 147 według danych GUS na koniec 2022 roku – nie odzwierciedla zresztą stanu faktycznego. Przyznał to niedawno w wywiadzie sam minister nauki Dariusz Wieczorek, szacując, że około 30 proc. miejsc w domach studenckich uczelni publicznych nie nadaje się do użytku z powodów technicznych. Zliczona w ten sposób baza noclegowa nie przekracza 77 tysięcy łóżek. Kondycja zaplecza socjalnego polskiego szkolnictwa wyższego wielkimi krokami zbliża się więc do agonalnego stanu polskiego budownictwa komunalnego.

Rząd dostrzega problem

Mieszkanie nie jest towarem, lecz prawem – powtarzał tymczasem Donald Tusk podczas zeszłorocznej kampanii do parlamentu. Głos szefa Platformy miał tu zgrywać się idealnie z leitmotivem koalicyjnej Lewicy, która do wyborów szła z hasłem tanich mieszkań na wynajem. Temat wrócił potem w exposé Tuska, do którego bezpośrednio odwołuje się przygotowywana właśnie ustawa „o zmianie ustawy o społecznych formach rozwoju mieszkalnictwa oraz niektórych innych ustaw".

Szykowany przez rząd akt prawny ma – jak można przeczytać w jego streszczeniu – doprowadzić również do rozszerzenia celów rządowego programu budownictwa socjalnego i komunalnego o element zaspokajający „potrzeby mieszkaniowe studentów" i sprawić, „że jego beneficjentami staną się także uczelnie wyższe". Już kilka linijek dalej czytamy jednak, że na wsparcie ze strony państwa liczyć mogłyby przede wszystkim samorządy oraz... inwestorzy prywatni, którym rząd zamierza zaoferować preferencyjne kredyty na budowę domów studenckich. Nazwanie uczelni „beneficjentami" programu może oznaczać, że w całym projekcie rząd widzi dla nich rolę kontrahenta, który będzie kontraktować usługi noclegowe u podmiotów zewnętrznych.

W przypadku samorządów można jeszcze wyobrazić sobie ich współpracę z uczelniami przy budowie i eksploatacji akademików opartą na zasadach bliskich non profit. Prywatny kapitał, nawet z preferencyjnym rządowym kredytem, będzie natomiast w zrozumiały sposób dążyć do maksymalizacji zysku. Albo się w ogóle zadania nie podejmie – jeśli zaproponowane warunki staną na przeszkodzie. Zaprzężenie wolnorynkowych ↦

↦ koni do rozwiązania problemu braku akademików w najlepszym razie poskutkuje więc wysypem miejsc, na które gorzej sytuowanych i tak nie będzie stać. – Też zwróciłem na to uwagę – przyznaje rektor UJ. – Podczas ostatniego spotkania z ministrem nauki Dariuszem Wieczorkiem poprosiłem o informację, na czym dokładnie miałaby polegać nasza rola w tym projekcie. Jako uczelnia jesteśmy przygotowani do budowy nowego akademika, ale brakuje nam pieniędzy. Pan minister uspokajał, że ustawa jest na etapie konsultacji i dopiero nabiera kształtów.

Kolejni politycy rządzącej koalicji, pytani o projekt, reagują identycznie. Apelują o czas na przygotowanie dokumentu, odsyłają do resortu rozwoju i technologii, który go pilotuje. Rada Ministrów ma go przyjąć najpóźniej w trzecim kwartale br. Przed nami jednak wakacje, projekt dotrze więc do Sejmu najwcześniej jesienią i jeden marszałek Hołownia raczy wiedzieć, kiedy trafi pod obrady.

Jedno nie ulega wątpliwości. Sytuacja budżetu, w którym – jak wynika ze wstępnych analiz – może na koniec roku zabraknąć około 35 miliardów zł z VAT-u, nie będzie nastrajać rządzących do sięgania głęboko do portfela. Zwłaszcza gdy Bruksela wszczyna formalnie mało jeszcze dotkliwą, ale wizerunkowo już kłopotliwą dla Warszawy procedurę oceny nadmiernego deficytu. Ewentualna decyzja o ponownym skreśleniu zaplecza socjalnego uczelni z listy wydatkowych priorytetów rządu będzie więc *de facto* cichą zgodą na powolną prywatyzację polskich akademików.

Studia na publicznej uczelni z egalitarnych stają się elitarnymi.

Albo jesteś miejscowy i nie martwisz się kosztami, bo mieszkasz nadal z rodzicami, albo jesteś z bogatego domu.

Cztery tysiące miesięcznie

Krajowy rynek najmu komercyjnego nieruchomości jest dziś trzecim – po Wielkiej Brytanii i Niemczech – najatrakcyjniejszym w Europie pod kątem oczekiwanej stopy zwrotu. Co ciekawe, aż co drugi potencjalny inwestor (49 proc.) w ankiecie przeprowadzonej niedawno przez firmę doradczą CBRE wskazywał właśnie rynek prywatnych domów studenckich jako sektor szczególnie wart ulokowania pieniędzy. Prywatne akademiki – jak podliczyła pod koniec ub. roku firma Cushman & Wakefield – pomimo podwojenia oferty w ciągu ostatnich 10 lat wciąż pokrywają zapotrzebowanie zaledwie jednego procenta osób studiujących w naszym kraju. Ale tu student z chudym portfelem nie ma czego szukać.

Według raportu Cushman & Wakefield najtańszą taką ofertę można było w ub. roku znaleźć w Lublinie i w Łodzi, gdzie średnia stawka czynszu w prywatnym domu studenckim wynosiła odpowiednio 1646 i 1703 zł miesięcznie. Najdroższym miastem, podobnie jak w przypadku akademików publicznych, był Wrocław, gdzie takie miejsce kosztowało średnio 2504 zł. Poszukiwaczami wysokiego standardu najlepiej zaopiekował się natomiast Kraków, w którym padł polski rekord ceny na pokój jednoosobowy w prywatnym akademiku: równe 4 tysiące zł miesięcznie. W badanym okresie 2020-2023 ceny miejsc w takich obiektach wzrosły średnio aż o 45 proc. W ostatnim sprawdzanym roku (2022-23) najszybciej drożały prywatne akademiki w Łodzi (29 proc.), Poznaniu (23 proc.) oraz w Krakowie (22 proc.). Do zmiany cen nie doszło jedynie w Katowicach.

Według szacunków firmy CBRE w 2022 r. skumulowana wartość inwestycji w prywatne akademiki wyniosła w Polsce 11,5 miliarda euro i była aż o 50 proc. wyższa niż rok wcześniej. Na ten rok kilku dużych graczy zapowiada oddanie do użytku obiektów oferujących łącznie ponad 1,6 tysiąca miejsc noclegowych. Najstarsza polska uczelnia, UJ, po latach prawnych i planistycznych perturbacji ma tymczasem nadzieję ogłosić wkrótce przetarg na budowę pierwszego od dziesięcioleci akademika. Obiekt ma pomieścić 400 studentów. ©℗ MAREK RABIJ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // ILUSTRACJA ZUZANNA KARDYŚ

Szukam pracy na wakacje

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Tysiące uczniów szkół średnich nie czekały na ostatni dzwonek zwiastujący wakacje, tylko ruszyły do pracy sezonowej w restauracjach, na plantacjach owoców, w turystyce i budowlance. Wielu młodocianych pracuje „na czarno".

Propozycje ocen na koniec roku pojawiły się na początku czerwca, więc stanąłem za barem trzy tygodnie przed rozdaniem świadectw – opowiada Jakub, uczeń technikum z Lublina. – Prawie pół mojej klasy pracuje. Chłopaki głównie przy remontach.

Jakub rozglądał się za pracą już w kwietniu; wolał rozmawiać z szefami osobiście niż wysyłać CV przez internet. Jego znajomi szukali głównie przez media społecznościowe i na licznych grupach pośredniczących w znalezieniu zatrudnienia. Dla przykładu „Praca dla młodych 2024 – nieletnich i studentów (CAŁA POLSKA)" w połowie czerwca liczyła 123 tysięcy członków, a w ciągu miesiąca zamieszczono na niej ponad 700 postów.

Co piąty idzie do pracy

– Z naszych badań wynika, że 57 proc. pracodawców jest skłonnych zatrudnić osobę nieletnią, zwłaszcza na wakacje, i z chęcią zrobi to ponownie, gdy będą szukali kogoś z nich na etat. Według danych CBOS co piąty uczeń szkoły ponadpodstawowej podejmuje w Polsce pracę wakacyjną – wyjaśnia Magda Dąbrowska, wiceprezeska Grupy Progres, która świadczy usługi HR dla biznesu.

Europejski Urząd ds. Pracy szacuje, że każdego roku około 850 tysięcy obywateli UE podejmuje pracę sezonową. Najwyższy wskaźnik zatrudnienia nieletnich w perspektywie krótkoterminowej odnotowują: Holandia, Niemcy, Dania i kraje skandynawskie. Najmniej młodych osób podejmuje pracę we Włoszech, Grecji i Hiszpanii. Polska plasuje się pod tym względem na średnim poziomie.

Praca nieletnich wzbudza dyskusje w sieci. Jej zwolennicy podkreślają, że młodzież uczy się dzięki niej samodyscypliny, szacunku do pieniędzy i odpowiedzialności. Jednak nie brakuje głosów krytycznych – przeciwnicy zatrudnienia młodzieży uważają, że prowadzi ono do obniżenia aspiracji edukacyjnych, pogorszenia wyników w nauce i wyższej absencji na lekcjach. Nierzadko uczy też kombinowania i przyzwyczajania się do zgody na łamanie praw pracowniczych.

– Podczas trzech dni próbnych zarabiałem 16 zł na godzinę, teraz dostaję 20, ale nie mam umowy. Zaczynam około południa i zostaję do ostatniego gościa, choć w weekend zamykamy bar po drugiej w nocy. O tej porze trudno wrócić do domu, dlatego do pracy dojeżdżam kawał drogi rowerem – opisuje Kuba, który zbiera na motor i zamierza pracować do końca lipca. W sierpniu, jeśli go kupi i zostanie trochę oszczędności, planuje zabrać swoją dziewczynę na wycieczkę wzdłuż linii brzegowej polskiego Bałtyku. Choć chłopak nie ma jeszcze osiemnastu lat (skończy w lipcu), podaje klientom alkohol – wbrew prawu. Gdyby pojawiła się kontrola, ma polecone spróbować dyskretnie zdjąć fartuch, usiąść przy stoliku i udawać gościa. Na szczęście jeszcze nigdy nie było to potrzebne.

Bar, w którym pracuje Jakub, znajduje się w obrębie Starego Miasta w Lublinie i przyciąga wielu turystów. Jak twierdzi, dzięki napiwkom w ostatni weekend zarobił 600 złotych, więc brak umowy i ubezpieczenia nie jest dla niego problemem. Nie pierwszy raz pracuje w ten sposób, w ubiegłym roku podczas wakacji zatrudnił się w myjni samochodowej.

Luksusowy asystent w podróży

Z badań przeprowadzonych w maju 2024 r. przez Maison&Partners na zlecenie Warsaw Enterprise Institute wynika, że aż 45 proc. dorosłych Polaków przyznaje, że podejmowali pracę przed osiągnięciem pełnoletności. Pierwsze doświadczenia (75 proc. badanych) zdobyli w pracy dorywczej między 15. a 16. rokiem życia. Badacze podkreślają, że nieletni Polacy pracują najczęściej bez umowy, dlatego nie wykazują ich statystyki Eurostatu, który podaje, że w Polsce w wieku 15-19 lat zatrudnienie znajduje tylko 5 proc. osób. O ile na przełomie wieków nieletni pracowali głównie z powodu trudnej sytuacji ekonomicznej, to współcześnie głównym motywem jest chęć spełnienia marzeń i zachcianek (81 proc. badanych).

– Wielu młodych ludzi staje dzisiaj przed pytaniem: „Do czego ja się właściwie nadaję?". Psychologowie nie zawsze są w stanie wskazać im właściwą drogę, korzystając z dostępnych testów, ale wiadomo, że wczesna aktywność zawodowa, na przykład podczas wakacji, jest jak najbardziej wskazana. Młody człowiek zdobywa doświadczenia, które mogą okazać się bezcenne przy wyborze studiów, ale także przekonuje się, że pieniądze nie wyskakują, ot tak, z bankomatu czy portfela rodziców. Naturalnie nie jest też dobrze, jeśli ktoś kończy szkołę, a potem nie ma chwili oddechu, gdyż idzie do pracy na bite dwa miesiące – mówi dr hab. Sylwiusz Retowski z Uniwersytetu SWPS w Warszawie, który zajmuje się badaniami i doradztwem z zakresu psychologii pracy.

Julia, licealistka z Tomaszowa Lubelskiego, postanowiła, że w dorosłym życiu będzie robić to, co lubi. Długo jednak nie mogła zdecydować się na konkretny zawód i dopiero praca dorywcza jej w tym pomogła. Zaczęło się od przyjemności, rok temu, gdy jako siedemnastolatka zajęła się zorganizowaniem wakacji dla siebie i chłopaka w Barcelonie. Pracowała nad tym kilka tygodni.

– Czytałam o miejscach, które odwiedzimy, szukałam informacji na temat noclegów, restauracji, barów. Stworzyłam mapę z najlepszymi punktami, dzięki której robiliśmy ciekawe rzeczy przez ten tydzień. Jestem bardzo uporządkowana i wszystko lubię mieć pod kontrolą, więc kiedy tam polecieliśmy, z góry wiedziałam, jak wyglądają zabytki, ulice, a nawet wnętrza muzeów. Dla mojego chłopaka wyprawa była przemiłą niespodzianką – opowiada Julia.

Nastolatka pomyślała, że podobny projekt wakacyjny przygotuje dla starszej siostry, która od lat mieszka ↦

↦ w Szwajcarii. Ta po udanym wyjeździe, rozentuzjazmowana pracą Julii, zarekomendowała jej usługi znajomym w firmie. Zgłosili się pierwsi chętni i dzięki temu dziewczyna odkryła, że w przyszłości to może być jej zawód.

– Kontaktuję się z klientami przez „zooma", pytam o ich oczekiwania, preferencje i zainteresowania. Muszę ich dobrze poznać, żeby oferta miała indywidualny charakter. Jestem kimś w rodzaju luksusowego asystenta w podróży, bo to w sumie usługa dla ludzi zamożnych i zapracowanych. Mają dość sztampowych ofert biur podróży. Oczekują czegoś wyjątkowego i ja im to, na ile umiem, przygotowuję. Jest taki zawód w Europie, dużo o nim czytałam.

Julia zarabia tysiąc złotych od wycieczki – planuje loty, hotele, tworzy trasy do zwiedzania, ale zanim je przygotuje, dużo czasu poświęca na czytanie o danym regionie. Kiedy już stworzy scenariusz podróży, czuje się trochę tak, jakby zwiedziła całe państwo. Aktualnie przygotowuje projekty dwóch wyjazdów do Egiptu i na Filipiny.

Dwunastolatka szuka pracy

Badania stworzone na zlecenie Warsaw Enterprise Institute pokazują, że praca 16-, 18-latków spotyka się z aprobatą społeczną. 61 proc. pytanych uważa, że zarobkowanie na wczesnym etapie pomoże młodej osobie w późniejszym życiu i stanowi dobre narzędzie edukacji finansowej, tylko 23 proc. jest zdecydowanie przeciw i uznaje, że „to wyzysk", a dzieci „powinny się uczyć, a nie pracować". Jednak najważniejsze jest to, by zajęcia podejmowane przez nieletnich były dobrze dopasowane do ich etapu rozwoju i zgodne z prawem, które dopuszcza pracę młodocianych od 15. roku życia.

Tymczasem w mediach społecznościowych bez trudu można natknąć się na ogłoszenia dzieci w wieku 12-14 lat, ich liczba jest wręcz zastanawiająca. Jedna z dziewczynek (13 lat) podała swoje imię, nazwisko, numer telefonu i miejsce zamieszkania. Zdarzają się też ogłoszenia dawane przez rodziców w imieniu dziecka, takie jak to: „Szukam pracy dla córki ma 12 lat, jak mogą zarabiać tak młode osoby może coś zdalnie zależy jej na szybkim zarobku ponieważ zbiera na Nowy telefon" (pisownia oryginalna). Pod ogłoszeniem jest już kilka propozycji

61 proc.

z nas uznaje pracę małoletnich za dobre doświadczenie i narzędzie edukacji

23 proc.

uważa, że praca małoletnich to wyzysk

dla dwunastolatki m.in. „Jeśli chce może pracować jako fotomodelka fajna robota jeśli lubi zdjęcia mieć robione".

Na jednej z grup pośredniczących w szukaniu zatrudnienia poznałam Emilię, szesnastolatkę z Częstochowy. Napisała w ogłoszeniu opublikowanym na Facebooku „Praca dla nieletnich", że może pomagać w restauracjach i barach, sprzedawać lody lub opiekować się dziećmi.

– Nie chcę pracować w sklepie, to mój jedyny warunek. Podczas majówki trzy dni dorabiałam w popularnej, „zielonej" sieci. Właścicielka wyzywała mnie od darmozjadów i gnojów, dźwigałam skrzynki, rozstawiałam butelki z alkoholem. Nie miałam chwili, żeby zjeść – opisuje licealistka z Częstochowy.

Emilia zarobiła 500 złotych, zanim zrezygnowała, ale to nie była jej pierwsza praca. Zaczęła w wieku 13 lat od zbierania owoców podczas wakacji, rok później myła pędzelki w salonie kosmetycznym.

– Nigdy nie pracowałam na umowę, bo nie myślałam, że stanie mi się coś złego. Ale z perspektywy czasu widzę, że czyszczenie pędzelków w chemikaliach przez kilka godzin dziennie w pomieszczeniu bez okna to nie jest dobra praca dla czternastolatki. Wychodziłam stamtąd otumaniona. Właścicielka salonu płaciła mi 14 złotych za godzinę – wspomina.

Emilia mieszka z mamą i dwójką rodzeństwa, jej rodzice są po rozwodzie. Gdyby nie pracowała dorywczo, nie miałaby dobrego telefonu, markowych ubrań i tatuażu na przedramieniu. – Rzadko biorę od mamy kasę na kino czy wyjście ze znajomymi do „maka". Ona zresztą nie wyobraża sobie, że

można wydać 15 złotych na „latte". Zarzuca mi, że tracę pieniądze na fanaberie, nie rozumie, że tak żyją ludzie w moim wieku – wyjaśnia nastolatka.

Kamera w lodówce

Najbardziej popularnym sposobem zarabiania przed osiągnięciem pełnoletności jest praca sezonowa przy zbiorze owoców i warzyw. W badaniach zleconych przez Warsaw Enterprise Institute 47 proc. osób przyznaje, że tak zarobiło pierwsze pieniądze. W równym stopniu dotyczy to kobiet i mężczyzn.

– Młodych zatrudniam rzadko – zastrzega Jarosław Kawala, rolnik z Wólki Złojeckiej w województwie lubelskim. – Z nimi same kłopoty. Telefon im ciągle pika, gapią się w ekran, a truskawkę gniotą kolanem. W zeszłym tygodniu przyjąłem jedną małolatę, ale trzeba ją było koło południa z pola zabierać, bo miała dość. Niektóre miastowe dzieciaki są zupełnie nieprzyzwyczajone do pracy w polu. Kiedyś tak nie było.

Jarosław Kawala uważa, że młodzież ma dziś duże możliwości zarobkowania. Kiedy on sam był nastolatkiem, jeździł do Szwajcarii doić krowy („na czarno") i pomagał w Niemczech na budowie. Teraz sam zatrudnia ludzi, obrabia dwadzieścia hektarów, uprawia truskawki, maliny, borówki i rzepak. W tym roku

CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wakacyjna sprzedaż balonów na deptaku w Międzyzdrojach. 20 lipca 2019 r.

płacił 4,5 złotego za łubiankę truskawek. Wprawny „rwacz" od rana do wieczora był w stanie zarobić nawet 300 złotych.

– Pierwsze pieniądze zarobiłam na truskawkach jak miałam trzynaście lat, babcia wzięła mnie z sobą na pole sąsiada. Gorąco, kręgosłup boli, nie można rozprostować nóg. Ciężka to praca – podsumowuje Ania (17 lat), uczennica technikum w Krasnymstawie. – Rok temu sprzedawałam lody z koleżanką. Właściciel zabrał nam od razu stołki i przez osiem godzin nie mogłyśmy usiąść. W lodówce zainstalował kamerę i nagrywał naszą pracę. Obiecał 17 zł za godzinę, ale zapłacił 15, bo stwierdził, że się za mało starałyśmy. Ale i tak byłyśmy zadowolone, bo czasem wezmą na dzień próbny i nic nie dadzą na koniec.

Płacą mi za zabawę

– Praca nieletnich jest oceniana pozytywnie, szczególnie jeśli chodzi o energię, którą wnoszą do zespołu, i chęć do nauki – podkreśla Magda Dąbrowska, wiceprezeska Grupy Progres. – Wielu pracodawców docenia zaangażowanie i świeże podejście młodszych pracowników. Oczywiście, brak doświadczenia może stanowić wyzwanie, ale z odpowiednim szkoleniem i wsparciem nieletni mogą być wartościowymi członkami zespołu. W Polsce, podobnie jak w wielu innych krajach, spora liczba 16-, 18-latków szuka pracy, szczególnie w okresie wakacyjnym. Szacuje się, że już kilkadziesiąt tysięcy młodych ludzi podejmuje w Polsce krótkoterminowe prace sezonowe lub szuka dorywczych zajęć, które pozwolą im zdobyć pierwsze doświadczenia zawodowe i zarobić na swoje wydatki.

W Polsce prawo zezwala na zatrudnienie osoby, która ukończyła szkołę podstawową i piętnasty rok życia, młodsi mogą być zatrudniani na zasadach określonych dla młodocianych, ale wyłącznie w celu przygotowania zawodowego w formie przyuczenia do określonej pracy. Miesięczne wynagrodzenie osoby nieletniej nie może być niższe od płacy minimalnej, a stawka za godzinę mniejsza od kwoty 27,70 zł. W dniach szkolnych nastolatek nie może pracować dłużej niż dwie godziny dziennie, a w okresie wakacji jego dniówka zamyka się w 7 godzinach i 35 minutach lub wynosi 6 godzin w przypadku osób poniżej 16. roku życia.

W praktyce niewielu pracodawców zwraca uwagę na te przepisy, bo większość nieletnich i tak pracuje „na czarno" z uwagi na słabość i niedoinwestowanie polskiej inspekcji pracy. Jest to powszechna praktyka zarówno w nadmorskich kurortach, dużych miastach, jak i na prowincji. Z tą różnicą, że w ośrodkach turystycznych ofert pracy jest bardzo dużo, a w małych miasteczkach ich brakuje.

Trudno powiedzieć, jaka jest całkowita skala nadużyć i łamania prawa pracy, bo Państwowa Inspekcja Pracy nie podaje takich danych i nie odpowiada na e-maile w tej sprawie. Jednak spośród licznych osób, z którymi rozmawiałam, tylko dwoje nastolatków przyznało, że są zatrudnieni na umowę. Jedną z nich jest Karolina (17 lat), animatorka dla dzieci w wieku od dwóch do dziesięciu lat. Mieszka w Gdańsku, ale imprezy, na których organizuje zabawy, odbywają się na terenie całego Trójmiasta. Jeździ na nie z pełnoletnią koleżanką jej autem, zapakowanym po brzegi sprzętem. Wiozą przybory do malowania twarzy, koszulki, balony, łuki, ogromną bańkę zdolną pomieścić dziecko i „dmuchańce" do skakania. Karolina skończyła drugi stopień szkoły muzycznej i należy do harcerstwa. Mówi, że doświadczenia te okazały się bardzo ważne w pracy z dziećmi.

– Jeździmy najczęściej na urodziny, komunie i wesela. Zabawa trwa tylko dwie godziny i znajomi czasem żartują, że mogę się bawić, a jeszcze mi za to płacą. Ale ja po takiej sesji jestem wyczerpana, bo trzeba być *non stop* skoncentrowanym, dzieci mają zaskakujące pomysły, czasem idą na żywioł. Dostaję 40 zł za godzinę na rękę, wliczone jest w to dmuchanie balonów, rozkładanie i składanie sprzętu – opowiada Karolina.

Nastolatka podkreśla, że dzięki pracy inaczej wydaje dziś pieniądze i zanim coś kupi, dwa razy pomyśli. Zaczęła jeździć na animacje w maju, a to z kolei wymusiło na niej lepszą organizację czasu – nie odkładała nauki na weekend, bo wiedziała, że zawsze może jej wypaść zabawa z dziećmi.

– Nie chcę przepracować całych wakacji, więc zrobiłam listę książek i filmów, które obejrzę w wolnym czasie, i tego się będę trzymać. Kontakt z dziećmi uświadomił mi, że nigdy pewnie nie zostanę nauczycielką, to nie jest dla mnie. Marzę, by zdawać do szkoły teatralnej, a dzięki animacjom mogę zarobić na kurs przygotowawczy. No i oczywiście wciąż wchodzę w jakieś role. Raz jestem czarownicą, innym razem paziem. Muszę utrzymać uwagę dzieci na różne sposoby, więc to dla mnie w sumie bardzo dobra szkoła poza szkołą – śmieje się Karolina.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

ANNA SALAMON / MATERIAŁY PRASOWE

Św. Cecylia – ilustracja Anny Salamon z książki Justyny Bednarek „Każdy może być święty", Wydawnictwo Świetlik 2024.

WIARA

ŁOBUZY PÓJDĄ DO NIEBA

JUSTYNA BEDNAREK, PISARKA:

Chcę wywoływać uczucia. Empatię, tam gdzie jest potrzebna. Ale i gniew, jeśli dzieje się coś złego. A czasem chcę spojrzeć z drugiej strony, jak w przypadku tego węża, za którym nikt się nie ujmuje.

MACIEJ MÜLLER: Po czym rozpoznać świętość?

JUSTYNA BEDNAREK: Świętość to dobre traktowanie zwierząt i roślin. Kupiłeś, człowieku? Karm, podlewaj. Ale przede wszystkim świętość dzieje się w relacjach z ludźmi. Łatwiej być dobrym dla zwierzęcia niż dla człowieka – tu relacje są na ogół bardziej skomplikowane: dzielenie się sobą, praca na rzecz innych, staranie się, by świat był odrobinę lepszy. Trzeba poznać swój talent. Katarzyna Sieneńska pisała uczone traktaty, a Faustyna – mistyczne. To też sposoby na danie czegoś innym.

Po drugiej stronie medalu widnieje święty Józef, postać doskonale drugoplanowa.

Jego rola polegała na tym, że gdzieś pojechał, coś załatwił. Mój zmarły siedem lat temu mąż był takim właśnie stuprocentowym dawcą. Nie miał talentu do zabawy, był od konkretów. Ważną częścią jego ojcostwa były rozmowy z dziećmi w samochodzie. Taki ktoś jest podporą, kamieniem węgielnym, opoką – nawet jeśli go nie widać, jest niezbędny. Czasem wychodził na wierzch jego troszkę upiorny charakter, ale jak wiadomo – ostatecznie zniknie to ułomne, niekompletne, a zostanie dobro.

Na jednej ze stron swojej najnowszej książki o świętych wybiła Pani wielkimi literami, że nigdy nie jest za późno na poprawę.

Myślę, że pożałować prawdziwie i głęboko za to, co złego się zrobiło, wystarczy raz, w odpowiednim momencie. Psychologowie mówią, że ludzie w obliczu śmierci, jeśli tylko mają odpowiednio długą rozbiegówkę ku wieczności, uzyskują niesamowitą jasność widzenia. Obserwowałam to u mojej mamy, która w ciągu paru tygodni ponaprawiała rozmaite, zbierane latami błędy. I to wystarczyło – właśnie to zostało.

Mimochodem podaje Pani przepis na zbawienie: „My także możemy zostać Jego rodziną, wystarczy Go mocno kochać". Czasem dorośli odrzucają wiarę w Boga, bo kojarzy im się z wymyślonym przyjacielem z dzieciństwa.

Problem jest nie z Bogiem, tylko z Jego obrazem. Ja mam tak, że czasem słyszę głos w sobie. W wewnętrznym dialogu przychodzą mi odpowiedzi na pytania. Jeśli do jakiegoś dylematu podejdziemy uczciwie, będziemy wiedzieli, jak wybrać.

To pachnie mistycyzmem. W książce jest o nim sporo. Świętych mistyków łączył ten problem, że przeżyli coś tak niezwykłego, że nie dało się o tym opowiedzieć; język nie wystarczał.

Nasz mózg filtruje docierające do niego informacje i próbuje je ustrukturyzować. Ale to przestaje zdawać egzamin, kiedy mamy do czynienia z nieskończonością. Brakuje słów, bo wyobraźnia dotyczy przecież tylko tego, co fizyczne, co znamy. Potrafimy na potrzeby filmu wymyślić jakieś stworzenie, które nie istnieje, ale tak naprawdę ono składa się z elementów, które są. Opowiedzieć o czymś, co wymyka się zmysłowemu poznaniu, można poezją, muzyką, metaforą.

Biblia czasem sięga po obraz Boga, który przemawia wprost. „Samuelu, Samuelu".

Kiedyś przed zaśnięciem pomyślałam sobie, że nie pamiętam już głosu mojej mamy, a nad ranem obudziło mnie jej wołanie: „Justynko, Justynko". To było coś więcej niż sen. Ten Boży głos też potrafi być wyrazisty.

A co usłyszała Pani w Grocie Apokalipsy na wyspie Patmos? Jest tam otwór, przez który podobno anioł szeptał św. Janowi słowa proroctwa.

Byłam tak wszystkim zachwycona – morzem, niebem, winem, pomarańczami, przyjaciółmi – że słyszałam tylko myśli, że życie jest piękne, a świat wspaniały. Nie byłam w stanie wyciągnąć z tej dziury żadnej innej treści. Ale może właśnie to miałam usłyszeć?

W opowieści o Hildegardzie pisze Pani, że są dziewczynki, które czują świat.

Słuchałam kiedyś wywiadu z biologiem doktorem Henrykiem Różańskim. Dziennikarze wyśmiewali ojca Czesława Klimuszkę i jego mistyczny dar czucia roślin. Bo Klimuszko twierdził, że w poznawaniu ziół liczy się nie tylko wiedza nabyta od innych, ale też intuicja.

Różański powiedział dziennikarzom, że są ignorantami, bo bardzo wielu przyrodników twierdziło podobnie. Zwierzęta są w stanie ocenić, które rośliny im służą, a które nie; ludzie, kiedy żyli bliżej przyrody, czuli ją lepiej niż teraz. To jest jakiś element nadprzyrodzoności.

Hildegarda czuła świat, a poza tym cierpiała zapewne na epilepsję. Nie wiadomo, co się działo w jej głowie. Może to była choroba, a może otwarcie na formę czucia niedostępną dla innych. Część wiedzy pozyskała przez święte księgi przechowywane w klasztorze, a część mogła poczuć. Fantazjuję, ale czemu nie?

Motyw, który się przewija w wielu miejscach Pani książki, brzmi: „Możecie się zastanawiać, ile z tego jest prawdą. Nie wiadomo". Co jest ważne w opowieści?

Żeby człowieka złapała – by chciał wejść w jej świat. To rodzaj czarów: bo słowa coś w nas zmieniają. Jeśli to są dobre słowa, zmieniają nas na lepsze. Jeśli pozwolimy opowieści działać w nas, uruchomi się wyobraźnia. Ona jest niezbędna w życiu duchowym, także w modlitwie, kontakcie ze Stwórcą. Nie widzimy Go przecież i musimy Go sobie wyobrazić.

Opowieść może dać nadzieję, wyleczyć ze smutku. To rzecz dostępna bogatym i biednym, zupełnie demokratyczna. Wybitna teatrolożka, prof. Irena Sławińska, siedziała z dwoma przestraszonymi żołnierzami na barykadzie powstania warszawskiego. Kule biły ze wszystkich stron, a ona im opowiadała „Przeminęło z wiatrem" ze wszystkimi szczegółami. Opowieść potrafi przenieść do bezpiecznego świata.

A co, jeśli jest dziurawa? Uwypukliła to Pani w rozdziale o Cyrylu i Metodym. Narratorem jest tu Stara Księga, która sama przyznaje, że nie dowiemy się z niej: co bracia lubili jeść na śniadanie, czy uprawiali jakiś sport, czy lubili morze ani jaki kolor był ich ulubionym. Dlaczego opowiadacz czasem pomija tak ważne szczegóły?

Narrator, zwłaszcza średniowieczny, opowiada w konkretnym celu: chce dostarczać wzorców. Święty człowiek opisany w starej księdze nie śmie lubić jajecznicy na śniadanie, bo to nie służy zbawieniu. Już raczej by się jej pozbawiał, dla umartwienia. Ale ja lubię wyłuskiwać ↦

↦ takie zupełnie nieważne, przypadkiem podane elementy, bo to na nich można zbudować więź z bohaterem. On lubi jajecznicę, ja też – może nie jestem tak święta jak on, ale coś nas łączy.

Przypomina się posępny bibliotekarz Jorge z „Imienia róży", który jest pewny, że Jezus nigdy się nie śmiał, ponieważ nie wspominają o tym Ewangelie. W rezultacie potępiał radość. Jak widać, braki w opowieściach mogą wywołać daleko idące konsekwencje.

Myślę, że Jezus się śmiał, i że Bóg Ojciec też ma poczucie humoru – przecież stworzył dziobaka. Budda też jest uśmiechnięty, prawda? Potępianie poczucia humoru to ponury, ślepy zaułek w myśleniu teologicznym. Śmiech jest dobry.

A jak sobie poradzić z takimi świętymi jak święty Mikołaj, o których już kompletnie nic nie wiadomo?

Może tak naprawdę nie istniał, ale co z tego? Ważne, że prawdziwe są dobre działania ludzi wypływające z opowieści o świętym Mikołaju. W ten sposób sami stwarzamy tego świętego. Opowieść staje się wyzwalaczem dobroci. Jeżeli chcemy zrobić niespodziankę komuś, kogo lubimy, a jeszcze lepiej komuś, kogo nie lubimy – ohoho, to będzie wielki krok w świętość.

A dlaczego o świętych w Pani książce opowiadają głównie zwierzęta?

Szukałam odpowiedniego narratora dla każdej postaci i rzeczywiście tak wyszło, że to często są zwierzęta, w przeważającej liczbie ptaki, łącznicy między niebem a ziemią. Zostały stworzone przed człowiekiem, są starsze od nas – i według Biblii, i według nauki. Więc może posiadają jakieś odłamki ponadczasowej mądrości w większym stopniu niż człowiek? No i więcej widzą, bo patrzą z góry. Dostrzegają niewinność, która jest w stworzeniu; bo poza człowiekiem wszystko jest niewinne. Nie ma zwierzęcia okrutniejszego od człowieka.

W jednej z opowieści chmara jaskółek próbuje powstrzymać oprawców przed wbiciem gwoździ w ręce Chrystusa.

Pracując nad poprzednią książką, „Maryjki", znalazłam wiele różnych opowieści o zwierzakach, które się przeciwstawiały oprawcom.

JULITA DELBAR / KLITKA ATELIER / / MATERIAŁY PRASOWE

JUSTYNA BEDNAREK jest pisarką i tłumaczką, z wykształcenia romanistką, przez wiele lat pracowała jako dziennikarka w pismach kobiecych. W 2015 r. wydała pierwszy tom przygód skarpetek i odtąd okupuje szczyty rankingów popularności książek dla dzieci. Mieszka w otoczonym zielenią domku z ogrodem na warszawskich Starych Bielanach.

Pod krzyżem nie było człowieka, który by zaprotestował. Ci, którzy by mogli i może powinni, uciekli.

Myślę, że w głębi serca sporo ludzi chciało się sprzeciwić tej przemocy. Ale w takich sytuacjach zwierzęta bywają bardziej bezpośrednie i szybsze. Kiedyś mój syn wrócił do domu ubłocony od stóp do głów i powiedział: „Zostałem napadnięty". Okazało się, że szedł laskiem Lindego z psem, a na ścieżce siedziała kawka. Nie uciekała, chyba miała zranione skrzydło. Kiedy zbliżyli się za bardzo, z góry spadła na nich chmura ptaków: tak ich obdziobały, że uciekali, aż się kurzyło, a Bartek wpadł w błoto. Taka to była solidarna i natychmiastowa reakcja. Może jakaś podobna scena skłoniła twórców legend do ułożenia opowieści o tym, jak ptaki próbowały bronić Pana Jezusa.

W jednej z historii empatyzuje Pani z wężem.

Tak, on skarży się, że jest w kółko wplątywany w historię jako negatywny bohater. A przecież jest pożyteczny: zjada gryzonie, przez co zmniejsza liczbę kleszczy... Pojawia się w rozdziale o św. Patryku, misjonarzu Irlandii. Legenda na jego temat zawiera tajemniczą informację, że ów misjonarz przegonił z tej wyspy wszystkie węże. Tylko że według naukowców w Irlandii nigdy nie było węży, więc nie było czego przeganiać. Chodziło o metaforę: Patryk przegnał ludzkie grzechy.

Wąż potrafi się ukryć i wyskoczyć znienacka, ma cechy, które w ludzkim wydaniu są rzeczywiście czymś złym. Gdyby człowiek był taki jak wąż, byłby zły, ale wąż jest niewinny, nie ma przecież świadomości. Jeśli się go nie zaczepia, nikomu nie zrobi krzywdy.

W Pani książce wąż dostrzega świętość i w dodatku potrafi o niej opowiedzieć.

Historia zbawienia rozlewa się na wszystkie stworzenia, przecież wszystko, co stworzone, ma w sobie święte tchnienie. Peter Wohlleben w „Sekretnym życiu drzew" opisał, że drzewa za pomocą systemu korzeni potrafią zaopiekować się starym, chorym osobnikiem. A grzyby tworzą największy internet na świecie.

Chodziłam kiedyś na kurs zielarski prowadzony przez wspomnianego Henryka Różańskiego. Powiedział, że ludzie mają wiedzę na temat ziół na poziomie najwyżej 30 proc. Większość jest ciągle do odkrycia. O świecie wiemy tyle, co nic. Więc nie można wykluczyć, że nawet kamień coś tam „czuje".

Kamień opowiada o św. Pawle. Apostoł nosił go w kieszeni przez całe życie, od czasu egzekucji św. Szczepana.

Zmyśliłam tę historię, ale wydaje mi się, że mogło tak być. Człowieka mierzy się nie tym, jak nisko upadł, ale tym, jak wysoko wzleciał. Niemniej warto, żeby pamiętał, kim kiedyś był. Bo to zabezpiecza przed pychą, a także budzi miłosierdzie wobec innych, którzy błądzą. Dla Pawła kamień, który trzymał w ręce podczas egzekucji Szczepana, był narzędziem pokory. Chyba każdy z nas ma coś podobnego w kieszeni.

Pisze Pani, że jej ulubioną Ewangelię napisał św. Jan. Dlaczego?

Bo to jest relacja naocznego świadka, jego opowieść żyje. Podoba mi się też literacko. Bardzo lubię jej słuchać w wersji audio.

Kiedyś znajomy dominikanin przyznał: „wiesz, my, księża, lubimy czytania z Ewangelii synoptycznych. Bo do dowolnego fragmentu można łatwo ułożyć kazanie moralne: to wolno, tego nie wolno. A Jan? Mistyka, symbole, poezja...".

Prawdziwe życie nie jest poukładane, ale pełne wieloznaczności. Po śmierci mojej mamy próbowałam poukładać dzieje rodzinne. Przez dwa lata mieliłam na różne sposoby te same fakty. Umęczyłam się, bo nie byłam w stanie zaproponować ich spójnej interpretacji, wyjaśnić, dlaczego jakieś wydarzenie wyglądało tak, a nie inaczej. Pojawiał się jakiś drobiazg, jakieś uczucie – i wszystko zmieniało kształt. Z Janem jest podobnie. Żywa, prawdziwa historia sprawia, że się w niej odbijamy. I potrafimy z niej coś dla siebie wysnuć.

Moralizowania w Pani książkach nie ma. Wyobrażam sobie, że pisząc o świętych, trudno uniknąć tej pokusy – bo przecież źródła, jak średniowieczna „Złota legenda", to zbiór pouczeń.

Moimi książkami chcę wywoływać uczucia. Empatię, tam gdzie jest potrzebna. Ale i gniew, jeśli dzieje się coś złego. A czasem chcę spojrzeć z drugiej strony, jak w przypadku tego węża, za którym nikt się nie ujmuje. Nie ma różnicy, czy pisze się dla dzieci, czy dla dorosłych. Pisanie to próba towarzyszenia czytelnikowi w odkrywaniu świata. Nie mam recept na życie. Każdego dnia popełniam błędy, więc z jakiej racji miałabym tłumaczyć innym, jak postępować? Lepiej przyjrzeć się wspólnie różnym problemom, a potem każdy, na własny rachunek, znajdzie dobrą odpowiedź. I ona będzie cenniejsza niż czyjeś rady.

Oczywiście samym wyborem tematu już coś czytelnikom podsuwam. Teraz napisałam o świętych, wcześniej o Babcosze, dobrej czarownicy, która pstryknięciem palcami potrafi sprawić, że ludzie się zmieniają na lepsze.

Kiedyś przyszedł do niej sąsiad Józek i rozpoczął litanię narzekania: na pracę, drożyznę, korniki, miętówki, łosie, błędy w krzyżówkach, koncerny farmaceutyczne... Babcocha zmieniła go w kolorowy wiatraczek furkoczący na wietrze.

To historia na faktach: znałam takiego pana – rety, jaka to była ględa – i wyobraziłam sobie jego spotkanie z czarownicą.

Tam jest druga strona medalu: niebawem nadciąga żona Józka z litanią oczekiwań: żeby pokroił, posolił, zagniótł, przerzucił, ogolił, nakarmił, napisał, wysłał... Babcocha odczarowuje go i patrzy na niego ze współczuciem.

No bo nic się nie dzieje bez powodu. Mam taką przyjaciółkę, zawszę ją pytam: „Co u ciebie?", i już wiem, co usłyszę: „Och, miałam taki okropny tydzień". Jej życie składa się z samych okropnych tygodni. Ale ona miała okropną mamę i jak się pozna cały obrazek, można z pewnym zrozumieniem odnieść się do jej marudzenia.

Niewiele Pani pisze o grzechu, o złu jako takim. Z jednym wyjątkiem: Maria Magdalena zapada na chorobę „chcę więcej".

To jest matka wszystkich grzechów. Polega na przekraczaniu granic. Co i rusz ulegamy pokusom, żeby wziąć od życia więcej, niż należałoby w danym momencie. Więcej przyjemności, bogactwa, lajków, świętego spokoju. I człowiek chory na „chcę więcej" nigdy nie jest zadowolony z tego, co ma. Maria Magdalena to figura grzesznicy, tak ją napiętnowano. Chciałam ją trochę wytłumaczyć. W moim kościele wisi hasło: „Nie ma grzesznika bez przyszłości i świętego bez przeszłości". To można dopasować do największego grzesznika.

Na przykład do kogo?

Do Judasza. Skoro od razu było wiadomo, że on zdradzi, to czemu nikt – nawet Pan Jezus – nic nie zrobił, żeby temu zapobiec? Mam nadzieję, że po drugiej stronie to wszystko się jakoś poukłada. Lubię wierzyć, jak ojciec Hryniewicz, że piekło jest puste. Zło jest wprawdzie świadomym wyborem, ale czasem jest tak, że ono się po prostu narzuca: bo ktoś wychował się w nędzy emocjonalno-duchowej, od dziecka był źle traktowany. Gdzie jest granica między tym, co narzucone, a wolnym wyborem?

Mam nadzieję, że fakt, iż ktoś nabroił, nie stanowi wyroku ostatecznego i że każdy w ostatniej chwili dostanie szansę złapania się Jezusowego płaszcza. Kiedyś martwiłam się o zmarłą bliską mi osobę, a pewien mądry ksiądz mi powiedział: „Spokojnie, Panu Jezusowi znacznie bardziej zależy na jej zbawieniu niż pani". Pan Bóg jest pogodny, pełen światła, dobry. Więc myślę, że potrafi wyczyścić nas z niedoskonałości, nawet tych ogromnych.

I jak to będzie wyglądało?

Moja koleżanka przeszła tzw. śmierć kliniczną. Nie pamiętała tego, co przeżyła, przypomniała to sobie wiele lat później. To była konfrontacja z czymś tak potężnym, jasnym i dobrym, że ona nie śmiała się do tego zbliżyć. Tak sobie wyobrażam czyściec po śmierci: że z całym naszym brudem wejdziemy w to jasne dobro.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

UNIWERSUM SKARPETEK

NIESAMOWITE PRZYGODY DZIESIĘCIU SKARPETEK (CZTERECH PRAWYCH I SZEŚCIU LEWYCH)
Licząca już 9 odsłon seria wyjaśnia tajemnicę, co dzieje się z zaginionymi w praniu skarpetkami, i opisuje niezwykłe przygody tych, które wybrały wolność i (zaspojlerujmy) wymknęły się przez dziurę pod pralką. Jedna z nich np. „zmęczyła się bezczynnym tkwieniem w koszu, została politykiem i zmieniła świat – oczywiście na lepsze". Prawie każdą stronę zdobią ilustracje Daniela de Latour.

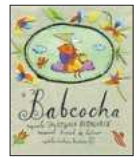

BABCOCHA
Ta życzliwa światu czarownica – z wielkim nosem, małym koczkiem i walizką pełną czarodziejskich mazideł – przyleciała pewnego dnia, uczepiona wielkiej gradowej chmury, do wioski Grajdołek. To najśmieszniejsza książka Justyny Bednarek – którą notabene sama autorka uważa za swoją ulubioną.

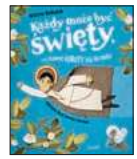

KAŻDY MOŻE BYĆ ŚWIĘTY, CZYLI NAWET ŁOBUZY IDĄ DO NIEBA
Historie świętych – biblijnych, średniowiecznych i współczesnych – snują specjalnie dobrani narratorzy, będący świadkami upadków i wzlotów tych niezwykłych (a może właśnie zwykłych?) ludzi. O Eliaszu opowiada kruk, o Józefie osiołek, o Janie Vianneyu stary pogrzebacz. Książka dla dzieci, dorosłych, wierzących i niewierzących.
©℗MaM

Drogi łagodności

JACEK TARAN

Ponad 150 zawodników walczyło 15 maja w Płocku o Puchar Polski w dżudo. W kategorii do 100 kg najlepszy okazał się pochodzący z Ukrainy jezuita ojciec Vitaliy Osmolovskyy.

Trzy razy otarłem się o śmierć. Trzy razy powinienem nie żyć – mówi ojciec Vitaliy. Wysoki, postawny, krótko ostrzyżony, sylwetka atlety. Ma czterdzieści trzy lata, w zakonie jest od szesnastu. Pochodzi z Żytomierza w środkowej Ukrainie.

– Pierwszy raz skakaliśmy z bardzo wysokiego mostu do płytkiej rzeki. Trzeba było szybko ułożyć ciało równolegle do dna, żeby się nie rozbić. Za pierwszym razem się udało. Drugi skok był tragiczny. Uderzyłem czołem o dno, straciłem świadomość. Poczułem wtedy kobiecą dłoń, która unosi mnie do góry, jakby ratunek, który przyszedł nie wiadomo skąd. Zazwyczaj jak człowiek traci przytomność pod wodą, to już tam zostaje, mnie udało się wypłynąć. Czy to cud? Nie wiem, jak to nazwać. Lekarze mówili, że to było nie do przeżycia, a ja wyszedłem z tego bez szwanku. Miałem wtedy 18 lat.

A potem były jeszcze dwa takie zdarzenia. Co tu opowiadać? Nie byłem grzecznym chłopcem. Na ulicach Żytomierza walczyliśmy w bandach, dzielnica na dzielnicę, dwa razy skończyło się to bardzo źle, ale też wyszedłem z tego cało. Miałem zarzuty karne. Wtedy już studiowałem prawo, byłem asystentem w sądzie. I kiedy przywieźli nas na rozprawę, sędzia był zdziwiony, że jestem po drugiej stronie. Skończyło się naganą. W sądzie spotkałem rodziców. Do dziś mam w pamięci twarz mojej mamy, jej oczy. Nie było żadnych żalów, pretensji. Tylko niewymowna cisza, która wtedy przełamała jakiś mur we mnie.

Droga do powołania

Kiedy chodził jeszcze do szkoły, ojciec zapisał go na dżudo, żeby zajął się czymś pożytecznym i rozwojowym, żeby był silny. Wtedy nie myślał jeszcze o wstąpieniu do zakonu. – Moja rodzina była zwyczajna, katolicka, ale nie jakoś gorliwie pobożna. Zainteresowanie duchowością przyszło później.

Na Ukrainie kończy prawo. Jest dobrym, a nawet bardzo dobrym studentem. W 2001 r. otrzymuje stypendium Prezydenta Rzeczypospolitej, przyjeżdża do Polski, gdzie studiuje nauki polityczne. Treningów dżudo nie porzuca. Odbywa staż w Senacie RP, jest asystentem senatora SLD Tadeusza Rzemykowskiego. Pracuje też w biurze Andrzeja Zolla, ówczesnego rzecznika praw obywatelskich. – Wtedy widziałem swoją przyszłość w dyplomacji – wspomina ojciec Vitaliy. – Kontekst polityczno-dyplomatyczny był dla mnie bardzo pociągający. Równocześnie cały czas miałem poczucie jakiegoś braku. Wszędzie towarzyszył mi smutek, którego źródła nie znałem.

W pewnym momencie zaczął szukać informacji o istniejącym kiedyś w Żytomierzu kolegium jezuickim. – Wtedy odkryłem też jezuitów w Warszawie – mówi. – Zacząłem szukać głębiej, nie interesowała mnie już tylko historia. Odkryłem ćwiczenia duchowe, całą tę sferę duchowości jezuickiej. To mi dało poczucie, że to mój świat, że mogę do niego należeć. Zniknął smutek, pojawiła się radość, którą mogłem wreszcie przeżywać w pełni.

Po wstąpieniu do zakonu nie przestaje studiować i ćwiczyć dżudo. We Włoszech studiuje filozofię. Później wyjeżdża do Afryki, w Kenii studiuje teologię i prowadzi kursy samoobrony dla miejscowych policjantów. Cały czas ćwiczy się w modlitwie, duchowości i ukochanym sporcie. Ale to w Kenii właśnie musi też korzystać ze swoich umiejętności dżudoki: – Sześć razy zdarzyło się, że zostałem napadnięty przez miejscowych chuliganów. Czasami wystarczyło się powołać na znajomość z wysoko postawionym policjantem i to pomagało – mówi. Raz jednak po takim napadzie wylądował w szpitalu: – Nie dałem rady siedmiu napastnikom równocześnie, było ich już za dużo na mnie jednego.

Wspólne drogi

Japońskie słowo „judo" oznacza „drogę miękkiej siły" albo „drogę łagodności". Powołanie duchowe to też droga, którą podąża się na podobnych zasadach – łagodności i pokory. Dla ojca Vitalija tych wspólnych płaszczyzn jest więcej. To przede wszystkim dobrze rozumiana dyscyplina, wytrwałość, kontemplacja, medytacja. I przede wszystkim pokora, która objawia się w kontakcie i szacunku dla drugiego człowieka.

– Trzeba dobrze rozumieć, czym jest dyscyplina – mówi jezuita. – Chodzi o systematyczność w wykonywaniu swoich zadań, treningów fizycznych i duchowych, wytrwałość w modlitwie. To jest też bycie wiernym swoim obowiązkom. I to, co może najważniejsze, czyli bycie człowiekiem dla ludzi, z którymi jesteś.

Ważna też jest umiejętność przegrywania: – Przegrane są może nawet cenniejsze, jeśli umiesz mądrze wyciągnąć z nich naukę – dodaje.

Puchar Polski w dżudo to nie jedyny i nie pierwszy sportowy sukces ojca Vitalija. Medale zdobywał też na innych kontynentach. Właściwie wszędzie, gdzie był, gdzie studiował i prowadził praktyki duchowe, wszędzie tam towarzyszyło mu dżudo i sportowa rywalizacja. – Zdobywałem medale w Afryce Wschodniej, w Stanach i w Europie – mówi. Ale medale i puchary nie są najważniejsze. Na dżudoce (stroju do dżudo) Vitaliy nosi naszyty symbol jezuitów, to często budzi zainteresowanie. – Dużo osób mnie o to pyta, to często początek rozmowy – opowiada – i dwa razy już się zdarzyło, że ktoś poprosił mnie o spowiedź. Ja nie traktuję tego jako formy ewangelizacji. Jestem, kim jestem, i kiedy różne osoby się o tym dowiadują, zaczynają się dalsze rozmowy. I tak jest lepiej, to jest bardziej szczere. Każdy z nas ma różne role w życiu, ale przede wszystkim jesteśmy ludźmi i człowieczeństwo jest fundamentem każdej relacji.

W polskim Kościele i jego otoczeniu, zwłaszcza w kręgach konserwatywnych, można spotkać się z opinią, że wschod-

ARCHIWUM PRYWATNE

Ojciec Vitaliy Osmolovskyy ze złotym medalem podczas zawodów Pucharu Polski w dżudo. Płock, 15 maja 2024 r.

nie sztuki walki i w ogóle dalekowschodnia duchowość, oparta w dużej mierze na medytacji i kontemplacji, są zagrożeniem dla wiary, prowadzą chrześcijan na ślepe ścieżki duchowości. Ojciec Vitaliy odpiera te zarzuty: – Chrześcijaństwo bardzo czerpie ze wschodniej duchowości. Najwięcej katolików praktykuje jogę i tai chi choćby w Indiach, na Sri Lance czy w Wietnamie i nie jest to dla nich żadna ślepa uliczka, ale codzienna praktyka. Trzeba się skupiać na tym, co łączy, a nie co dzieli – podkreśla. Dodaje też, że z taką narracją spotkał się jedynie w Polsce. Stąd przeniknęła ona do Kościoła katolickiego w Ukrainie, który jest bardzo często odbiciem tego, co dzieje się w Kościele polskim.

Droga Samarytanina

Kiedy zaczyna się pełnowymiarowa wojna w Ukrainie, robi właśnie doktorat z seksuologii na uniwersytecie w Berkeley w Stanach Zjednoczonych. Przerywa pracę naukową i wraca do Polski. Jezuici wyznaczają go głównym koordynatorem jezuickiej misji humanitarnej dla walczącej Ukrainy. Już od 2008 r. współpracował z Jesuit Refugee Service – to jezuicka misja działająca na rzecz uchodźców na całym świecie. Teraz dzieli swój czas pomiędzy Polskę a Ukrainę. Bezustannie w drodze: Kraków–Lwów–Warszawa–Chmielnicki. Jezuici w swoich placówkach pomagają uchodźcom z różnych krajów, to nie tylko uciekający przed wojną Ukraińcy. – W naszych domach mieszkają osoby z Afganistanu, Somalii, Palestyny, Iraku – wylicza. – Dla nich wszystkich szukamy schronienia i pomagamy planować przyszłość. Najważniejsze zadanie to edukacja. Kładziemy nacisk na naukę języków, ale też nowych profesji, adaptację kulturową, szukamy szkół dla dzieci i wsparcia psychologicznego. Prowadzimy też dogoterapię.

Ojciec Vitaliy podkreśla, że choć praca z uchodźcami nigdy nie była łatwa, to dziś staje się coraz trudniejsza. Nie ma takiej rodziny, która by kogoś nie straciła. Ludzie są zmęczeni, wycieńczeni, zaczynają popadać w skrajności. Ci, którzy na początku wojny bardzo oszczędzali, teraz często wydają oszczędności. Dużo osób odeszło od Kościoła, wiele do niego wróciło. Przyzwyczaili się do alarmów bombowych, do odgłosu lecących rakiet. Dużo jest też pogrzebów – jeden z najtrudniejszych odprowadził w niedawną Wielkanoc.

– Akurat ćwiczyłem „Exsultet" na Wielki Czwartek – wspomina – kiedy przyszła kobieta, zapłakana, że właśnie przywieźli jej męża z frontu i trzeba go pochować. Pogrzeb był następnego dnia, w Wielki Piątek. I na pogrzebach żołnierzy jest taki najtrudniejszy moment, kiedy zagra orkiestra, kiedy jest salwa, później składanie flagi. Tego nie można normalnie przeżyć. Płaczą wszyscy. A ja potem muszę coś powiedzieć, ale nie mogę, bo przecież płaczę razem z nimi. Patrzę na tych rodziców, na żony, na dzieci, na wszystkich, którzy nie rozumieją, dlaczego to się stało. A to są chłopaki, którzy po prostu poszli, bo czuli, że tak trzeba.

Jak znaleźć słowa pocieszenia w takich chwilach? – Przede wszystkim trzeba słuchać – mówi jezuita. – I słyszeć. To są dwa czasowniki, które muszą iść razem. Bo często słuchamy, ale nie słyszymy. A usłyszeć czasami trzeba nawet ciszę, która może nieść w sobie wiele treści. Tak jak ja kiedyś usłyszałem milczenie mojej mamy w sądzie. ©℗

PASCAL DELOCHE / UIG / FORUM

Przewodnik po modlitwie

MAREK KITA

Dobrze jest posiedzieć w ciszy i bezruchu, jakbyśmy się opalali w niewyczuwalnych promieniach.

Czy łatwo jest się modlić? Pewnie stosunkowo łatwo wołać „do Boga, gdy trwoga", albo wzdychać do nieba, gdy z poplątanej sytuacji po ludzku nie widać wyjścia. Ale nawet wtedy niełatwo przeżyć modlitwę jako spotkanie, doświadczenie kontaktu. Tym bardziej pośród rutyny w miarę spokojnej codzienności modlitwa wydaje się wielu z nas czymś może potrzebnym, lecz niezbyt porywającym. Z kolei przejawy modlitewnej egzaltacji, widoczne np. w środowiskach charyzmatycznych, mogą rodzić albo wątpliwość, czy nie dochodzi do zbiorowej sugestii, albo kompleksy, że nie jestem osobą tak uduchowioną jak adepci tych doznań. Czy modlitwa może być głębokim doświadczeniem „zwykłego" wierzącego, czy też głębokie doświadczenia duchowe zdarzają się tylko nielicznym? I czym w ogóle jest modlitewne doświadczenie?

Zaufać tęsknocie

Skoro modlitwa wynika z wiary, to warto najpierw spytać o nią. Wiara rozumiana biblijnie oznacza przede wszystkim zaufanie Tajemnicy ukrytej wewnątrz naszych losów i subtelnie w nich przemawiającej – choć przychodzącej spoza ich horyzontu. Tajemnica przemawia głosem tęsknoty i nadziei, zapraszając do przekraczania tego, co zastane, by poszukiwać w życiu własnego miejsca oraz spełnienia. Jej zew obiecuje przy tym zarówno osobiste szczęście, jak i zdolność uszczęśliwiania innych: „Odejdź z twojego kraju i od twej rodziny, i od domu twego ojca, do ziemi, którą ci pokażę. A zrobię ciebie wielkim narodem i będę ci błogosławił, i zrobię wielkim twe imię: staniesz się błogosławieństwem" (por. Rdz 12, 1-2).

Ufając głosowi pragnienia, którym nas woła Tajemnica naszych źródeł (por. Ps 42, 2-3) – oraz wskazówkom, których echo rozbrzmiewa w sumieniu (por. Rz 2, 14-15) – wchodzimy na szlak wiary. Tajemnica zwana Bogiem uczy nas swoich ścieżek przez rzeczywistość (por. Ps 25, 4). W Piśmie czytamy, że Abraham „uwierzył Bogu" (por. Rz 4, 3) – zaufał, że życie poświęcone takim wędrówkom nie będzie bezpłodne. Dzięki tej wierze stał się „sprawiedliwy", bo wybrał słusznie. Parafrazując znany tekst liturgiczny, można powiedzieć, że „godne to i sprawiedliwe, słuszne i zbawienne" polegać na Autorze naszej tęsknoty...

Grunt pod stopą tonących

W historii Abrahama wybrzmiewa głos fundamentalnego powołania człowieka: „Chadzaj przed Mym obliczem i bądź kompletny" (*Hithallek lepanai wehje tamim*, Rdz 17, 1). Tę usłyszaną przez patriarchę wierzących frazę da się rozumieć następująco: żyj świadomy obecności Boga i nie roztrwaniaj własnej jaźni, nie uszczuplaj siebie przez złe wybory. Dalszy ciąg duchowej instrukcji danej wspólnocie Pierwszego Wybrania niesie wskazówkę, by ufać Tajemnicy Boga mówiącego „Jestem" (por. Wj 3, 14) do ludzi uwikłanych w złe zależności, uwięzionych w destrukcyjnych schematach myślenia i działania... Czyli doświadczających w różny sposób czegoś na wzór pobytu w „ziemi egipskiej, domu niewolników" (por. Wj 20, 2). W takich sytuacjach (jak zawsze zresztą) Bóg jest dokładnie tam, gdzie dana osoba. Jest przy niej (przy mnie) i oferuje wyjście, choć droga tego wyjścia może być paradoksalna: „Poprzez morze Twa droga, / Twoja ścieżka przez wielkie wody, / a Twoje ślady nie do rozpoznania" (Ps 77, 20).

Doświadczenie wierzących Bogu żywemu (por. Ps 42, 3) uczy, że On naprawdę wybawia, choć mówiąc kolokwialnie, „niełatwo za Nim trafić". Ratunek niekoniecznie oznacza uniknięcie złych rzeczy – można ocaleć jako „przechodzień doliny cieni" (por. Ps 23, 4), doświadczywszy piekła. Najmocniejszym objawieniem tego paradoksu jest przejście Jezusa przez mękę. W Nowym Testamencie czytamy zaskakujący komentarz do modlitwy w Getsemani: „modły i błagania do mogącego wybawić Go od śmierci zanosił z wielkim krzykiem i łzami – i został wysłuchany..." (Hbr 5, 7). Nie uniknął pogrążenia w ludzkim piekle, ale został ocalony wewnątrz niego. Głębiej niż otchłań śmierci była miłość Ojca – i to w niej zatonął. Dzięki pełnej respektu uległości (*eulabeia*) wobec prowadzącej Go ręki (por. Ps 139, 10) odnalazł ukryte w śmierci drzwi do zmartwychwstania.

Jedynie łaska i ufność

Glebą dla modlitwy w duchu pobożności biblijnej jest wiara jako zaufanie Bogu „miłosiernemu i życzliwemu, nieprędkiemu do gniewu, bogatemu w łaskę i wierność" (Wj 34, 6). Może nam w niej przeszkadzać

wdrukowane w świadomość przekłamanie tej nowiny, niestety wciąż mające swych wyznawców i apologetów. Dlatego warto wczytać się głębiej w Objawienie, dostrzec, jak natchnione intuicje przedzierają się stopniowo przez mentalność tych, którym je dano. Uchwycić ducha przesłania o „Bogu sprawiedliwym i wybawiającym" (Iz 45, 21), którego sprawiedliwość polega właśnie na wybawianiu. To jest istotna nowina wybrzmiewająca w biblijnym dyskursie, niezależnie od często przemocowego języka proroków.

Tak, Bóg wyraża pełen pasji sprzeciw wobec wyrządzanych Jego stworzeniom krzywd – i w tym sensie jest „sędzią sprawiedliwym, gniewnym co dnia" (Ps 7, 12). Lecz wizja Boskiej agresji wobec złoczyńców, szykowania na nich „miecza i strzał" (por. Ps 7, 12-13), jest jak nasze widzenie wędrówki słońca po niebie. Wiadomo, że w istocie to ziemia krąży wokół swej najbliższej gwiazdy. Również w przypadku tak zwanych Boskich kar mamy do czynienia z odwrotną dynamiką: złoczyńca „dół kopie i pogłębia, a sam wpadnie do wykopu, który zrobił; wróci krzywda z rąk jego na jego głowę, a własna przemoc spadnie mu na ciemię" (Ps 7, 16-17). Dopuszczanie się zła jest jak podrzucanie nad sobą kamienia, który spada bez niczyjej interwencji.

Natomiast sprawiedliwość Boga wyraża się w byciu rzecznikiem pokrzywdzonych, w obronie ich racji. Niesłusznie oskarżony modli się: „Osądź mnie, Panie, według mej słuszności i niewinności, jaką mam w sobie!" (Ps 7, 9).

W Nowym Testamencie czytamy: „wypłatą (*opsōnia*) grzechu jest śmierć, a darem (*charisma*) Boga – życie wieczne" (por. Rz 6, 23). Odwracając się od Źródła życia, automatycznie „inkasujemy" jego przeciwieństwo – natomiast Bóg ze swej strony nigdy nie traci życzliwości: „przemożna łaskawość Jego dla nas, a wierność Pana na wieki" (Ps 117, 2). Komuś takiemu nie trzeba składać przebłagalnych ofiar ani płacić odszkodowań. Śmierć Jezusa „za nasze grzechy" oznacza tyle, że przysłany przez Ojca Mediator wziął na siebie impet ludzkiej wrogości bez odwzajemnienia jej. Dlatego moment ukrzyżowania stał się „uśmierceniem wrogości" (Ef 2, 16). Drogo kosztowaliśmy Boga, który zmienił zabójstwo Mediatora w przymierze krwi. Komuś takiemu możemy zaufać jak dzieci: „Czyż nie uspokoiłem i nie uciszyłem mej duszy, jak niemowlęcia nakarmionego przez matkę?" (Ps 131, 2).

Ćwiczenie oddechu

Tak więc modlitwa wyrażająca zaufanie Bogu (życie w postawie tego zaufania jest w swym całokształcie modlitwą) polega na świadomym zwracaniu uwagi na Jego dyskretną, życzliwą wszechobecność. Potrzebujemy się na nią uwrażliwiać, „stawiać Pana przed swe oczy zawsze" (por. Ps 16, 8) – co jest możliwe dzięki starej praktyce „pobożnych westchnień", czyli „modlitw strzelistych" (*preces iaculatoriae*). Tysiące razy w ciągu dnia można sobie po prostu przypomnieć, że On tu jest, i zaadresować do Niego króciutkie słowo... To może być jeden głębszy oddech, w trakcie którego powiem w myśli: „*Abba*, Ojcze!" lub *Kyrie, eleison*!

W gruncie rzeczy chodzi o to, żeby życie jako takie – codzienna rutyna i momenty wyjątkowe, praca, odpoczynek, spotkania, chwile samotności – stawało się dialogiem z niosącą mnie Tajemnicą, zwaną Bogiem. Z naszym Ojcem o macierzyńskim sercu, przemawiającym do każdej z ludzkich istot doznaniami jej własnej witalności, rozbłyskami pozytywnych intuicji, nawiedzającymi umysł refleksjami.

Żeby ćwiczyć niewymuszoną uważność na obecność Dobrej Tajemnicy oraz dawane przez nią sygnały, potrzebujemy momentów odosobnienia, „wejścia do swego schowka" (por. Mt 6, 6). Sformułowanie „izdebka" z przekładu Biblii Tysiąclecia jest o tyle nieadekwatne, że Galilejczycy, do których mówił Jezus, nie mieli własnych pokoi w domach – sypiali we wspólnych izbach (por. Łk 11, 7). Obraz schronienia się w jakiejś spiżarce lub składziku oznacza potrzebę odsunięcia się na ubocze, żeby móc ćwiczyć uważność na „Ojca, będącego w ukryciu" (Mt 6, 6). Taka była też praktyka Jezusa, o którym czytamy, że chodził się modlić na miejsca odosobnione i długo tam przebywał (por. Mt 14, 23; Mk 1, 35; Łk 6, 12).

Podczas takich chwil na uboczu – rzadko można sobie pozwolić na parę godzin, ale dwadzieścia do trzydziestu minut warto znaleźć – nie chodzi w pierwszym rzędzie o mówienie do Boga, który już wszystko wie. „Modląc się, nie paplajcie jak poganie..." (Mt 6, 7). Jeśli mamy się uczyć dialogu z Ukrytym, wypadałoby pomilczeć, próbując słuchać. Ale nie starać się niczego „usłyszeć" na siłę. Uspokajać oddech, który może być swoistym „gestem" modlitwy, wyrażając przyjmowanie życia (wdech) i powierzanie go dłoniom Ojca (wydech). Nie walczyć z kołowrotkiem przelotnych myśli, lecz spokojnie wciąż wracać do pamięci, że Bóg tu JEST.

Cisza, słowo i dostrajanie tęsknoty

Warto przeczytać kilka wersetów z Biblii (na początek dobre są Ewangelie i Psalmy), starając się wczuwać w to, ↦

TP JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA" DODATEK

LATO W POZNANIU

a w nim:
przegląd najciekawszych festiwali, koncertów, wystaw i atrakcji dla dzieci, jakie w najbliższych miesiącach czekają nas wszystkich w stolicy Wielkopolski.

ZAPRASZAMY DO LEKTURY, NO I DO POZNANIA!

WSPÓŁPRACA:
POZnań
WYDAWNICTWO MIEJSKIE POSNANIA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

↦ co wyrażają. Smakować ich brzmienie i sens... Najpierwotniejszą formą medytacji, zarówno dla rabinów Izraela, jak i dla chrześcijańskich mnichów, było spokojne czytanie półgłosem, lub powtarzanie z pamięci, fragmentów Pisma. Potem dobrze jest posiedzieć w ciszy i bezruchu, jakbyśmy się opalali w niewyczuwalnych promieniach. Albo nasłuchiwali echa Słowa... A na koniec powiedzieć Ukrytemu kilka słów od serca. Choćby to miało być zwierzenie, że trudno mi się dziś modlić, że niewiele rozumiem i czuję.

Jak wiadomo, ewangeliści przekazali wskazówkę Jezusa, jak mówić podczas modlitwy. Niekoniecznie „co mówić" – choć spokojna recytacja Modlitwy Pańskiej dobrze służy odnajdywaniu się w obecności Ukrytego. Jest jak duchowe wtulenie się w Jego objęcia. Tych parę zdań można jednak traktować jako podpowiedź zasadniczej intencji dialogu z *Abba*, który wszystko wie i o wszystko się troszczy. Towarzyszy nawet spadającemu na ziemię wróblowi – grecki tekst Ewangelii nie mówi w tym kontekście o „woli Ojca", lecz że wróbel nie spada „bez waszego Ojca" (*aneu tou Patros hymōn*, Mt 10, 29). Jeśli Bóg jest wobec nas maksymalnie empatyczny, to choć mamy prawo powierzać Mu nasze zmartwienia i prosić o pomoc, możemy nie koncentrować wokół tego całej modlitwy.

Sednem świadomego bycia wobec Tego, który JEST, okazuje się dostrajanie mojej najgłębszej tęsknoty do jej ukrytego sensu. Tym, czego najgłębiej pragniemy, nie jest „woda, po której znów się pragnie" – jak mówi Jezus w ewangelicznej rozmowie z Samarytanką – lecz woda, której łyk otwiera wnętrze jaźni na Źródło życia (por. J 4, 13-14). Chodzi o przyswajanie Ducha symbolizowanego przez „wodę żywą" (por. J 7, 37-39) i wciąż odświeżającego w nas dziecięce usposobienie wobec *Abba* (por. Ga 4, 6). Duch kierunkuje nasze pragnienia na „uświęcanie imienia" Ojca – uwielbianie Go całą egzystencją – oraz na Jego królowanie we wszystkim. Na królowanie Miłości (por. 1 J 4, 16).

Przyjmować Królestwo

„Nasz Ojcze na niebiosach, niech się uświęca Twe imię, niech przyjdzie Twe królowanie, niech się staje Twa wola, jak w niebie, tak na ziemi" (Mt 6, 9b-10).

Chodzi o to, żeby codzienna rutyna, ale też momenty wyjątkowe stawały się **dialogiem z niosącą mnie Tajemnicą, zwaną Bogiem.**

Intronizujemy w swej świadomości Miłość, która nas stwarza i adoptuje. Akceptując jej rządy, zgadzamy się wejść do królestwa pojednania: prosząc o darowanie naszych win wobec Boga, deklarujemy darowanie win bliźnich wobec nas. To ważne, bo brak przebaczenia oznacza, że serce pozostało twarde i rozmija się z łaską, o którą prosi. Prosząc o przebaczenie, a samemu nie przebaczając (lub przynajmniej nie próbując tego zrobić), jesteśmy jak ktoś, kto chciałby pić zaciśniętymi ustami. To nie Bóg odmawia przebaczenia mściwym, to oni nie są zdolni je przyjąć.

A otwierając się na Miłość, która ma dla nas wyłącznie życzliwość/łaskę, możemy jej z pełnym zaufaniem powierzyć własną słabość i kruchość. Dlatego prosimy: „nie każ nam przechodzić próby (*peirasmos*), ale wybaw nas od Złego" (Mt 6, 13). Możemy tę prośbę wypowiadać bez napięcia. Bóg i bez niej nie zamierza nas konfrontować z wyzwaniami ponad siły ani zostawiać na pastwę ciemnych mocy (por. 1 Kor 10, 13). Jednak nam samym potrzebne jest uczciwe przyznanie się do kruchości. Boża ręka wciąż nas podtrzymuje (por. Ps 139, 10), chodzi jednak o to, żebym świadomie się na niej wsparł.

Z drugiej strony powierzanie się Ojcu i afirmacja Jego królowania wcale nie muszą przyjść łatwo. Wiara, że Bóg nie prowadzi nas przez sytuacje przerastające siły – przez próby, którym nie da się sprostać – sama bywa wystawiona na próbę. Jak pamiętamy, ocalenie dane jest nieraz dopiero wewnątrz „doliny cieni" (Ps 23, 4), po wejściu w mrok. A skoro tak, to nie wytrwamy w zaufaniu bez „patrzenia na Jezusa, przodującego w naszej wierze i doskonalącego ją" (Hbr 12, 2a). Tak, Jezus jest nie tylko tym, w kogo wierzymy (na kim polegamy, na kogo stawiamy, szukając prowadzenia i wsparcia), lecz także wzorcowym wierzącym: „przez wzgląd na obiecaną Mu radość przetrwał krzyż" (Hbr 12, 2b).

Powszedni chleb wieczności

Jezus zna doświadczenie opuszczenia przez Boga – i właśnie ten Syn Boży, krzyczący: „Czemuś Mnie opuścił?!" (Mk 15, 34), odsłania paradoks Boga obecnego we własnej nieobecności: „Gdy pościelę sobie w śmierci, tam Ty" (Ps 139, 8). Tej mądrości nie wolno jednak wygłaszać lekkim tonem, podobnie jak nowiny o zmartwychwstaniu. To są rzeczy, o których mówić mają prawo ci, którzy choć trochę ich doświadczyli. Którzy jak apostoł Paweł odkrywają, że bywają „powaleni, lecz nie zgubieni" (2 Kor 4, 9). Ewangeliczne objawienie zmartwychwstania przychodzi dyskretnie – jest dane na osobności garstce wybranych (por. Dz 10, 41), a Zmartwychwstały pokazuje przy tym odniesione wcześniej rany (por. J 20, 20). Głoszenie zmartwychwstania przez kogoś bez ran zakrawa na arogancję.

Natomiast żeby przetrwać wewnątrz naszych „dolin cieni", potrzebujemy się karmić konkretem Jezusowej egzystencji – Jego ciałem i krwią (por. J 6, 53). Nie wydaje się mądre odnoszenie tych słów tylko do rytuału sakramentalnej komunii. Sakramentalny znak zawsze odsyła poza siebie. Syn Boży przyszedł jako istota z ciała i krwi, żebyśmy nasycali nasze człowieczeństwo treścią Jego człowieczeństwa. Właśnie na ludzką kondycję wskazuje hebraizm „ciało i krew" (por. Mt 16, 17) – a chociaż człowieczeństwo Jezusa (zwłaszcza zmartwychwstałego) jest przeniknięte duchem (por. J 6, 63; 1 Kor 15, 44), to chrześcijanom nie wolno uciekać w czyste uduchowienie. Duchowość bez uznania, że „Jezus Chrystus przyszedł w ciele" to inspiracja antychrysta (1 J 4, 2-3).

Według Ducha Chrystusa żyje ten, kto przeżywa wszystkie realia człowieczeństwa, swojego i bliźnich, kto nie próbuje ignorować ani powszedniego chleba trosk, ani wina świątecznej radości. Kto wie, że do nieba idzie się po ziemi, bo we wszystkim, co ludzkie, zamieszkał Chrystus.

O taką właśnie duchowość, bazującą na spokrewnieniu się z nami Syna Bożego – o przyjmowanie obecnej kruchości jako już zamieszkałej przez życie wieczne – prosimy w modlitwie: „Chleba naszego przyszłego (*ton epiousion*) daj nam dzisiaj" (Mt 6, 11).

© MAREK KITA

WOJCIECH

Bonowicz: *Halina*

Szukam starych notatek. Próbuję odtworzyć nasze rozmowy sprzed lat. Nie było ich wiele, ale były ważne. Jedna długa, kiedy przyjechałem do Warszawy, żeby opowiedziała mi o swojej pracy w miesięczniku „Znak", o jej ówczesnej szefowej i najbliższej przyjaciółce Hannie Malewskiej, o autorkach i autorach, którzy się na łamach pisma pojawiali, o jej relacjach z księdzem Józefem Tischnerem... Zapytany kiedyś, kto powinien zostać następcą kardynała Wojtyły w Krakowie, Tischner odpowiedział: „Halina Bortnowska". Żart, jak to często bywa, skrywał drugie dno: redaktorka „Znaku" miała solidne teologiczne wykształcenie, a jednocześnie takie doświadczenie życia, jakiego wielu duchownym brakowało.

O swojej wierze wypowiadała się powściągliwie, właściwie dopiero w rozmowach do książki „Wszystko będzie inaczej" odsłoniła przed Jolantą Steciuk trochę więcej z tego, jak przeżywała relację z Bogiem. Nie bała się sformułowań mocnych, jeśli uważała, że oddają istotę rzeczy. „Relacja z Bogiem to jest relacja dwojga kochanków. My się z Bogiem kochamy", powiedziała. W innych ustach mogłoby to zabrzmieć pretensjonalnie, w jej brzmiało wiarygodnie, rzeczowo. Miała tę umiejętność – raczej rzadką, niestety – że mówiąc o wierze, nikogo nie raniła, nie zarysowywała granicy. Wiara była dla niej darem, który do niej przyszedł, nie oczekiwała, że wszyscy będą ją przeżywać tak jak ona.

Pytałem o jej zaangażowanie w Solidarność, o obecność wśród strajkujących hutników w pacyfikowanym przez milicję nowohuckim kombinacie – ale rozmowa nieoczekiwanie pobiegła w innym kierunku. W tamtym, „solidarnościowym" okresie zjawiła się druga, późna miłość. Wyszła za mąż po pięćdziesiątce, za wdowca z czwórką dzieci. Kiedy mówiła o Kazimierzu, stawała się jeszcze bardziej oszczędna w słowach. O kazanie na ich ślubie poprosiła Tischnera. „Tylko bardzo proszę, żadnych dowcipów", zastrzegła. I tak jak z pokorą przyjmował jej uwagi w redakcji, tak przyjął i tę – ponoć słuchając homilii, cały kościół płakał.

To są moje notatki – ale właściwie chciałem pisać o czym innym. Przede wszystkim o tym, że takich ludzi jak ona jest bardzo mało. Że większość z nas skupia się na załatwianiu własnych powszednich spraw i boi zaangażować w coś więcej. Albo angażuje się, ale tylko trochę, na pewien czas, bezpiecznie. Halina wspominała, że kiedy po powstaniu warszawskim trafiły z mamą do obozu w okolicach Wrocławia, po jedyny posiłek, brejowatą zupę, trzeba było stać w bardzo wąskim korytarzu zrobionym z drutu kolczastego. Trzynastoletnia Halina podeszła kiedyś do tego korytarza, żeby podać mamie wodę, bo ludzie w tej kolejce mdleli z upału i wycieńczenia. A ponieważ inni też zaczęli prosić o wodę, biegała i przynosiła. „Wtedy odkryłam – opowiadała po latach – że to, co robimy dla najbliższych, możemy robić dla wszystkich".

Niezwykła była w jej przypadku zgodność słowa i życia. Jej publicystyka zawsze łączyła się z działaniem: organizowaniem pomocy, protestu, jeśli było trzeba – czuwaniem przy pojedynczym chorym; a jeśli tego wymagała sprawa – także wyjściem na ulicę. W jej krytycyzmie było coś ujmującego: nigdy nie osądzała nikogo „z góry" jako ta, która wie lepiej. Nie miała „ogólnego poglądu" na człowieka, każdego widziała poszczególnie, pojedynczo. Z przeżyć wojennych wiedziała, że człowiek zdolny jest do najgorszych potworności. Ale wiedziała też, że nie musi taki być i że trzeba tak działać, żeby budzić w ludziach dobro, a nie demony.

Była człowiekiem-znakiem. Człowiek może umrzeć, a znak zostanie. ©

DANUTA WĘGIEL / FOTONOVA // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nikt lepiej nie opisze człowieczeństwa i zasług Haliny Bortnowskiej, niż zrobił to w tym felietonie Wojciech Bonowicz.
Łączymy się w żalu z bliskimi Zmarłej.
To, co robiła, jest i pozostanie jej najlepszym pomnikiem.

Przyjaciele i uczniowie z „Tygodnika Powszechnego"

Na stronie powszech.net/bortnowska przypominamy jej teksty pisane dla „TP".

GIORGIA RZĄDZI

Po dwóch latach dominowania we włoskiej polityce – toksycznej, zmaskulinizowanej i nieraz dosłownie zabójczej – Giorgia Meloni dowodzi, że jest nieprzeciętnie odporna.

PAWEŁ BRAVO

Prastare drzewa oliwne i mury z kamieni, które, nawet jeśli ociosane niedawno, wyglądają jak starożytna budowla, blaknąca w ostrym słońcu włoskiego Południa. Idealne tło na spektakl o przemijaniu ziemskich potęg.

Mistrzyni ceremonii – w bladoróżowym komplecie, skrojonym powściągliwie, ale w sposób sugerujący nieco luzu – witała promiennie po kolei sześciu mężczyzn w garniturach. Nominalnie szefów najbardziej wpływowych państw świata, a jednak politycznie żywych trupów. Albo szykowali się na rychłą klęskę, jak Rishi Sunak, albo właśnie wyszli poobijani w wyborach, jak Olaf Scholz i Emmanuel Macron. Najważniejszy, Joe Biden, spóźniał się. Zniecierpliwiona Giorgia Meloni podeszła zrobić sobie selfie z tłumem fotoreporterów.

Nieraz już rozładowywała trudne sytuacje spontanicznymi gestami. To także one utrzymują jej wizerunek bezpośredniej i zwyczajnej dziewczyny z przedmieść, która dzięki ciężkiej pracy i zdolnościom (zna dobrze kilka języków, choć po włosku świadomie mówi z plebejskim akcentem) zaszła wysoko. Aż do roli gospodyni szczytu G7 w Apulii.

W kontrze do Putina

Jeszcze pięć lat temu mogła co najwyżej otwierać imprezę niszowej partyjnej młodzieżówki. Albo konwentykl miłośników Tolkiena – we Włoszech stworzone przezeń imaginarium jest czczone zwłaszcza na prawicy.

Dzięki temu, że na głównej scenie politycznej zjawiła się niedawno, ma wyjątkowy status w rodzinie tzw. prawicowych populistów. Jej partia, Bracia Włosi, jako jedyna tutaj jest jednoznacznie proatlantycka, z dystansem do Rosji i proukraińska. Po prostu w czasach, gdy Kreml kupował sobie, na oczach wszystkich, całe partie i głównych polityków Europy, Bracia Włosi byli za mali. We Włoszech moskiewskie pieniądze szły do Silvia Berlusconiego i Mattea Salviniego.

Później zaś, gdy w 2022 r. Meloni, po latach tkwienia na parlamentarnym marginesie, wygrała wybory i mogła z tymi dwoma partnerami stworzyć rząd, zrozumiała, że bycie w kontrze do Putina to najskuteczniejsza polisa w Waszyngtonie i Brukseli przeciw alarmistycznym komunikatom, że odbywa się jakaś recydywa faszyzmu.

Wiedziała, że skoro jej partia jest, w sensie formalnym, dziedziczką nostalgików Mussoliniego, to „mniej jej wolno". Tak w Polsce mówiło się o SLD po roku 1989, a Aleksander Kwaśniewski okazywał się wtedy gorliwym atlantystą. Cóż lepiej ułatwi światu wybaczenie niechlubnych korzeni, jeśli nie pokazanie, że jest się – wobec inwazji Putina – lojalnym członkiem NATO i że pacyfikuje się prorosyjskie ciągoty koalicjantów?

Na poziomie czynów

Recydywa faszyzmu – wbrew ciągłym alarmom prasy związanej z centrolewicową opozycją (główna jej gazeta należy do właścicieli Stellantis, czyli eks-Fiata, którzy mają na pieńku z rządem z powodu niechęci tegoż do wspierania produkcji dotacjami) – nie następuje.

Owszem, zdarzają się wpadki wizerunkowe. Jak zdjęcia z rzymskim salutem z młodości pomniejszych działaczy. Albo antysemickie wpisy sprzed ośmiu lat obecnego rzecznika ministra rolnictwa (minister to ważna postać w rządzie, bo prywatnie szwagier pani premier; jej siostra Arianna Meloni pilnuje zaś porządku w partii). Rzecznika wyrzucono, a minister pytał, skądinąd słusznie, dlaczego zapisy z czata, uzyskane w ramach zamkniętego dawno śledztwa i bez wartości dowodowej, czekały w sejfie służb, aż delikwent zrobi karierę.

Na poziomie czynów 47-letnia Meloni próbuje, ze zmiennym szczęściem, realizować agendę konserwatywną, nie naruszając jednak zastanego stanu prawnego. Polityka prorodzinna to w większości hasła, którym towarzyszą niezbyt udolne i chude finansowo mechanizmy wsparcia. W kwestii aborcji obiecała, że nie tknie obowiązującego prawa – i nie musi tego robić, bo *de facto* przerywanie ciąży, zagwarantowane ustawą z lat 70. XX w., jest niedostępne w znacznej części państwowych szpitali (na włoskim Południu praktycznie we wszystkich), gdyż personel medyczny w swej masie stosuje klauzulę sumienia.

Meloni, „w pełnym poszanowaniu dla ustawy", wydała też zaległe przepisy wykonawcze do artykułu, który przewidywał obecność organizacji pozarządowych w poradniach, gdzie kobiety uzyskują skierowanie na zabieg. Tak się oczywiście składa, że to głównie organizacje katolickie są tym zainteresowane.

Inercja włoskiego państwa

Parlament właśnie zaczął procedowanie reformy konstytucyjnej, która ma dać ogromną władzę premierowi; byłby on wybierany w wyborach powszechnych. To faktycznie jeden z ulubionych tematów Meloni (warto pamiętać, że Włochy miewały za to premierów, i to ważnych, jak Mario Draghi, którzy nie mieli mandatu wyborczego; w kryzysowych sytuacjach wyłaniano ich w zakulisowych układach partii i prezydenta). Jednak przepchnięcie tych zmian przez cztery głosowania w izbie niższej i Senacie, a także w referendum, wydaje się nierealne bez rozwodnienia projektu i jego twardo wyglądających zapowiedzi.

Jeśli ktoś wśród Braci Włochów miał tęsknoty za rządami twardej ręki, życie szybko to zweryfikowało. Wciąż nowa ekipa, z krótką ławką, zajęta obroną przed zakusami słabych, ale otrzaskanych koalicjantów, musi użerać się z legendarną inercją państwa. Będącego zlepkiem okopanych i mętnych interesów, z których część ma korzenie w równoległej władzy mafii.

Przykładem użytkowanie plaż. Rzecz niby błaha, w tak turystycznym kraju zapewnia jednak duże zyski nielicznym graczom, którzy „od zawsze" i bez przetargów wynajmowali od gmin najlepsze plaże za śmieszne pieniądze. Wprowadzenia wolnej konkurencji żądała Unia, w ramach tzw. kamieni milowych funduszu odbudowy po pandemii. Władze w Rzymie grały na zwłokę, deklarując inwentaryzację. Po czym stwierdziły, że stare koncesje dotyczą tylko 33 proc. linii brzegowej, więc nie ma problemu. Nie dodały, że pozostałe 67 proc. nie nadaje się do plażowania. Bruksela nie dała się nabrać i pozornie prosta procedura mozolnie dobija do brzegu. Nie obędzie się zapewne bez odszkodowań, jakie wyrwą obecni beneficjenci.

Stawiamy czoło światu

Inny przykład: Meloni nie była w stanie ruszyć programu dopłat do remontu domów, odziedziczonego po poprzednikach. Jest tak skonstruowany, że korzysta z niego tylko kilka procent najbogatszych właścicieli nieruchomości. ↦

Premier Włoch Giorgia Meloni przyjeżdża elektrycznym fiatem 500 vintage do rezydencji Borgo Egnazia w Apulii na szczyt G7. 13 czerwca 2024 r.

IPA / BACKGRID / FORUM

↦ Program zabiera z budżetu ok. 100 mld euro i ekonomiści zgodnie twierdzą, że jest nie do utrzymania. Ale gdy ministrowie z Braci Włochów zabrali się za jego likwidację, nagle okazało się, że jakoś nie da się tego zrobić.

Z wielkich planów zamknięcia morskich szlaków migracyjnych – niektóre firmowała, obok Meloni, sama Ursula von der Leyen – nie zostało prawie nic, poza zasilaniem w sprzęt rozbójników zwanych libijską strażą przybrzeżną. Ogłoszony hucznie obóz w Albanii, dokąd miano przenosić ubiegających się o azyl, by tam procedować ich zgłoszenia (na wzór tego, co Sunak chce robić w Rwandzie), nie zaczął działalności. Rząd utrudnia życie organizacjom ratującym ludzi z tonących łajb, ale to nie ma wpływu na liczbę imigrantów.

Meloni woli więc działać w sferze retoryki i odnosi tu sukcesy. Umie prezentować się jako niepokorna konserwatystka w wojnach kultur, zwłaszcza w kwestii „normalnej rodziny". Pokazuje światu z dumą 7-letnią córkę Ginewrę (imię nosi ona na cześć żony króla Artura; to kolejna sfera symboliczna ulubiona przez włoską prawicę), zabiera ją w zagraniczne podróże, a pod wspólnym zdjęciem pisze: „Ja i ty, ręka w rękę, stawiamy czoło światu".

Ale córka urodziła się w nieformalnym związku z pewnym prezenterem telewizyjnym, którego, gdy wybuchł wokół niego mały skandal seksualny (nagłośniony przez media rodziny Berlusconich, gdy w koalicji rządowej trzeszczało), Meloni odprawiła precz jednym wpisem na Twitterze. Stale zabiega o obecność papieża przy różnych wydarzeniach na rzecz rodziny, które organizują jej partia i pokrewne środowiska, a Watykan zdaje się nie być wybredny.

W unijnych układankach

Ostatnio udało się jej ściągnąć Franciszka do Apulii na szczyt G7, wspomniany na początku. Wykorzystując jego obecność, a także swoją mocną pozycję wobec pozostałych przywódców, przewalczyła, by w komunikacie końcowym nie padały wprost słowa o gwarancji dostępu do aborcji – na czym zależało Macronowi i Bidenowi, którzy potrzebują zdobywać teraz punkty w progresywnym elektoracie.

Z Apulii zaś musiała lecieć zaraz do Brukseli, gdzie po eurowyborach zaczęły się targi wokół unijnych *top jobs*. Wprawdzie całą pulę rozdzielą między siebie ci sami gracze co zawsze: Europejska Partia Ludowa (EPL), socjaliści i liberałowie. Ale od miesięcy mówiło się, że Meloni, której partia należy w Parlamencie Europejskim do tej samej frakcji co PiS (czyli EKR), może odegrać jakąś rolę w układankach. Zwłaszcza że część ludowców (zwłaszcza ta niemiecka) sondowała możliwość zwrotu bardziej w prawo.

Bracia Włosi wydawali się w tej perspektywie idealnym pomostem do części prawicowego skrzydła parlamentu, zaludnionego głównie przez „nieprzysiadalne" postaci w rodzaju Viktora Orbána, Marine Le Pen czy Mateusza Morawieckiego. Meloni przez ten czas zręcznie balansowała: z jednej strony dbała o relacje z bliskimi jej politykami, a z drugiej wypowiadała się (przynajmniej na użytek zagranicy) z umiarem i słała sygnały, że jest gotowa tworzyć szerszy front „odpowiedzialnej" prawicy.

Kobieca przyjaźń

Dobre relacje z nią budowała Ursula von der Leyen; media pisały o nowej „kobiecej przyjaźni". Przewodnicząca Komisji Europejskiej chciała zapewnić sobie choćby ciche poparcie europosłów od Meloni dla swojej kandydatury na drugą kadencję – tak jak w 2019 r. uzyskała je od PiS-u (dziś na to nie liczy). W geście otwarcia na Rzym Ursula von der Leyen kazała swoim urzędnikom odłożyć ogłoszenie rocznego raportu o praworządności, w którym Włochy mają być postawione na cenzurowanym w kwestii wolności mediów.

Meloni przybyła więc do Brukseli w bojowym nastroju. I wzmocniona: jej Bracia Włosi zajęli w eurowyborach pierwsze miejsce, uzyskując prawie 29 proc. głosów, czym o prawie trzy punkty poprawili swój wynik w wyborach do włoskiego parlamentu w 2022 r.

Jednak na początku została odesłana do kąta. Donald Tusk, główny negocjator EPL, oznajmił, że nie potrzeba mu ani poparcia Meloni w Radzie, ani głosów jej posłów w Parlamencie, bo trzy główne frakcje mają większość. Tusk, Scholz i Macron pertraktowali więc na osobności. *Deal* nie został jeszcze dopięty, bo EPL próbuje wymusić na socjalistach oddanie stołka przewodniczącego Rady za dwa i pół roku. Meloni i innym premierom spoza „wielkiej trójki" pozostawało oczekiwanie, aż ta skończy (na czas, by zdążyć na mecz Francji z Austrią) i protestowanie przeciw „z góry ustalonym nazwiskom".

Dla Tuska Meloni jest przyjaciółką jego najgorszego wroga, nie dziwi więc, że tam, gdzie polski premier prowadzi grę, trzyma ją na dystans. Ale już szef EPL, Niemiec Manfred Weber, znów sygnalizuje, że nie da sobie nikomu narzucać, z kim wolno negocjować. Ponieważ polityka unijna unika ostrych rozwiązań, w dniach przed formalnym szczytem Rady, planowanym na 27 czerwca, mogło się jeszcze okazać, iż Meloni ugra dla siebie i Włoch dobre stanowisko w Komisji. I traktowanie lepsze niż wobec jej „trędowatych" kolegów.

Odporna

Nawet jeśli jej się to nie uda, w kraju niczym jej to nie zagrozi. Po rozstaniu z partnerem napisała na Twitterze pod adresem domniemanych inspiratorów skandalu: „Tym, którzy chcieli zadać mi cios w domu, odpowiadam, że podobno kropla drąży skałę, ale skała pozostaje jednak skałą, a kropla jest, cóż, tylko wodą".

Może to przesadne pochlebstwo pod własnym adresem. Jednak po dwóch latach trwania w dobrej formie we włoskiej polityce – toksycznej, zmaskulinizowanej i nieraz dosłownie zabójczej – Giorgia Meloni dowodzi, że faktycznie jest nieprzeciętnie odporna.

©℗ PAWEŁ BRAVO

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 790/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Garbarczyku, synu Wiesława Edmunda i Czesławy Jadwigi Bernat vel Barnat, zmarłym w dniu 27 lipca 2019 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającym w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

HENRY NICHOLLS / AFP / EAST NEWS

Walcząc desperacko o głosy, Rishi Sunak odwiedził też najdalsze zakątki Szkocji. Na zdjęciu: premier (w środku), szef zajmującej się energią odnawialną firmy Global Energy Roy MacGregor (z prawej) i lider szkockich torysów Douglas Ross (z lewej). Port w miasteczku Nigg, 23 maja 2024 r.

Brytania skręca na lewo

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

„Czas na zmianę" – obiecuje Keir Starmer, lider brytyjskiej Partii Pracy. Po 14 latach w opozycji, jej wygrana w przedterminowych wyborach wydaje się pewna.

David Duguid, poseł Partii Konserwatywnej z okręgu Banff i Buchan w północno-wschodniej Szkocji, w maju wciąż przebywał w szpitalu, ale z optymizmem myślał już o postępującej rehabilitacji i rychłym, miał nadzieję, powrocie do pracy. Do szpitala trafił kilka tygodni wcześniej z powodu choroby kręgosłupa i zapalenia płuc.

Wiadomość, że przyspieszone wybory odbędą się już w czwartek 4 lipca – nie zaś w drugiej połowie tego roku, jak wcześniej sądzono – spadła na niego równie niespodziewanie, co na innych polityków i zwykłych obywateli. Duguid, który w 2017 r. odbił mandat w tym okręgu z rąk Szkockiej Partii Narodowej – po tym jak politycy SNP piastowali go przez 30 lat – szybko się jednak zmobilizował. Uznał, że mimo kłopotów ze zdrowiem będzie kandydować: „A jeśli zostanę wybrany, będę nadal służył wam wszystkim niestrudzenie i jak tylko potrafię najlepiej".

Czekała go jednak kolejna niespodzianka: nie rozmawiając z nim wcześniej, szef szkockich konserwatystów Douglas Ross ogłosił, że Duguid nie znajdzie się na liście. Na jego miejsce wskoczy zaś on, Ross, choć jeszcze niedawno deklarował, że poświęci się Szkocji, a mandat w Londynie go nie interesuje.

TONĄCY OKRĘT | To życie wewnętrzne brytyjskich torysów w dalekim zakątku Szkocji jest ciekawe o tyle, że jest typowe dla ich ogólnej kondycji.

Choć Partia Konserwatywna znana jest z bezwzględności, „cios w plecy" Duguida oburzył mieszkańców regionu bez względu na poglądy. Oraz miejscowych działaczy. Niektórzy zapowiedzieli, że opuszczą nawet partię. Tu trzeba podkreślić, że północno-wschodnie obszary Aberdeenshire i Moray są jednym z niewielu miejsc w Szkocji, gdzie konserwatyści mogli liczyć na przewagę. Postępek Rossa odebrano więc jako podwójnie niewłaściwy: najpierw ze względu na jego obcesowość, a po wtóre jako „skok" na okręg stosunkowo „bezpieczny". Pod falą krytyki Ross obiecał w końcu, że jeśli uzyska mandat, zrezygnuje z przewodzenia torysom w Szkocji.

Dlaczego ten incydent mówi sporo o całej partii, również w Anglii? Okazuje się, że i tam politycy walczyli ↦

↦ o „bezpieczne" okręgi, w innych zaś brakowało chętnych. Z ponownego kandydowania zrezygnowała też rekordowa liczba posłów, wśród nich tak znani jak była premier Theresa May czy Michael Gove, były minister.

Kolejne prognozy są bezlitosne: torysi stoją w obliczu klęski. Według sondażu dziennika „Sunday Times" z połowy czerwca mogą zdobyć jedynie 72 z 632 mandatów, podczas gdy opozycyjna lewicowa Partia Pracy aż 456. Tak złego rezultatu torysi nie uzyskali nigdy w historii (najgorzej poszło im w 1906 r., gdy mieli 156 mandatów). W 2019 r., za Borisa Johnsona, wprowadzili do Izby Gmin 365 posłów.

Inne sondaże są dla nich ciut łaskawsze (przewidują ponad sto mandatów), ale we wszystkich przewaga laburzystów jest miażdżąca.

LISTA PROBLEMÓW | „Teraz jest ten moment, aby Brytania wybrała swoją przyszłość" – mówił premier Rishi Sunak, ogłaszając datę przyspieszonych wyborów. Również w kampanii powtarzał, że w tym głosowaniu chodzi o przyszłość. Z kolei Keir Starmer, lider Partii Pracy, mówi, że chodzi o zmianę – to hasło laburzystów.

Trudno jednak Sunakowi skłonić Brytyjczyków, by patrzyli tylko w przyszłość, skoro konserwatyści są u władzy od 14 lat i w tym czasie składali wiele obietnic, których nie spełnili. Fakt, czas był burzliwy: pandemia, wojna w Ukrainie, podwyżki cen energii. Ale nie wszystko było determinowane przez czynniki zewnętrzne, tymczasem lista problemów rośnie – ilościowo i jakościowo, bo nowych przybywa. To np. katastrofalne w ostatnich latach zanieczyszczenie rzek i wód przybrzeżnych w wyniku zrzutów nieoczyszczonych ścieków.

Co jest najważniejszym tematem tej kampanii – pytam prof. Tima Bale'a, politologa z Queen Mary University w Londynie.

– To zależy, dla kogo. Dla polityków konserwatystów liczą się podatki, dla laburzystów gospodarka i opieka zdrowotna. Z kolei politycy Liberalnych Demokratów wskazują na temat ścieków i opiekę społeczną, a partia Reform UK na imigrację – wylicza Bale.

– Jeśli natomiast chodzi o wyborców, najważniejsze są dla nich koszty utrzymania, szeroko pojęta gospodarka i sprawy zdrowotne. Co do pewnego stopnia wyjaśnia przewagę Partii Pracy w sondażach – dodaje politolog.

> Wielu Brytyjczyków chce oddać głos na laburzystów z jednego powodu: **byle tylko odebrać władzę konserwatystom.**

Wielu Brytyjczyków chce oddać głos na laburzystów z jednego powodu: byle tylko odebrać władzę torysom.

SŁOWO NA „B" | Jest jedna kwestia, wokół której w Wielkiej Brytanii panuje osobliwe milczenie: to brexit, który miał i będzie mieć wpływ na brytyjską gospodarkę i sprawy życia codziennego.

Coraz więcej Brytyjczyków wydaje się żałować decyzji o opuszczeniu Unii Europejskiej. Za błąd uważa to obecnie 55 proc. mieszkańców Wysp. Jedyną grupą wiekową, w której większość jest odmiennego zdania, są osoby powyżej 65. roku życia: 57 proc. z nich uważa, że brexit był właściwym krokiem. Ponad połowa Brytyjczyków deklaruje, że w ciągu pięciu lat powinni mieć szansę głosować w ponownym referendum. Gdyby takie się odbyło, za członkostwem w Unii głosowałoby dziś 60 proc. obywateli.

Tymczasem żadna partia tego wątku nie porusza – poza Szkocką Partią Narodową [patrz wywiad z Iainem Macwhirterem na stronie obok – red.].

– Nawet Liberalni Demokraci z wielką ostrożnością podkreślają, że proponują jedynie powrót do Wspólnego Rynku, ale nie do całej Unii – mówi prof. Bale. – Torysi nie mogą o tym mówić, bo wiedzą, że nie był to sukces, bez względu na to, jak udają, że jest inaczej. Z kolei Partia Pracy nie chce stracić popierających brexit wyborców. Powrót do Europy i tak nie jest możliwy w najbliższym czasie, więc po co masz ryzykować alienację wyborców przez mówienie pozytywnie o Unii czy wspominanie o oczywistych wadach brexitu? Zwłaszcza że wielu przeciwników brexitu i tak będzie na ciebie głosować.

NIGEL WRACA DO GRY | Choć zwycięzca jest niemal pewny, wiele interesujących rzeczy rozgrywa się dziś na drugim planie.

Przykładowo ugrupowanie Reform UK zrównało się w sondażach z Partią Konserwatywną lub nawet minimalnie ją prześcignęło. Jego lider Nigel Farage, który był twarzą brexitu, powtarza, że w tych wyborach rozstrzygnie się, kto będzie prawdziwą opozycją wobec przyszłego rządu Partii Pracy. Nie skrywa ambicji, aby była to jego partia.

Jak znacząca może być obecność posłów Farage'a w ławach Izby Gmin?

– Jest mało prawdopodobne, aby Reform UK zyskała więcej niż kilka mandatów, bo poparcie dla niej jest rozproszone, co przy naszej ordynacji jest wadą – ocenia prof. Bale, nawiązując do faktu, że w Wielkiej Brytanii w każdym okręgu mandat zdobywa tylko jeden kandydat, ten z największą liczbą głosów. – Farage to będzie raczej samotny głos przyciągający uwagę. Spodziewałbym się natomiast, że jego parlamentarzyści lub – co bardziej prawdopodobne – parlamentarzysta, szybko dołączy do Partii Konserwatywnej.

Tym jednym parlamentarzystą może być sam Farage, którego część komentatorów wskazuje nawet jako możliwego przyszłego lidera torysów. On jednak deklaruje, że nie jest zainteresowany ubieganiem się o członkostwo w Partii Konserwatywnej. „Myślę, że lepszym rozwiązaniem byłoby jej przejęcie" – stwierdził niedawno.

CI MNIEJSI | Sondaże wskazują na jeszcze jeden ciekawy trend: w tych wyborach, w przeciwieństwie do tych z roku 2019, zyskują mniejsze partie.

Dwie największe, torysi i laburzyści, mogą łącznie otrzymać najmniej głosów od czasu II wojny światowej. Z kolei poparcie dla mniejszych ugrupowań wzrosło od początku kampanii o pięć punktów – tak wynika z badania agencji Opinium (gdy w tym okresie przed poprzednimi wyborami spadło o dziesięć).

Powodem może być rosnąca frustracja i nieufność obywateli wobec formacji głównego nurtu – kryzys zaufania do polityków jest wśród Brytyjczyków faktem. W corocznym badaniu British Social Attitudes okazało się, że jedynie 14 proc. mieszkańców Wysp wierzy, iż parlamentarzyści przedkładają dobro kraju nad dobro partii. W latach 80. XX wieku uważało tak 40 proc. ankietowanych. Nieufność wobec rządu jest silniej obecna wśród tych, którzy poparli brexit.

„Kolejny rząd stanie nie tylko przed wyzwaniem, jak ożywić gospodarkę i polepszyć usługi publiczne. Będzie też musiał odpowiedzieć na obawy społeczeństwa, które jak nigdy przedtem ma wątpliwości co do wiarygodności i skuteczności systemu rządzenia krajem" – podkreślał w „The Times" doświadczony politolog prof. John Curtice.

Dodajmy, że w tym samym badaniu British Social Attitudes ponad połowa pytanych wskazała na konieczność reformy systemu wyborczego, tak aby mniejsze partie mogły zyskać więcej mandatów.

NA PÓŁNOCY | Tymczasem dawny okręg Davida Duguida nadal przechodzi wstrząsy. W połowie czerwca Partia Pracy zawiesiła tu swojego kandydata po tym, jak media przypomniały, że Andy Brown podważał sprawstwo Rosji w ataku nowiczokiem (bronią chemiczną) w brytyjskim mieście Salisbury; w 2018 r. rosyjscy agenci usiłowali zabić tam zbiegłego z Rosji funkcjonariusza jej wywiadu i jego córkę. Brown, który zarzutom zaprzecza, nadal może kandydować, ale jeśli zostałby wybrany, to jako poseł niezależny.

W sondażach na prowadzeniu jest tu na razie kandydat SNP Seamus Logan. Jeśli wygra, Szkocka Partia Narodowa odzyska ten kawałek kraju, który utraciła w 2017 r. w związku z brexitem. Bo choć większość Szkotów głosowała w referendum w 2016 r. za pozostaniem w Unii, to jednak szkoccy rybacy głosowali za wyjściem. A że rybołówstwo to jeden z filarów gospodarki tej części Szkocji, taki też był tu wynik referendum (61 proc. za brexitem). W efekcie wpłynęło to rok później negatywnie na poparcie dla proeuropejskiej SNP.

Teraz tematem przesądzającym o wyniku – obok gniewu i rozczarowania, widocznych w całym kraju – może być sprawa nowych odwiertów ropy i gazu na Morzu Północnym. Konserwatyści są za, Partia Pracy przeciw, a SNP lokuje się pomiędzy.

Gdy zaś idzie o Davida Duguida, to w połowie czerwca poinformował on, że opanował poruszanie się na wózku inwalidzkim i może już usiąść. Jego zwolennicy są przekonani, że zdobyłby mandat nawet ze szpitalnego łóżka.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

B540 / GUILLEM LOPEZ / EAST NEWS

IAIN MACWHIRTER był w latach 2009-12 rektorem Uniwersytetu w Edynburgu. Obecnie felietonista dziennika „The Times" i tygodnika „The Spectator". Autor książek, w tym o szkockich aspiracjach niepodległościowych.

Ludzie czują się zdradzeni

IAIN MACWHIRTER, KOMENTATOR POLITYCZNY:

Brytyjczycy koncentrują się dziś mentalnie coraz bardziej na własnych wyspiarskich problemach.

PATRYCJA BUKALSKA: Choć coraz więcej mieszkańców Wysp żałuje brexitu, prawie nikt o nim nie mówi. Dlaczego?

IAIN MACWHIRTER: Gdyż tak chcą największe ugrupowania. Partia Pracy jest gotowa dostosować się, jeśli wygra, do pewnych aspektów unijnego Wspólnego Rynku, ale woli o tym nie mówić, bo to mogłoby zniechęcić wielu jej wyborców w północnej Anglii. Za brexitem głosowało wielu ludzi z klasy robotniczej, zwolenników Partii Pracy. Ona jest dziś wielkomiejska i liberalna, ale zabiega też o głosy robotnicze i nie zaryzykuje ich utraty. Z kolei Partia Konserwatywna uparcie twierdzi, że brexit nie był katastrofą. Jedni i drudzy mają powody, by brexit nie był tematem. Jest nim natomiast dla Szkockiej Partii Narodowej (SNP).

W 2016 r. większość Szkotów była w referendum za pozostaniem w Unii.

SNP podnosi ten temat przy każdej okazji. Szkoccy nacjonaliści podkreślają też, że są jedyną partią, która chce powrotu do Unii.

A kwestia niepodległości Szkocji?

To może zaskakujące, ale ona jakoś spadła na dalszy plan. Nawet SNP rzadko o tym mówi. Wcześniej, gdy kierowała nią Nicola Sturgeon, a po niej Humza Yousaf, oboje zapowiadali, że kolejne wybory będą w istocie referendum w tej sprawie...

↦

...gdyż Londyn nie zgodził się na nowe referendum niepodległościowe. Jedno odbyło się już w 2014 r. i wtedy zwolennicy secesji nie mieli większości.

No więc gdyby obecne wybory tak potraktować, zwolennicy niepodległości znów by przegrali. Wolą więc o tym ludziom nie przypominać. Wprawdzie John Swinney, nowy lider SNP, powtarza, iż niepodległość to sprawa numer jeden. Nie mówi jednak, kiedy i jak Szkocja miałaby ją uzyskać. Przekaz SNP brzmi dziś: wyślijmy jak najwięcej posłów do parlamentu w Westminsterze, by Szkocja miała tam mocny głos.

Dotąd SNP była trzecią największą partią w londyńskiej Izbie Gmin. Teraz może stracić tę pozycję.

Ważnym wnioskiem z tych wyborów jest konkluzja, że ruch niepodległościowy w Szkocji jest skończony. W kampanii już nie mówi się o uzyskaniu niepodległości w jakiejś przewidywalnej przyszłości...

Dlaczego?

SNP była u władzy w Szkocji przez 17 lat. Za Nicoli Sturgeon miała kilka miażdżących wyborczych sukcesów. Potem zaczęły się kłopoty, wynikające głównie ze współpracy SNP ze szkocką Partią Zielonych i przyjęcia jej propozycji, często nieprzemyślanych. Nie wszystko jednak jest dla nacjonalistów stracone – z sondaży wynika, że niemal połowa Szkotów nadal chce niepodległości. To trudny moment dla szkockich wyborców: wielu jest rozczarowanych SNP i chciałoby ją ukarać przy urnach, ale nie chcą też tracić szkockiego głosu w Londynie.

W całej Brytanii poziom zaufania do polityków jest rekordowo niski.

Ludzie czują się zdradzeni i rozczarowani tym, jak rządzony jest nasz kraj. To będzie poważny problem dla następnego rządu. Partia Pracy będzie mieć potężną większość w parlamencie i będzie chciała coś z nią zrobić. Lepiej rządzić. Ale jak? Jest raport byłego premiera Gordona Browna z 2022 r., postulujący, aby Izbę Lordów zastąpić Senatem, którego członkowie będą wyłaniani w wyborach, oraz aby wzmocnić szkocki parlament.

W swoim programie Partia Pracy mówi o modernizacji Izby Lordów.

Tak, ale uważa się, że Keir Starmer nie myśli o tym na poważnie. Też nie mam wrażenia, aby interesowały go reformy konstytucyjne. Zresztą nikt nie ma na to wielkiej ochoty. Dość mieliśmy zmian w ostatnich latach.

Sposobem na odbudowę społecznego zaufania byłyby chyba po prostu dobre rządy i poprawa standardu życia.

Przejmując rządy, laburzyści nie będą mieć pieniędzy na polepszenie usług publicznych. Starmer pokłada wszystkie nadzieje we wzroście gospodarczym. Ale to może nie wystarczyć na realizację planów i obietnic.

Jakie mogą być skutki tych wyborów dla relacji z Europą, zwłaszcza w kontekście wojny w Ukrainie?

Partia Pracy ma już teraz sporo posłów nastawionych pacyfistycznie, którzy są członkami Campaign for Nuclear Disarmament [ruchu na rzecz rozbrojenia nuklearnego – red.], a jeszcze więcej im podobnych zostanie wybranych. Proszę zwrócić uwagę, że Starmer nie mówi wiele o sytuacji w Ukrainie i zagrożeniach dla Europy. Dla mnie to zdumiewające, że mamy tę straszną wojnę, a tego tematu nie ma w kampanii. To bardzo ograniczone mentalnie, wyspiarskie wybory.

A relacje z Unią?

Jeśli chodzi o brexit, nie będzie żadnego formalnego ruchu prowadzącego do powrotu do unijnego Wspólnego Rynku. Natomiast politycznie Wielka Brytania idzie w innym kierunku niż Europa Zachodnia, która skręca ku populistycznej prawicy. Taka tendencja jest też tutaj i to ona niszczy od środka Partię Konserwatywną. Natomiast rząd będziemy mieć lewicowy, laburzystowski. Może to promyk nadziei dla europejskich socjaldemokratów?

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

Trybuni ludów

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Nad Sekwaną karty rozdają dziś populiści z prawa i lewa. I jeśli ktoś może zagrodzić skrajnej prawicy drogę do rządów, to pewnie blok lewicowy – zdominowany przez radykałów.

Francja jest na wirażu. Wkrótce czeka ją, być może, ostry skręt w prawo. Wszystko za sprawą przedterminowych wyborów parlamentarnych, które odbędą się w dwóch turach: 30 czerwca i 7 lipca.

Gorączka przedwyborcza nie ominęła nawet francuskiego futbolu, który raczej stroni od polityki. Na konferencji prasowej w trakcie Euro 2024 kapitan „trójkolorowych" Kylian Mbappé ostrzegł przed „skrajnymi siłami, które są u bram władzy" i wezwał Francuzów, zwłaszcza młodych, by poszli głosować. Nie wymienił co prawda nazwy partii, którą krytykował. Ale biorąc pod uwagę kontekst, wszyscy mogli się domyślić, że chodzi o Zjednoczenie Narodowe.

Bo to ta partia, której faktyczną liderką jest Marine Le Pen, prowadzi we wszystkich sondażach. Notowania dają jej w okolicach 31-33 proc. Drugi w kolejności jest sojusz formacji lewicowych (występujący pod nazwą Nowy Front Ludowy; 28 proc. poparcia), a dopiero na trzecim miejscu prezydencka lista Emmanuela Macrona, Renesans (18 proc.).

Tu ważne zastrzeżenie: francuskich deputowanych wybiera się inaczej niż w Polsce – według ordynacji większościowej, w jednomandatowych okręgach wyborczych. W dodatku przy wysokiej frekwencji w drugiej turze może rywalizować nawet troje kandydatów. Specyficzna ordynacja komplikuje więc prognozy.

Wiele zależy właśnie od frekwencji. W eurowyborach do urn poszło prawie

JOEL SAGET / AFP / EAST NEWS

„Od 9 czerwca Francja powraca!": Le Pen i Bardella na plakacie RN. Paryż, 10 czerwca 2024 r.

52 proc. Francuzów. Teraz można spodziewać się, że będzie ich powyżej 60 proc.

Partia ogólnokrajowa

Pewne jest za to, że lepeniści złapali wiatr w żagle. Zjednoczenie Narodowe (Rassemblement national, RN) wygrało właśnie eurowybory – po raz trzeci z rzędu i z rekordowym wynikiem ponad 31 proc.

Prof. Pascal Perrineau, politolog z paryskiego Instytutu Nauk Politycznych Sciences Po, w rozmowie z „Tygodnikiem" wskazuje, że w eurowyborach lepeniści zwyciężyli aż w 93 proc. francuskich gmin. – Zjednoczenie Narodowe jest dziś partią prawdziwie ogólnokrajową, reprezentuje wszystkie grupy społeczne i wiekowe. Najmocniej, i to już od wielu lat, partia Le Pen zakorzeniła się wśród warstw ludowych, takich jak robotnicy i pracownicy na niższych stanowiskach. Teraz podbija klasę średnią i nawet osoby na kierowniczych stanowiskach – podkreśla Perrineau.

Czy społeczeństwo francuskie stało się ksenofobiczne? Perrineau uważa, że nawet jeśli niechęć do obcych jest we Francji czymś realnym, nie można sprowadzać głosu na RN do ksenofobii. – Wszystkie badania pokazują, że podstawową troską wyborców RN są problemy typu socjalnego, zwłaszcza rosnące ceny i koszty życia – mówi politolog.

Zaniepokojeni imigracją

– To oczywiście nie wszystko – dodaje Perrineau. – Francja ma bardzo silną tożsamość narodową i poczucie, że w globalnym, otwartym świecie ta tożsamość zanika. To, że wyborcy RN są zaniepokojeni masową imigracją i brakiem kontroli nad nią, nie znaczy, że muszą być rasistami czy ksenofobami.

Inni socjolodzy polemizują z tą opinią, kładąc większą wagę na rolę uprzedzeń rasowych. Félicien Faury, autor głośnej w tym sezonie książki „Zwyczajni wyborcy. O wyborcach RN", przez sześć lat badał elektorat skrajnej prawicy w południowo-wschodniej Francji, od kilku dekad bastionie tego ugrupowania.

Na łamach dziennika „Le Monde" Faury wskazywał, że w wypowiedziach wyborców Le Pen „kwestie socjalne są wciąż łączone z tematem imigracji i miejscem mniejszości etniczno-rasowych w społeczeństwie francuskim". Np. ankietowani wyrażają często przekonanie, że imigranci czy cudzoziemcy zabierają im dostęp do pomocy socjalnej, mieszkań czy służby zdrowia lub że państwo traktuje „obcych" lepiej niż rodowitych obywateli Francji.

Idąc na mityng wyborczy RN choćby w wieloetnicznym Paryżu, można się naocznie przekonać (jak piszący te słowa), że wśród sympatyków partii całkowicie dominują osoby o białym kolorze skóry.

Bardella i pierwsze decyzje

W trakcie obecnej kampanii liderzy RN – Marine Le Pen oraz 28-letni Jordan Bardella, nominalnie prezes RN i kandydat na premiera – zapowiadają, co będzie dla nich priorytetem, jeśli przejmą władzę.

I tak, według Le Pen najbardziej pilne są trzy kwestie: obniżenie kosztów życia zwykłych Francuzów, walka z przestępczością i ograniczenie imigracji. Z kolei Bardella, mówiąc o swoich pierwszych decyzjach w roli szefa rządu, wymienił obniżenie podatku VAT na energię i paliwa (z 20 proc. do 5,5 proc.), obniżenie rachunków za prąd o 30 proc. (Bardella uważa, że to możliwe za sprawą, jak mówi, „wyzwolenia się" Francji z unijnych reguł dotyczących rynku energii elektrycznej), dalej zaostrzenie kar za przestępstwa i ograniczenie do minimum obecnej bezpłatnej pomocy medycznej dla cudzoziemców przebywających nielegalnie w kraju.

Bardella zapowiada też zaostrzenie walki z imigracją i utrudnienie dostępu do francuskiego obywatelstwa. Chce jak najszybciej znieść tzw. prawo ziemi, które umożliwia dzieciom imigrantów, które rodzą się we Francji, niemal automatyczne uzyskanie obywatelstwa.

Tonowane obietnice

– Wyborcy Le Pen spodziewają się, że ich partia po dojściu do władzy będzie bardziej skutecznie kontrolować napływ imigrantów. Nie jest to jednak oczywiste, jeśli spojrzeć np. na włoską premier Giorgię Meloni, która obiecywała coś podobnego. Jak dotąd nie udało jej się tego osiągnąć. Być może podobnie będzie z RN – zauważa Pascal Perrineau.

Partia Le Pen obiecywała też wcześniej, że uchyli ustawę emerytalną z 2023 r., którą przeforsował Macron. Podnosi ona wiek emerytalny z 62 do 64 lat, co wywołało falę ogromnych protestów. W trakcie obecnej kampanii politycy RN zmienili tu jednak ton: teraz obiecują jedynie, iż umożliwią wcześniejsze przejście na emeryturę w wieku 60 lat, ale tylko dla osób, które zaczęły pracować przed 20. rokiem życia. Rewolucji więc nie będzie.

– Już teraz RN zaczyna wycofywać się z części demagogicznych obietnic ekonomiczno-społecznych – uważa Perrineau. – Wielkie koncerny są zaniepokojone możliwym zdobyciem władzy przez narodowych populistów z RN, podobnie jak też przez radykalną lewicę. Po kryzysie politycznym mógłby nastąpić ekonomiczny. To prawdziwa stawka tych wyborów.

Strach rynków, stan finansów

Powodem ostrożności RN w kwestii emerytur i innych spraw socjalnych może być ↦

↦ chęć uspokojenia rynków, przestraszonych perspektywą rządów lepenistów. Sama obietnica obniżki VAT-u na energię i paliwa kosztowałaby, według ministerstwa finansów, 17 mld euro rocznie. Tymczasem lepeniści nie wskazali wiarygodnych źródeł sfinansowania tej obniżki; mówią tylko o walce z oszustwami podatkowymi.

Obietnice wyborcze i RN, i innych partii rozpatrywać trzeba na tle krytycznej sytuacji finansów państwa. W 2023 r. dług publiczny Francji przekroczył 110 proc. PKB (przed pandemią, w 2019 r., wynosił blisko 98 proc. PKB). Tym samym Francja zajmuje dziś trzecie miejsce w Europie, po Grecji i Włoszech, pod względem wysokości tego długu. Inna niepokojąca liczba: w 2023 r. deficyt budżetowy wyniósł 5,5 proc. PKB.

Pascal Perrineau uważa, że za „niepoważny", jak to ujmuje, stosunek do dyscypliny budżetowej odpowiadają rządy z ostatnich kilkunastu lat – zarówno konserwatywna prawica, jak i socjaliści. Rządy Macrona pogłębiły ten trend. – Przed eurowyborami agencja ratingowa Standard & Poor's zdegradowała ocenę Francji, stąd koszty zadłużenia będą rosnąć. To kolejny element, który pozwala sądzić, iż w ciągu 3-4 miesięcy po wyborach może dojść do kryzysu ekonomicznego – ocenia politolog.

Liderzy RN bardzo się trudzą, by przekonać i wyborców, i świat biznesu, że nie są (już) politycznymi „awanturnikami". „Uosabiamy porządek i spokój", „Chaos to Macron, a nie my" – mówiła Marine Le Pen dziennikowi „Le Figaro". Czy przekonała tych, którzy pamiętają z 2017 r. jej wezwania do frexitu, jej pochwały Putina albo poparcie aneksji Krymu?

Spękany front

Na głównego oponenta lepenistów w tych wyborach kreuje się lewica. Jej koalicja, pod nazwą Nowy Front Ludowy, obejmuje kilka partii: to radykalna Francja Nieujarzmiona (LFI), Partia Socjalistyczna (PS), Ekolodzy (dawniej Zieloni) i Partia Komunistyczna (PCF). Ten sklecony naprędce sojusz – powstał on w ciągu kilku dni po tym, jak 9 czerwca Macron rozpisał wybory – łączy tylko wspólny wróg.

Dwa lata temu, przed poprzednimi wyborami, partie lewicowe tworzyły już jeden blok. Zajął on drugie miejsce (za liberałami Macrona), ale szybko się rozsypał – przede wszystkim za sprawą różnic w podejściu do wojny w Ukrainie i do konfliktu izraelsko-palestyńskiego.

Radykalna LFI pod wodzą Jeana-Luca Mélenchona stanęła całkowicie po stronie Palestyńczyków; liderzy LFI, oprócz znanego dziennikarza François Ruffina, konsekwentnie sprzeciwiali się nazywaniu Hamasu organizacją terrorystyczną. Z kolei socjaliści zarzucali politykom LFI, że dla kalkulacji wyborczych – tj. łowienia głosów mieszkańców przedmieść, pochodzących z krajów arabskich – przenoszą niejako konflikt w Gazie nad Sekwanę i igrają z antysemityzmem.

Inny punkt zapalny: sprzymierzona z socjalistami mała partia Miejsce Publiczne Raphaëla Glucksmanna domagała się zwiększenia dostaw uzbrojenia dla Ukrainy, podczas gdy Francja Nieujarzmiona powtarzała, że należy stawiać tylko na dyplomację.

Nikt nie ma złudzeń, że Nowy Front Ludowy wymaże niedawne waśnie. – To blok czysto taktyczny, wyborczy, który nie rozwiąże głębokich podziałów między tymi partiami. Lewicę socjaldemokratyczną, czyli Partię Socjalistyczną i Miejsce Publiczne, dzieli od Mélenchona przepaść – mówi „Tygodnikowi" socjolog Jean-Pierre Le Goff. Jego zdaniem przeszkodą w porozumieniu jest także osobowość Mélenchona, który, jak mówi Le Goff, uważa się za „mesjasza lewicy" i nie toleruje różnicy zdań nawet we własnej partii.

Gdzie jest „lud"?

Lewica francuska – i socjaldemokraci, i radykałowie – wciąż przedstawia się jako obrończyni „ludu" (franc. *peuple*), rozumianego jako klasa społeczna o niskich dochodach i słabszym wykształceniu. Tymczasem, jak wskazuje Jean-Pierre Le Goff, tak rozumiany „lud" głosuje dziś głównie na radykalną prawicę. Zresztą także lepeniści używają z upodobaniem słowa *peuple*.

W procentach wygląda to tak: według ośrodka Ipsos w ostatnich eurowyborach aż 53 proc. spośród biorących w nich udział francuskich robotników poparło RN, podczas gdy tylko 8 proc. z nich głosowało na LFI, a 7 proc. na Partię Socjalistyczną.

– Dzisiaj to, co można nazwać „ludem lewicy", składa się w większej mierze z klasy średniej, tzw. *bobos* – twierdzi Le Goff. To skrót od *bourgeois bohème*, w wolnym przekładzie: anarchizujących burżujów. Le Goff: – Bliskie im jest to, co nazywam „lewactwem kulturowym", czyli zastąpienie walki o sprawy socjalne bojem o kwestie obyczajowe, obronę mniejszości itd.

Le Goff uważa, że radykalna lewica stawia dziś także na lewicującą młodzież oraz na elektorat muzułmański z niektórych przedmieść. Właśnie tam, na imigranckich przedmieściach, skrajna lewica wygrywała wybory w ostatnich latach.

Socjolog sądzi, że proces porzucenia partii lewicowych przez warstwy nazywane niegdyś plebejskimi, przede wszystkim przez robotników, nie zaczął się dziś, lecz już 20-30 lat temu. Le Goff: – Lewicowi wyborcy nie przypominają dziś wcale sympatyków Frontu Ludowego sprzed II wojny światowej.

Wówczas tę antyfaszystowską koalicję tworzyli socjaliści, komuniści i inni lewicowi radykałowie; rządziła ona Francją w latach 1936-38.

– Obecny Nowy Front Ludowy przywdziewa stare kostiumy, aby odzyskać dawną tożsamość, z której nic prawie nie zostało – uważa socjolog.

Rząd albo chaos

Jak może wyglądać Francja po 7 lipca?

Le Goff: – Jest możliwe, że partia Le Pen zajmie wprawdzie pierwsze miejsce, ale nie będzie mieć większości. Jordan Bardella oświadczył, że w takiej sytuacji nie będzie chciał tworzyć rządu. Takie rozwiązanie, oznaczające chaos w parlamencie, może nawet być na rękę Marine Le Pen, bo da czas na przygotowanie się do walki o urząd prezydenta w 2027 r. A to jest dla niej najważniejsze.

Perrineau: – Jeśli Zjednoczenie Narodowe jednak dojdzie do władzy, będzie musiało bardzo szybko poduczyć się umiejętności rządzenia. Do tej pory RN rządziło tylko lokalnie w kilkunastu mniejszych miastach kraju. Jedynym większym miastem było tu Perpignan. Jak na razie ma więc mnóstwo braków do nadrobienia. © SZYMON ŁUCYK

RDC POLSKIE RADIO **DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"** co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia **www.rdc.pl**

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

EKATERINA ANISIMOVA / AFP / EAST NEWS

Wyścig między biegunami

KLAUS DODDS, BRYTYJSKI EKSPERT OD REJONÓW POLARNYCH:

Na Zachodzie długo dominowało myślenie, że Arktyka i Antarktyda mogą być wolne od napięć geopolitycznych. Było to złudzenie.

MARTA ZDZIEBORSKA: Czy zmiany klimatu w Arktyce to zła wiadomość tylko dla planety, czy także dla politycznej równowagi sił w tej części świata?

KLAUS DODDS: Przede wszystkim dla planety. Arktyka ponosi koszty zmian klimatu. Widać to zwłaszcza w takich rejonach jak rosyjska Arktyka, gdzie topnieje wieczna zmarzlina, co prowadzi do ulatniania się metanu. To skutkuje jeszcze większym ociepleniem w rejonach polarnych, co z kolei wywołuje pożary lasów. Topniejąca zmarzlina to też ryzyko dla infrastruktury: dróg, domów, rurociągów, które mogą się zawalić. Z drugiej strony, wraz z topnieniem lodu część Oceanu Arktycznego zaczyna być bardziej dostępna dla żeglugi.

W tym swoją szansę widzi Rosja, która inwestuje w Północną Drogę Morską. Trasa z Europy do Azji wzdłuż arktycznego brzegu Rosji jest o jedną trzecią krótsza od tej przez Kanał Sueski.

Rosjanie mają nadzieję, że kiedyś będzie to główny morski szlak handlowy między oboma kontynentami. Do 2035 r. wody wokół Bieguna Północnego mogą mieć latem tak mało lodu, że będzie można przez nie swobodnie przepłynąć. Dziś to wciąż trudno dostępny rejon. Na miejscu Rosjan nie byłbym jednak przesadnym optymistą: ruch żeglugowy Północną Drogą Morską nie jest na takim poziomie, jakiego oczekiwałaby Moskwa.

Norweski serwis Barents Observer donosi, że w 2023 r. tym szlakiem przetransportowano o 10 mln ton towarów mniej, niż zakładała przyjęta przez Putina strategia. Rosja sparzyła się na zagranicznych firmach, które bojkotują tę trasę od jej inwazji na Ukrainę. Z drugiej strony, swoją obecność umacniają tu Chiny.

Chiny zwiększają dostawy surowców tą drogą i angażują się w rozbudowę infrastruktury. Są mniejszościowym udziałowcem projektów Jamał LNG i Arctic LNG 2, które dotyczą produkcji skroplonego gazu. To jeden ze skutków zachodnich sankcji: Rosja rozwija współpracę z Chinami, Indiami, a także coraz bardziej z Arabią Saudyjską i Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Od dawna Rosja sygnalizuje też, że rozwój wydobycia ropy i gazu na Dalekiej Północy to część strategii zapewniającej jej ekonomiczne przetrwanie.

Z Arktyki pochodzi nawet 80 proc. wydobywanego dziś przez Rosję gazu i spora część innych surowców: niklu, metali ziem rzadkich, diamentów. Czy wojna w Ukrainie przyspieszy wyścig po surowce w Arktyce, także z udziałem krajów Europy, które chcą uniezależnić się od rosyjskich dostaw?

Tak, choć są tu też inne kwestie. Z jednej strony Unia Europejska szybko odcięła się od bezpośrednich dostaw gazu z Rosji, stawiając na dostawy z Kataru czy Norwegii. Ale na unijny rynek trafia rosyjska ropa przetwarzana w indyjskich rafineriach. Nadal więc korzystamy z rosyjskich surowców, co pokazuje, że sankcje przyniosły połowiczny sukces.

Długofalowo Arktyka może jednak stać się dla Europy istotnym zagłębiem. Potrzebujemy m.in. metali ziem rzadkich i niklu, kluczowych dla zielonej transformacji.

To nieuniknione. Arktyka, gdzie od dawna wydobywa się węgiel, m.in. w północnej Skandynawii, będzie miejscem wyścigu po te wspomniane surowce. Będzie więcej projektów wydobywczych. Jest też druga strona medalu: takie inwestycje rodzą konflikty z rdzennymi społecznościami. Widać to w północnej Skandynawii, gdzie hodowcy reniferów protestowali przeciw nowym kopalniom i farmom wiatrowym. Układać się z lokalnymi społecznościami trzeba też na Grenlandii, Alasce i w Kanadzie. Łatwiej jest wydobywać ropę w Nigerii niż w Arktyce. Poza tym inwestycje w rejonach polarnych są kosztowne, a ze względu na zmiany klimatu obszar ten będzie jeszcze bardziej nieprzewidywalny i wymagający. To też zły sygnał dla Rosji.

Arktyka staje się areną napięć geopolitycznych. Widać je na norweskiej wyspie Spitsbergen, gdzie znajdują się rosyjskie osady górnicze. Rosjanie podejrzewani są tam o działalność wywiadowczą. W 2023 r.

Rosyjski lodołamacz o napędzie atomowym „50 lat zwycięstwa". Biegun Północny, 18 sierpnia 2021 r.

ANNA ANDRIANOVA / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Granica Federacji Rosyjskiej na Wyspie Aleksandra w archipelagu Ziemi Franciszka Józefa na Morza Barentsa. Rosja, marzec 2017 r.

ogłosili plan otwarcia tam ośrodka badawczego. Co chcą tym ugrać?

To kolejna prowokacja, prztyczek w nos dla norweskiego rządu. W 2023 r. ulicami osady w Barentsburgu jechała parada z okazji 9 maja, wzięli w niej udział mężczyźni ubrani w stroje przypominające mundury, auta z flagami Federacji Rosyjskiej. Rosja stoi też za zakłócaniem sygnału GPS w północnej Skandynawii. Od zawsze sprawiała problemy na Spitsbergenie i całym Svalbardzie – norweskim archipelagu, gdzie według traktatu z 1920 r. kraje-sygnatariusze mogą wydobywać surowce.

Podobno w planowanym ośrodku badawczym Rosja chce uczyć swojej historii i kultury, a także paleografii, co u norweskich władz zapaliło czerwoną lampkę. Co na ten temat mówi traktat spitsbergeński z 1920 r.?

Zakazuje jedynie wykorzystywania archipelagu do celów wojskowych. Jeśli Moskwa chce prowadzić badania na temat obecności Rosjan na Svalbardzie, nie ma tu prawnych przeciwskazań. Chyba że ktoś zacznie głosić, iż Svalbard nie jest norweskim terytorium.

W lutym wiceminister Jurij Trutniew ostrzegał Oslo, że prawa Rosjan żyjących na Svalbardzie nie mogą być kwestionowane. Dokonał porównania ze wschodnią Ukrainą, gdzie, jak mówił, żołnierze „przelewają krew za suwerenność Rosji i prawo mieszkańców do mówienia w języku rosyjskim". To nowa retoryka wobec Norwegii?

Rosja już wcześniej robiła konfrontacyjne ruchy. W 2020 r., na kilka dni przed setną rocznicą traktatu spitsbergeńskiego, minister Sergiej Ławrow wysłał list do norweskich władz. Zarzucił im, że próbują ograniczać działalność gospodarczą Rosjan na Svalbardzie przez tworzenie stref ochrony ryb na wodach wokół archipelagu czy przez procedury deportacyjne, jego zdaniem wymierzone w obywateli Rosji.

W przypadku wypowiedzi Trutniewa ważne są okoliczności: on groził Norwegom na kilkanaście dni przed drugą rocznicą inwazji na Ukrainę. Dał do zrozumienia, że w razie potrzeby Rosjanie nie zawahają się interweniować na Svalbardzie. Tym bardziej teraz, gdy Norwegia wsparła starania Szwecji i Finlandii o wejście do NATO.

To pierwszy raz, gdy Rosja wysuwa wobec Oslo takie argumenty?

Tak, dlatego alarmuje to norweskie władze. Podkreślmy: Svalbard jest norweskim terytorium. Problem w tym, że Moskwa podpisuje traktaty, a potem je narusza. Na przestrzeni lat Rosjanie podejmowali na Svalbardzie działania ocierające się o szpiegostwo. Nie bez powodu NATO od dawna postrzega Svalbard jako potencjalny punkt zapalny między Rosją a Sojuszem. To część Arktyki, której powinniśmy przyglądać się uważnie.

Szacuje się, że Zachód potrzebuje ok. 10 lat, by dogonić Rosjan w Arktyce. Mają o jedną trzecią więcej baz wojskowych niż kraje NATO, inwestowali we flotę okrętów podwodnych i jądrowych lodołamaczy. Jak to się stało, że Zachód stracił tu czujność, nawet po aneksji Krymu w 2014 r.?

Długo przeważało myślenie, zwłaszcza wśród Norwegów, iż Arktyka jest unikatowym terytorium wolnym od napięć geopolitycznych. Jak mantrę powtarzano, że na Dalekiej Północy nie ma miejsca na poważniejsze tarcia między państwami. Kraje arktyczne nie dopuszczały myśli, że region mocno się militaryzuje i że nie można ufać Rosji.

Niektórzy analitycy uważają, że rozszerzenie NATO o Finlandię i Szwecję może pomóc w odstraszaniu Rosji w Arktyce.

Rozszerzenie Sojuszu to przełom, dzięki któremu granica między NATO a Rosją wydłużyła się o grubo ponad tysiąc kilometrów. Ostatnio Sojusz przeprowadził w Arktyce duże ćwiczenia wojskowe. USA i Wielka Brytania stawiają na jeszcze ściślejszą współpracę z Norwegią. W marcu 2023 r. Brytyjczycy otworzyli na norweskiej północy Camp Viking, bazę komandosów, którzy prowadzą ćwiczenia w warunkach zimowych. Zacieśniają się też relacje w ramach Grupy Północnej [zrzesza 12 krajów Europy Północnej będących członkami NATO lub UE – red.]. Inwazja na Ukrainę wzmacnia świadomość, że Norwegia, Finlandia, Polska, Litwa, Estonia i Łotwa są na pierwszej linii frontu na wypadek konfliktu z Rosją.

USA dopiero jesienią 2022 r. opublikowały nową strategię dla Arktyki, która zakłada zacieśnienie współpracy z sojusznikami oraz rozbudowę infrastruktury i floty lodołamaczy. Dlaczego tak późno?

Arktyka długo nie była postrzegana jako region strategiczny dla USA. Dla Amerykanów liczyła się jedynie Alaska i to głównie jako źródło ryb, gazu i ropy, a nie teren graniczący przez Cieśninę Beringa z Rosją. Mało inwestowano w infrastrukturę polarną. Dziś Amerykanie mają zaledwie dwa lodołamacze, z czego jeden ledwo działa.

Rosja ma około czterdziestu.

Mając jeden sprawny lodołamacz, Amerykanom trudno sprostać wyzwa-

niom w Arktyce i na Antarktydzie. Potrzebna jest też modernizacja przestarzałej floty samolotów transportowych C-130 Hercules używanych w rejonach polarnych. To niełatwe, przy obecnej polaryzacji w USA trudno pozyskać w Kongresie nowe fundusze.

Z kolei Chiny twierdzą dziś, że są krajem „niemal polarnym". Jak to rozumieć?

Pekin po raz pierwszy użył tego terminu w 2018 r. w swojej strategii dotyczącej Arktyki. W dokumencie tłumaczono, że Chiny mają prawo do zwiększonego angażowania się w Arktyce, gdyż zmiany klimatu w tym rejonie świata mają dla nich poważne skutki. To groźna argumentacja, po którą może sięgnąć więcej państw.

Chiny stawiają na współpracę gospodarczą nie tylko z Rosją, ale też z innymi krajami tego regionu. Jak im idzie?

Przed inwazją na Ukrainę kraje nordyckie były otwarte na współpracę z Chinami. Toczyły się rozmowy o budowie arktycznej linii kolejowej między Finlandią i Norwegią, która miała być powiązana z chińską Inicjatywą Pasa i Szlaku. Dzięki tej linii norweskie Kirkenes stałoby się istotnym punktem przeładunkowym dla azjatyckich towarów transportowanych przez Ocean Arktyczny. Ostatecznie projekt zawieszono. Ze względu na współpracę Moskwy i Pekinu kraje nordyckie są teraz bardziej podejrzliwe wobec Chin.

Przenieśmy się teraz na Antarktydę – ziemię prawnie niczyją, którą można wykorzystywać tylko do celów naukowych. W raporcie dla brytyjskiego rządu ocenił Pan, że napięte relacje z Rosją wzmocnią rywalizację strategiczną także tam.

Rosja, a także Chiny od lat spierają się z innymi krajami w sprawie chronionych obszarów morskich i tego, ile można łowić ryb w Oceanie Południowym. Pojawiają się wątpliwości, czy chińskie i rosyjskie badania naukowe prowadzone są tam z poszanowaniem dla środowiska i regulacji międzynarodowych. Oba kraje robią ruchy, by kwestionować obowiązujący na Antarktydzie porządek prawny i zagrać tu krajom zachodnim na nosie.

ROYAL HOLLOWAY UNIVERSITY OF LONDON

KLAUS DODDS jest profesorem na Royal Holloway University of London, dziekanem wydziału nauk przyrodniczych i środowiska. Specjalizuje się w geopolityce i tematyce bezpieczeństwa w Arktyce i na Antarktydzie.

Ostatnio głośno jest o badaniach sejsmicznych, w wyniku których Rosja mogła oszacować zasobność złóż ropy i gazu na Oceanie Południowym.

Warto się przyglądać, czy Rosjanie robią to w ramach badań naukowych, jak twierdzą, czy też jest to poszukiwanie surowców, co byłoby sprzeczne z zakazem wydobycia surowców na Antarktydzie. Nie obawiam się, że Rosjanie zaczną zaraz wydobywać ropę, ale niepokoi, że mogą postrzegać Antarktydę jako potencjalne źródło surowców. Pojawi się wtedy pytanie, czy mamy mechanizm zapewniający, iż protokół madrycki z 1991 r. jest przestrzegany [jest on uzupełnieniem do Układu Antarktycznego, który reguluje tam sytuację prawną – red.].

Protokół ten zakazuje eksploatacji złóż przynajmniej do 2048 r.

Ten protokół nie wygaśnie w 2048 r., jak często błędnie powtarzają media. On po prostu w tym roku może być renegocjowany. Byłby to jednak żmudny i skomplikowany proces. Rosja nie musi tak długo czekać, by podważyć obowiązujący porządek. Wystarczy, że zgodnie z konwencją genewską o prawie traktatów zgłosi z wyprzedzeniem chęć wypowiedzenia Układu Antarktycznego. Zasadne jest więc pytanie, co możemy z tym zrobić, jeśli się na to zdecyduje. Moim zdaniem niewiele.

Co powstrzymuje Rosję przed wyjściem z Układu?

Myślę, że po części Chiny, które też są jego sygnatariuszem. Po drugie, Rosjanie i tak mogą teraz robić, co chcą. Sprzyja temu obecny mechanizm: bez jednomyślności wszystkich sygnatariuszy trudno ukarać państwo naruszające Układ.

Iran, choć nie jest stroną Układu Antarktycznego, twierdzi, że chce założyć na biegunie południowym stację polarną i wysłać tam okręty wojenne. Należy to traktować poważnie?

Komentarze irańskich oficjeli z ostatnich lat są dziwne i nie wiem, na ile poważnie je traktować. Na pewno Iran myśli o sobie jako o regionalnym mocarstwie. Mówiąc o planach wobec Antarktydy, chce pokazać, że jest w stanie rozwinąć potencjał w tym wymagającym logistycznie regionie. W przeszłości także Pakistan, Indie i Chiny zgłaszały zainteresowanie Antarktydą, aby udowodnić, że są na tyle silne, by prowadzić tam ekspedycje i badania. Pytanie, czy któryś z krajów wciągnie kiedyś Iran do współpracy na Antarktydzie? Nie zdziwiłbym się, gdyby Rosja zaprosiła irańskich naukowców na swoją stację.

Mówimy dużo o wyścigu po surowce. Pewnie wyśmieje Pan spekulacje, że Antarktyda może stać się kiedyś źródłem wody pitnej dla reszty świata?

To absurdalny pomysł, po raz pierwszy przedstawiony w latach 70. XX w. przez Arabię Saudyjską. Jej władze sugerowały, że będą transportować góry lodowe z Antarktydy na Bliski Wschód. Ktoś, kto zna realia na Oceanie Południowym, nie wyszedłby z taką propozycją. Bardziej zasadne są pomysły geoinżynieryjne, by spowolnić wzrost globalnego poziomu mórz. Polegają na budowie podwodnego muru blokującego dopływ ciepłej wody do lodowca, co pozwoliłoby ograniczyć jego topnienie.

A wracając do gór lodowych jako źródła wody pitnej: to szalony pomysł nie tylko ze względów logistycznych, ale też prawnych. Bo do kogo należy lód na Antarktydzie? Aktywne tu państwa formalnie nie mają żadnej kontroli nad tym obszarem. To rodzi ryzyko, że niektóre kraje będą chciały robić tu coś, czego nie będą mogły robić nigdzie indziej. Dlatego trzeba mówić o działaniach Rosji na Antarktydzie: nie pozwólmy, aby i tu Moskwa podważała porządek międzynarodowy.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

POWIEŚMY TE DUMNE PANY

Tadeusz Kościuszko wyśnił sobie, że w walce o wolność zjednoczy się zgodnie cały naród. 230 lat temu, podczas samosądów na ulicach Warszawy, jego idealizm zderzył się z gniewem ludu.

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

Poruszony wydarzeniami, które rozegrały się w stolicy 28 czerwca 1794 r., Jan Duklan Ochocki notuje w pamiętniku: „Kto oczyma swemi podobnych scen nie widział, ten pojęcia o nich mieć nie może. Straszliwy to fenomen, który za karę bożą uważać można, niszczący wszystko jak lawa wulkanu, i siłę tylko niszczącą mający w sobie".

Z powodu szczątkowych relacji nie sposób ustalić, ile dokładnie było wtedy ofiar ulicznych samosądów. Znana jest tożsamość ośmiu z nich.

Z kolei Julian Ursyn Niemcewicz we wspomnieniach odnosi się do tych wypadków w tonie chłodnej refleksji: „W czasach rewolucyjnych, gdzie każdy czyn sądzony jest (...) najczęściej z uniesieniem i ślepą namiętnością, gdzie – jak u nas – zrażone długimi zdradami i podstępami umysły łatwo do podejrzenia skłonne, gdzie snadniej jest jednego oskarżyć o zdradę jak winę w wielu znajdować, (...) gwałtownych popędliwości od ludu (...) spodziewać się zawsze należy".

Co się wtedy stało?

Czas wielkiej zmiany

W tamtych letnich dniach roku 1794 w Rzeczpospolitej – rozszarpywanej przez Rosję i Prusy – ważą się losy powstania kościuszkowskiego, rozpoczętego w marcu.

Jego duch różni się od wcześniejszych zrywów. Nie jest to już konfederacja szlachecka, lecz walka, której przyświecają idee filozofa Jana Jakuba Rousseau (jego prace, podważające porządek społeczny, trafiają na kościelny indeks), rewolucji francuskiej i wojny o niepodległość amerykańskich kolonii.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Żaden z twórców tamtej epoki nie uwiecznił samosądów z 28 czerwca 1794 r. Trzy miesiące później, pod koniec września, powołany w końcu Sąd Najwyższy Kryminalny skazał na śmierć i infamię liderów Targowicy. Ponieważ ci uciekli wcześniej z Warszawy, sięgnięto po znany od średniowiecza zwyczaj „in effigie" („w obrazie"): wykonanie wyroku na wizerunku skazanego. Na obrazie: moment wieszania portretu Stanisława Szczęsnego Potockiego, lidera stronnictwa prorosyjskiego. Obraz namalował Jan Piotr Norblin lub jego uczeń Aleksander Orłowski.

Obok zrzucenia obcego jarzma celem tej insurekcji jest zmiana struktur społecznych i ustrojowych. Poprzedni system zniesiono, tworzy się nowy. Środowiska umiarkowane lękają się jednak, aby ruch niepodległościowy nie przekształcił się w rewolucję – taką jak we Francji. Dobiegają z niej wieści o terrorze, który fizycznie zmiata elity upadłej epoki.

W Warszawie działa – powołana przez Tadeusza Kościuszkę, naczelnika powstania – Rada Najwyższa Narodowa, odpowiednik rządu. Ma wydziały sprawiedliwości (nadzoruje sądy) i bezpieczeństwa (odpowiada za ściganie przestępstw, śledztwa, dozorowanie więźniów). Działa też Sąd Kryminalny. Jednak, wedle zapowiedzi, w sprawach politycznych orzekać miał Sąd Najwyższy Kryminalny, a wciąż nie został powołany.

Żądanie kary dla zdrajców

Tymczasem w więzieniach siedzą liczni kandydaci do ukarania. Wielu krzywd doznano od nich w czasie rządów zwanych targowicko-grodzieńskimi (od Targowicy, gdzie zawiązało się prorosyjskie sprzysiężenie przeciw reformom, i Grodna, gdzie obradował Sejm, który akceptował rozbiory). Problem w tym, że ich osądzenie nazbyt się odwleka.

Pod presją wzburzonego ludu 9 maja powieszono wprawdzie publicznie czterech prominentnych targowiczan – po procesie, w którym z konieczności stosowano doraźną procedurę. Wkrótce zawisł też znany konfident Wacław Rogoziński. Jędrzej Kitowicz, historyk i świadek epoki, pisze, że wysługiwał się on „ministrom rosyjskim bieganiem po kafenhauzach, bilardach, domach publicznych i kompaniach, w których podsłuchiwał, co kto gadał naprzeciw Moskwie, a podług instynktu szalbierskiej duszy swojej oskarżał przed tymiż ministrami, za promocją których zrobiono [go] intendentem nad piekarzami, rzeźnikami i rybakami, których zdzierał kozubalcami [wymuszonymi łapówkami]".

Jednak egzekucje te nie przyniosły uspokojenia. W dodatku kilku sędziów podało się do dymisji – w proteście przeciw doraźnej procedurze, ograniczającej prawo do obrony. Gdy zaś wreszcie ustanowiono Najwyższy Sąd Kryminalny, zawężono jego kompetencje tylko do przestępstw popełnionych przeciw insurekcji – od dnia jej ogłoszenia.

Widmo terroru

Opieszałość w wymierzaniu sprawiedliwości targowicko-grodzieńskim zdrajcom sprawia, że w kręgach mających wpływ na powstańcze rządy coraz bardziej aktywni są radykałowie. Wcześniej większość mieli tu działacze o poglądach umiarkowanych.

Zamiary radykałów ocenia się jako chęć zaprowadzenia terroru na wzór Francji. Władze rewolucyjne ścięły tam już króla Ludwika XVI i tysiące osób identyfikowanych z *ancien régimem*. Pod ostrze gilotyny poprowadzono królewską żonę Marię Antoninę. Tamtejsze trybunały rewolucyjne wydają wyroki nawet bez przesłuchiwania oskarżonych i świadków. Oskarżyciel publiczny Fouquier de Tinville chełpi się: „Głowy spadają jak dachówki". W końcu ofiarami stają się też rewolucjoniści z innych frakcji, którym zarzuca się zdradę.

W Polsce o jakobinizm posądzani są członkowie powstałego w końcu kwietnia 1794 r. stowarzyszenia, którego intencje tak obwieszcza „Gazeta Wolna Warszawska": „Już w tej tu stolicy wielu dobrze myślących obywatelów przyjaciół Powstania Narodowego w tym jedynie celu udzielają sobie wzajemnie światła, aby rząd i zwierzchność poczciwym zdaniem, dobrą radą i zbawiennymi projektami zasilać". Statut stowarzyszenia (nie ma ono konkretnej nazwy) podaje, że jego członkowie to „obywatele ofiarujący pomoc i posługę magistraturom narodowym w celu dobra Ojczyzny".

Polscy jakobini

W tym obywatelskim gronie wybijają się dwa nazwiska: Ignacy Potocki i Hugo Kołłątaj (stąd członkowie stowarzyszenia zwani są „sektą hugonistów").

W niedawnej przeszłości obaj angażowali się na rzecz reformy Rzeczpospolitej. Dziś różni ich nastawienie co do charakteru dalszych zmian. Potocki jest zwolennikiem przemian ewolucyjnych w ramach konstytucyjnego monarchizmu. „Poczciwiec do ojczyzny przywiązany, nie był [to] człowiek do rewolucji" – ocenia go jeden z powstańczych działaczy.

O poglądach Kołłątaja badacz jego politycznej aktywności Bogusław Leśnodorski pisze, że sprawiały kłopot w rozpoznaniu. Ogólnie wiadome jest, że nie chce on wznowienia ustroju z Konstytucji 3 maja. Optuje za powołaniem Konstytuanty, która ułoży nowe zasady polityczne i społeczne (zapowiadał ją akt insurekcyjny). Zwleka więc, czym drażni radykałów. ↦

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Wiele wydarzeń z okresu rozbiorów możemy dziś wyobrazić sobie dzięki Janowi Piotrowi Norblinowi: francuski malarz przebywał tu w latach 1774-96 i zwany jest „reportażystą" ówczesnej Warszawy. Na szkicu: walki z Rosjanami podczas insurekcji kościuszkowskiej na ulicy Miodowej w kwietniu 1794 r.

↦ Kołłątaj popiera dyktatorską władzę Kościuszki, mającą chronić insurekcję także przed groźbą rozwiązań, które doprowadzą do rozlewu bratniej krwi.

Na podstawie późniejszych pism Kołłątaja historycy sądzą, że osłaniał on wtedy reformatorskie plany przed oskarżeniem o jakobinizm. Stąd też nie chciał, by inicjatywę w jego środowisku przejęły temperamenty radykalne. Charakter powstałego z jego inicjatywy klubu przedstawiano jako stowarzyszenie „przyjaciół Powstania Narodowego". Mianem Klubu Polskich Jakobinów ochrzcili je przeciwnicy – i nazwa ta się utrwaliła.

„Pójdź jeno do Paryża"

Słowa odgrywają tutaj dużą rolę. Pejoratywne znaczenie nadano jakobinizmowi na ziemiach polsko-litewskich już w okresie Sejmu Wielkiego (1788-92).

Pełna nazwa pierwowzoru – francuskiego klubu, założonego w 1789 r. w klasztorze św. Jakuba – brzmi: Towarzystwo Jakobinów – Przyjaciół Wolności i Równości. To właśnie programowa równość – już nie wyłącznie szlachecka, lecz nowa: obywatelska, cywilna, religijna i demokratyczna – stanowi główny powód oskarżeń.

Gromi jakobinizm Stanisław Szczęsny Potocki, znany targowiczanin. Wyzyskują go propagandowo Rosja i Prusy, by uzasadnić zbrojną interwencję i drugi rozbiór w 1792 r. „Pójdź jeno dziś do Paryża – straszy franciszkanin Karol Surowiecki – a wymów chociaż półsłówek przeciw wolności lub równości, zaraz w te tropy każe ci inkwizycja jakubińska albo łeb uciąć, albo na laternę powiesić".

Tymczasem, jak pisze historyk Leśnodorski, francuski klub „był umiarkowany w swym programie społecznym, po prostu drobnomieszczański, natomiast krańcowy i radykalny był w metodach działania, które składały się razem na usystematyzowany terror".

Z lęku o targowiczan

Powstanie „sekty hugonistów" wywołuje kontrakcję króla Stanisława Augusta, a wraz z nim zamkowej koterii i zaangażowanych w insurekcję osób o nastawieniu zachowawczym.

Alarmują oni, jakoby klub Kołłątaja nacechowany był żądnym krwi jakobinizmem. Z lęku o samych siebie domagają się jego zamknięcia. Kościuszko odpowiada jednak na piśmie, że dążeniem jego jest, „aby lud warszawski utrzymywany był w tymże samym duchu, który go poprowadził do zniesienia z siebie jarzma niewoli (...) i aby ich czułość i żal przeciw zdrajcom Ojczyzny dla próżnych formalności tępione nie były".

Dodaje też: „Klubów nie chwalę, bo te dają sposób naradzania się i wpływania do rządu jednym obywatelom z krzywdą drugich; ale te pospolicie tworzyć się zwykły wtenczas, kiedy lud od rządu nie jest szanowany, kiedy go ziębi zbytnie rządu umiarkowanie i opóźnienie sprawiedliwości na złych".

Radykałowie faktycznie chcą, aby – obok niezwłocznych reform – zaspokojone zostało również elementarne poczucie sprawiedliwości. 22 czerwca „hugonista" Tomasz Maruszewski ostrzega w memoriale Radę Najwyższą Narodową: „Naród wam szczęście i nieszczęście swe przypisywać będzie. Zgubicie go, jeżeli dłużej w tym samym duchu (...) postępować będziecie. Postępki wasze mdłe i rozwlekłe, nigdy ludziom wolnym, a tym bardziej ludziom w rewolucji będącym nie przyzwoite".

Sześć dni później zrewoltowany lud Warszawy wedrze się do więzień.

Sprawcy

Kim jest ten lud? Ochocki tak opisuje swe uliczne obserwacje: „Gawiedź zbita niby w jakieś szeregi pod chorągwiami swych cechów, uzbrojona w oręż wszelkiego rodzaju, w różnobarwnych, świątecznych i łatanych ubiorach, z piórami kapłoniemi, gęsiemi, kurzemi, kaczemi, z kilami końskich włosów na czapkach, dla dodania sobie miny i postawy marsowej. (...) Tłuszcza po większej części pijana".

Poeta Franciszek Karpiński notuje w pamiętniku, że nie był to „zbiór dobrze myślących i rozumnych ludzi, ale burzących bardziej i śmiałych, którzy w zamieszkach tylko znaczyć albo zyskiwać mogą i nie było bezpiecznie także zbliżać się dla przysłuchania ich radom, tym bardziej otwierać im zdanie swoje".

Leśnodorski na podstawie dokumentów podaje, że „byli to przede wszystkim rzemieślnicy, (...) zwłaszcza posiadacze mniejszych warsztatów, drobni kupcy, przekupnie, także kanceliści i drobni urzędnicy, niektórzy wojskowi, wreszcie czeladnicy, wyrobnicy, różnoraka biedota".

W sobotę 28 czerwca lud ten wywleka aresztantów z więzień i prowadzi ich pod szubienice. Emocje potęgują wieści o przegranych bitwach z Rosjanami pod Szczekocinami i Chełmnem, a zwłaszcza o oddaniu Krakowa bez walki Prusakom. Krążą pogłoski o zdradzie.

Nastroje już od poprzedniego dnia podburzają radykałowie, m.in. Kazimierz Konopka, sekretarz Kołłątaja. Popularna piosenka wzywa: „Powieśmy te dumne pany / Jeśli nam naród kochany".

Sądna sobota

Na szubienicach giną: Karol Boscamp-Lasopolski (szambelan królewski i płatny agent rosyjskich ambasadorów), Marceli Piętka (policyjny donosiciel), Mateusz Roguski (intendent policji i rosyjski szpieg), Stefan Grabowski (pasierb królewskiej faworyty i szambelan). Ten ostatni, jak rela-

cjonuje Kitowicz, „śmiercią swoją zawziętość pospólstwa przeciw królowi ukontentował”.

Kitowicz pisze też o adwokacie Michale Wulfersie, podejrzanym o potajemne kontakty z uwięzionymi targowiczanami i wykradzenie kompromitujących króla dokumentów (na początku insurekcji znaleziono je w zajętej rosyjskiej ambasadzie). Wulfersa pospólstwo „z sznurków między sobą wyszukanych stryczek ukręciwszy, na szubienicy źle wkopanej, chwiejącej się, dlatego pikami i szablami podpieranej, (...) obwiesiło”.

Instygator (tj. oskarżyciel publiczny) sądów kryminalnych Józef Majewski protestuje przeciw samosądom. Zaatakowany przez tłum, nie chce wydać spisów więźniów, które ma przy sobie. On też staje się ofiarą.

Wieszania odbywają się naraz w różnych miejscach. Tłumne pochody prowadzą skazańców ulicami wśród szyderstw i triumfalnych okrzyków. Konował Tomasz Stawicki, który powiesił Majewskiego, wali w bęben i śpiewa: „Dalej, wiara! dalej! dalej!”.

Burza kończy rozruchy

Biskupowi Wojciechowi Skarszewskiemu udaje się przekupić oprawcę dwuzłotówką. Ten woła do innych: „Ho! temu dajmy pokój, bo to dobry pan!”. I komenderuje, wskazując na biskupa Ignacego Massalskiego: „Ale tego szelmę prowadźmy, co ludziom swoim służącym każe dawać po sto rózg”.

Massalski jest lżony i bity. Wieszają go pastuch i dwaj murarze. Brakuje drabiny i sznura. Użyte zostają końskie lejce, a za drabinę służą piki. Wspina się po nich pod górną belkę, aby zawiązać na niej węzeł, jeden z murarzy.

Marszałek wielki koronny Fryderyk Moszyński szarpie się pod szubienicą. Nie daje sobie założyć stryczka. W ostatniej chwili ratuje go od śmierci prezydent miasta Ignacy Wyssogota Zakrzewski, mający w Warszawie duży autorytet.

Przy wieszaniu księcia Antoniego Czetwertyńskiego trzej oprawcy kłócą się o podział jego odzieży. Książę całuje ich po rękach, błaga o litość. Egzekucja się przedłuża, postronek jest za krótki. Wreszcie wieszają księcia na furmańskim biczu. Po czym okazuje się, że powiesili nie tego, którego chcieli. Miał to być hrabia Tomatis, znany szuler i sutener. Tłum mimo to się raduje.

W mieście dochodzi do rabunków. Szaleńcze rozruchy przerywa dopiero nagła burza i towarzysząca jej ulewa.

Idealizm Kościuszki

Historyk Jerzy Łojek przytacza pewne zdarzenie.

W roku 1793 Kościuszkę, który przebywał wtedy w Lipsku i tam przygotowywał insurekcję, odwiedziło dwóch młodzieńców. Słuchając ich pełnych nienawiści słownych ataków na targowiczan, Kościuszko skarcił ich, by się miarkowali. Miał powiedzieć: „Wada to nasza, iż jesteśmy tyle niepohamowani w przedwczesnych pochwałach, ile nieubłagani w namiętnym potępieniu. (...) Krzyczą wszyscy: interes i duma połączyły i skojarzyły [targowiczan] przeciw Rzeczypospolitej (...). Wreszcie tak tym sprawcom rokoszu Targowickiego, jak i uwiedzionym przez nich ofiarom, naród złorzeczy i rzuca na nich przekleństwa. To dzieli nas na dwa obozy. Nam trzeba nawet względem zdrajców iść śladami Chrystusa, może to ich na drogę cnoty zwróci. Obłąkani, a działający w dobrej wierze, są godnymi litości, a nie wzgardy. Możemy się różnić w opiniach, a wzajemnie się szanować”.

Ten idealizm Kościuszki, który wyśnił sobie, że w walce o wolność zjednoczy się zgodnie cały naród, na warszawskich ulicach dramatycznie zderzył się z rzeczywistością.

Po rozruchach z 28 czerwca na jego rozkaz osądzono i powieszono najbardziej aktywnych sprawców samosądów. Jerzy Łojek ocenia ten krok Kościuszki krytycznie: „Właśnie wówczas – pisze – rewolucja (...) zboczyła z toru radykalizmu patriotycznego w stronę chronienia kolaborantów i zdrajców przed gniewem ludu”. Historyk ocenia to jako „hańbę całej Insurekcji”.

Czy słusznie?

© PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

POŻEGNANIE

19 czerwca 2024 roku w wieku 92 lat zmarła

Ś.† P.

Halina Bortnowska-Dąbrowska

filozofka, teolożka, publicystka, działaczka społeczna

Studiowała m.in. na KUL-u, gdzie była uczennicą bp. Karola Wojtyły, i – jako jedna z pierwszych kobiet – na wydziale teologicznym w Leuven.
W latach 1961–1983 redaktorka miesięcznika „Znak”, korespondentka z III sesji Vaticanum II, zaangażowana w odnowę soborową w Kościele w Polsce oraz w ruch ekumeniczny (m.in. jako konsultorka watykańskiego Sekretariatu ds. Jedności Chrześcijan i uczestniczka prac Światowej Rady Kościołów) i dialog międzyreligijny.

Współtwórczyni polskiego ruchu hospicyjnego, doradczyni strajkujących robotników w Nowej Hucie, zatrzymana podczas stanu wojennego, współzałożycielka Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, a w latach 2007–2012 przewodnicząca jej rady. Zaangażowana m.in. w dzieło pojednania polsko-niemieckiego; współzałożycielka Stowarzyszenia Przeciw Antysemityzmowi i Ksenofobii „Otwarta Rzeczpospolita”.

Redaktorka i autorka ważnych książek (m.in. „Sens choroby, sens śmierci, sens życia”), publicystka podejmująca najtrudniejsze etycznie tematy, tłumaczka z angielskiego, francuskiego i niderlandzkiego, wychowawczyni i mentorka wielu polskich reporterów, dziennikarzy i dziennikarek uczestniczących w organizowanych przez nią warsztatach.

Uhonorowana m.in. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz odznaką Za Zasługi dla Ochrony Praw Człowieka.

Jesteśmy wdzięczni za Jej przyjaźń i obecność, odwagę w myśleniu i działaniu, za wielkie świadectwo wiary, która ma sens tylko wtedy, gdy podnosi drugiego człowieka.

Rodzinie i Bliskim składamy serdeczne wyrazy współczucia.

Przyjaciele ze Społecznego Instytutu Wydawniczego Znak

NAUKA

O CZYM TRĄBIĄ SŁONIE

DANIELA HEDWIG, BIOAKUSTYCZKA:

Gdy tylko słonica usłyszy głos swojej siostry, odpowiada dudnieniem i obie zaczynają biec w swoim kierunku. Potem przytulają się po słoniemu – ocierają się o siebie, dotykają się i obwąchują trąbami.

MARIA HAWRANEK: Do lat 80. sądziliśmy, że słonie do komunikacji używają jedynie trąb. Wtedy Katy Payne odkryła, że porozumiewają się również przy pomocy niesłyszalnych dla nas infradźwięków. Później razem z innymi badaczami założyła Elephant Listening Project, któremu dzisiaj Pani szefuje. O jakim repertuarze dźwiękowym wśród słoni mówimy?

DANIELA HEDWIG: To dość szeroki repertuar dźwięków słyszalnych i niesłyszalnych dla ludzi. Najsłynniejsze jest oczywiście trąbienie, które słonie wydają, kiedy są podekscytowane lub zaalarmowane. Różnice w tych zawołaniach uzależnione są od kontekstu środowiska.

Kolejna szeroka klasa dźwięków to ryki – te dźwięki słonie wydają ustami. To bardzo głośne zawołania. Stosują je często, kiedy ze sobą rywalizują o dostęp do zasobów, gdy chcą zakomunikować, że się poddają i oddalają, by uniknąć ataku.

Rodzina afrykańskich słoni w Namibii. Ta populacja wywodząca się ze słoni sawannowych dostosowała się do życia w bardziej pustynnym środowisku.

JOHAN SWANEPOEL / ALAMY / B&EW

Jednak w moim odczuciu najciekawsza klasa zawołań to wokalizacje dudniące (ang. *rumble vocalizations*). To one zawierają komponenty niesłyszalne dla nas – słonie wokalizują na tak niskiej częstotliwości, że ludzkie ucho nie jest w stanie tego wyłapać. W dudnieniach jest zakodowanych sporo informacji – o wieku i płci wołających, a także o ich stanie emocjonalnym. To kanał przekazywania wiadomości, które są istotne dla koordynacji interakcji społecznych. I klej, który utrzymuje relacje społeczne słoni przez długi czas.

A słonie tworzą przecież złożone struktury społeczne.

Tworzą społeczności, których rozmiar i skład zmienia się w miarę, jak przemieszczają się w środowisku. Czasami spokrewnione osobniki nie mogą zostać razem, bo nie znalazłyby dla siebie wystarczającej ilości pożywienia, więc grupy muszą się rozdzielić. Ale później chcą do siebie wrócić. By móc się odnaleźć, używają dudnienia, które niesie się daleko – co jest typowe dla dźwięków o niskiej częstotliwości.

Elephant Listening Project działa w różnych częściach środkowej Afryki. Co Was interesuje?

Skupiamy na podsłuchiwaniu słoni leśnych w celu ich ochrony. Umieszczamy rejestratory dźwięku w różnych miejscach lasu deszczowego. Urządzenia wyglądają jak czarne skrzynki. Mikrofon jest schowany w środku, by ciekawskie małpy go nie urwały, a pojemnik jest odporny na termity i inne owady, które mogłyby go spenetrować. Zostawiamy je na długi czas i potem zbieramy karty SD z nagraniami dźwięków. Później używamy automatycznych algorytmów, które wykrywają dźwięki słoni, szczególnie dość często wydawane dudnienie.

Nagrania pomagają nam ustalić obecność słoni, nawet jeśli ich populacja w danym miejscu jest względnie mała. To najlepsza metoda monitorowania słoni leśnych, które inaczej trudno jest namierzyć. Podchodzenie do nich w gęstym lesie deszczowym jest niebezpieczne, widoczność jest słaba, no i słonie nie lubią takich sytuacji. Wcześniej, by je monitorować, stosowano spacery ze zbieraniem próbek odchodów w określonych obszarach, wyrysowanych na mapie lasu. Na tej podstawie szacowano rozmiar populacji. Ale to wymaga ogromnego wysiłku. Akustyczne metody pozwalają na o wiele bardziej szczegółowe i częstsze obserwacje na naprawdę ogromnym obszarze. Nasz flagowy projekt monitorowania akustycznego ma miejsce w Parku Narodowym Nouabalé-Ndoki w północnej części Republiki Konga. Współpracujemy przy nim z Wildlife Conservation Society. Nasłuchiwanie słoni pomaga walczyć z kłusownictwem.

↦

↦ **W jaki sposób?**

Trenujemy lokalnych współpracowników, by używali danych z nasłuchów do monitorowania nielegalnego polowania z użyciem broni. Wspaniałe jest to, że nagrywasz cały pejzaż dźwiękowy, wszystko, co się wydarza – również wystrzały. Dzięki temu można dokładnie oszacować skalę kłusownictwa z użyciem broni – i dostosować do niej patrole antykłusownicze.

Prowadzicie też badania w rezerwacie Dzanga Bai w Republice Środkowoafrykańskiej.

Nasza praca w tym miejscu polega na czymś trochę innym. Prowadzimy ten projekt we współpracy z World Wild Fund for Nature (WWF). Tutaj podglądamy słonie bezpośrednio. Na skraju polany, na którą przychodzą, mamy platformę obserwacyjną. Pracujemy na bazie danych, która zaczęła powstawać prawie 30 lat temu. Mamy bardzo szczegółowe informacje o historii życia i relacji tysięcy indywidualnie rozpoznanych osobników. Mają swoje imiona, możemy je zidentyfikować, obserwować ich system społeczny, hierarchię, miejsca, jakie w niej zajmują i jak to się zmienia w czasie. Ta polana to absolutnie wyjątkowe okno na zachowania społeczne słoni leśnych.

To naturalna polana w środku dżungli?

Tak. Nie wiemy, jak powstała, ale pozostała niezarośnięta również dzięki regularnej obecności słoni. Przychodzą tutaj, by napić się bogatej w minerały wody, która płynie pod powierzchnią ziemi. Na polanie widać niewielki strumień płynący na środku. W okolicy słonie kopią sobie małe dołki i potem wtykają w nie trąby, by dostać się do podziemnych strumieni. Dlatego wszędzie na polanie są małe dziurki. Spędzają tu długie godziny, a czasem całe dnie – na noc wracają do lasu, a potem znów na polanę, gdzie piją wodę i się socjalizują.

Słonie leśne mają mniej złożony system społeczny od słoni sawannowych. Leśne tworzą znacznie mniejsze stada – grupa to tylko matka z zależnymi od siebie potomkami. Często nie widzą swoich sióstr i babć, które niezależnie buszują w lesie przez większość czasu. I właśnie na polanie mogą się spotkać. Młode uczą się tutaj ważnych zachowań. Sprawdzają, na co mogą sobie pozwolić z różnymi przedstawicielami ich gatunku – np. jak blisko dużego samca można podejść i nie zostać przegonionym.

Obserwacje na polanie pomagają też pewnie odkodować informacje, jakie słonie przekazują sobie poprzez swoje wokalizacje?

Tak, tutaj próbujemy odcyfrować język leśnych słoni. To prawdziwe wyzwanie. Wyobraź sobie, że widzisz przed sobą sto słoni i one wszystkie ze sobą rozmawiają, a ty nie możesz w ogóle usłyszeć znacznej części konwersacji. A ponieważ odbywa się na niskiej częstotliwości, to nawet te komunikaty, które potrafisz usłyszeć, są dla ciebie trudne do zlokalizowania. Aby odcyfrować ich znaczenie, musimy dopasować strukturę akustyczną sygnału do kontekstu – jednak ten często trudno zrozumieć.

Przygotowanie wystarczająco dużego zestawu danych, który pozwalałby wyciągnąć jakieś wnioski, zajmuje bardzo dużo czasu. Ale pracujemy nad tym. Prowadzimy też badania porównawcze dotyczące wokalizacji między słoniami sawannowymi i leśnymi. Dudnienia u obu gatunków wydają się bardzo podobne. Zauważyliśmy, że z wiekiem obniżają się i wydłużają. Młode słoniki dudnią bardzo krótko i dość wysoko, słychać to szczególnie często, gdy chcą dostać się do piersi mamy, a ta akurat gdzieś wędruje. Uroczy dźwięk. Zwykle mamy są tolerancyjne i zatrzymują się, kiedy młode tego potrzebuje.

Długie i głębokie dudnienie to znak, że dorosłe samice rozmawiają.

A samce?

Odłączają się od stada i spędzają większość życia w samotności. Wiemy, że sawannowe samce tworzą męskie stada, nie wiemy jednak, czy jest to również przypadek leśnych. Wydaje się jednak, że nie, bo zwykle na polanie samce pojawiają się same. Prowadzą samotnicze życie, więc nie potrzebują dudnienia – to zawołania społeczne, potrzebne samicom. Słonie tworzą matriarchalne społeczności, zorientowane na samice.

Widziałam nagranie z polany Dzanga Bai, na którym słonie przechodzą obok zmarłego noworodka. Wygląda to jak procesja żałobna. Wydają się bardzo smutne.

Gdybyśmy chciały uniknąć wszelkich kontrowersji, usunęłybyśmy słowo „emocje" z tej rozmowy. A jednak w dziedzinie obserwacji zachowania zwierząt bardzo już się oddaliliśmy od twierdzenia „zwierzęta nie mają emocji". Choć dla porządku nazywamy je „stanami emocjonalnymi" lub „stanami pobudzenia".

Nie wiemy, czy słonie doświadczają żałoby w taki sposób jak my. Sądzę, że główna różnica polega na tym, iż my doświadczamy uczuć przez pryzmat języka. Zwierzęta pewnie tego nie robią. Jest jednak jasne, że odczuwają pobudzenie w postaci stresu. Od dekad wiemy, że u wielu gatunków ssaków akustyczna struktura ich wokalizacji zmienia się zależnie od ich stanu pobudzenia. Dotyczy to również ludzi. Jeśli jesteś zdenerwowana i czujesz, że musisz się podporządkować, twój głos automatycznie wydobywa się na wyższym poziomie. Zaczyna drżeć. To samo widać wśród innych ssaków, również u słoni.

W jakiej sytuacji udało się to zaobserwować?

Na polanie stresująca sytuacja to np. separacja. Mamy długo piją mineralną wodę z dziur, młode się nudzą, więc zaczynają wędrować. Czasem nagle orientują się, że znalazły się w środku obcej grupy słoni i nie wiedzą, którędy do mamy. Zaczynają więc dudnić, a to dudnienie jest długie, roztrzęsione. Często przechodzi w ryk. To jasny sygnał stresu.

Jest jakiś inny ewidentny stan emocjonalny, którego słonie doświadczają?

Nie chcę, by pani napisała, że mówię: „słonie są szczęśliwe". Ale jest kontekst, w którym to jasne, że doświadczają pozytywnego pobudzenia. To moment, gdy grupy rodzinne spotykają się na polanie. Wspaniale jest na to patrzeć. Często słonice nie wiedzą, że gdzieś na polanie jest jakaś ich siostra, ale gdy tylko usłyszą jej głos, odpowiadają dudnieniem i obie słonice zaczynają biec w swoim kierunku. I przytulają się po „słoniemu" – ocierają się o siebie, dotykają się i obwąchują swoimi trąbami. Muszą być bardzo podekscytowane ponownym spotkaniem.

To prawda, że dudnienie może być słyszalne nawet do pięciu kilometrów?

W idealnych warunkach, gdy pojawia się w lesie mało dźwięków tła. Prawdopodobnie zwykle jest to jednak dystans poniżej pięciu kilometrów. Mówię tutaj tylko o tzw. częstotliwości fundamentalnej. Trudno to wytłumaczyć bez obrazu, ale jeśli spojrzałaby pani na spektrogram dudnienia, zobaczyłaby pani na takim wykresie wiele różnych linii.

Jest fundamentalna częstotliwość, a nad nią inne linie harmoniczne, o trochę wyższej częstotliwości. Fundamentalna częstotliwość to dźwięk produkowany przez wibracje strun głosowych – pokazuje, jak często te struny wibrowały, by wydać dany dźwięk. Inne dźwięki pojawiają się w gardle i ustach. Kiedy cała ta struktura akustyczna wędruje przez środowisko, te wyższe linie szybciej się wyciszają. To w nich najprawdopodobniej jest zakodowana informacja o indywidualności, stanie emocjonalnym i kontekście wydania dźwięku. Fundamentalna częstotliwość, podróżująca daleko, prawdopodobnie zawiera podstawową informację: jest słoń w okolicy. Może jeszcze czy to samiec, czy młode, czy samica. Fascynuje mnie, jak działa długodystansowa komunikacja, chciałabym się dowiedzieć, ile informacji i jakie słonie są w stanie sobie rzeczywiście przekazać.

Gdybyśmy miały podsumować funkcje tych komunikatów, jakie udało się rozszyfrować, byłyby to: zawołania mam, sygnały stresowe, powitanie...

Separacja, pozostawanie w kontakcie, rywalizacja... W Dzanga Bai często widzimy, jak słonie rywalizują o dziury w ziemi. Kiedy to robią, wydają z siebie kombinacje zawołań i dudnień z rykami, a sposób komunikowania jest zależny od kontekstu i wieku. Podobnie złożone komunikaty pojawiają się w sytuacji zagubienia młodych. Wówczas prawdopodobnie dudnienie informuje o tym, kto woła, a ryk sygnalizuje stres, jakiego wołający doświadcza. Mama wie, że jej młode się zgubiło. Te kombinacje komunikatów mnie fascynują, bo przypominają składnię w języku ludzkim – to, jak słowa układają się w zdania.

Pojawiła się zresztą ostatnio bardzo ciekawa publikacja, w której zespół Michaela A. Pardo wykazał, że słonie sawannowe używają dudnienia, by zwracać się do konkretnych osobników, którym odpowiada specyficzny sygnał. Odbiorcy tych sygnałów potrafią na nie reagować. Wynika z tego, że słonie nadają sobie imiona i używają ich w komunikacji! Nie wiemy jednak jeszcze niczego na temat tego, jak te imiona powstają i w jaki sposób są kodowane w całym sygnale.

ARCHIWUM PRYWATNE

DANIELA HEDWIG jest biolożką związaną z Uniwersytetem Cornella, badaczką komunikacji słoni i działaczką na rzecz ochrony przyrody w Afryce Centralnej. Od 2021 r. szefowa Elephant Listening Project.

Wspomniała Pani, że na polanie trudno zlokalizować źródło dźwięku – konkretnego słonia. Miał to ułatwić jeden z Waszych projektów. Nie zadziałał?

Niestety. Ustawiliśmy kilka odbiorników na polanie, tak by przy ich pomocy móc precyzyjnie lokalizować głosy. Nie zadziałało to jednak ze względów technicznych. Aby takie sieci akustyczne były skuteczne, rejestratory muszą być idealnie zsynchronizowane w czasie. A każde urządzenie, również zegarek, który mamy na ręce, po kilku tygodniach zaczyna pokazywać trochę inny czas i trzeba ponownie go nastawiać. Idealną koordynację można osiągnąć przez połączenie kablami, ale w dżungli jest to niemożliwe. Zgrywanie danych retrospektywnie nie pozwalało na synchronizację. Teraz testujemy opcję z GPS-em.

Jest Pani w stanie odróżnić niektóre osobniki po głosie?

Był taki jeden słoń, nazywaliśmy go „chrypliwcem". Prawdopodobnie miał uszkodzone lub inaczej wykształcone struny głosowe, więc dźwięk nie wydobywał się z nich prawidłowo. Ale niestety nie potrafię odróżnić pozostałych. Są jednak w tej materii bardziej doświadczeni ludzie, którzy z pewnością to potrafią. Np. Joyce Poole, która od 50 lat bada i słucha słoni afrykańskich i wie wszystko o ich zawołaniach.

Słonie leśne i sawannowe mają swoje dialekty?

Jeszcze nie wiemy. Zestaw danych, który mogłam zebrać w ciągu roku spędzonego na polanie, to jedyny zestaw danych o wokalizacji, jaki mamy dla leśnych słoni.

Ale wspomniała Pani, że na polanie w Dzanga Bai badania trwają od 30 lat.

Te dane od 1990 r. zbierała Andrea Turkalo, badaczka, którą bardziej interesowały demografia populacji, zbieranie informacji o osobnikach, no i zachowania. Nie mamy danych o wokalizacjach z tamtego czasu. Ja jako pierwsza w Dzanga Bai próbowałam dopasować to, co słonie mówią, do tego, co robią. Na początku nie szło mi najlepiej. Postanowiłam, że będę śledzić jednego osobnika przez określony czas, i nagrywałam go za każdym razem, gdy coś mówił. Ale słonie nie są aż tak gadatliwe – średnio wydają z siebie jedno dudnienie na 40 minut. Potrafią też być cicho przez 5 godzin. A potem nagle coś się dzieje i wokalizują.

Takie śledzenie nie było najlepszą formą zbierania danych, bo pojawiały się bardzo przypadkowo. Zatem co rano ustawiałam się na platformie ze sprzętem, obserwowałam i próbowałam zidentyfikować jak najwięcej słoni – kto jest z kim i gdzie. I kiedy tylko słyszałam dźwięk, zaczynałam zapisywać wszystko, co widziałam, najszybciej jak potrafiłam. W ten sposób udało mi się stworzyć pierwszą listę kontekstów, w których słonie wydają z siebie krzyki i dudnienia, a potem dopasować te zachowania do struktur akustycznych tych wokalizacji. Na polanie spędziłam około pół roku ciągiem.

Jak wyglądał ten czas?

Wtedy obóz badawczy był jeszcze bardzo podstawowy. Udało mi się zamontować mały panel solarny, by móc odpalać laptop i go ładować. Gotowałam na otwartym ogniu. Dziś są tam o wiele lepsze warunki, jest nawet internet. Wstawałam o szóstej rano, zapalałam ogień, by nastawić kawę, i przygotowywałam się na dzień. Rano na polanie nie ma zbyt wielu ↦

słoni, więc najpierw porządkowałam dane, dopóki starczało baterii. Czasem padał deszcz i w ogóle nie dawało się ich wprowadzić. A później szłam na polanę koło południa, instalowałam kamerę oraz urządzenia do nagrań dźwięków i obserwowałam słonie gdzieś do piątej po południu. Reszta dnia to przygotowanie na kolejny dzień i porządkowanie danych. O osiemnastej robi się całkowicie ciemno, szłam więc wcześnie spać. Takie badania to dużo siedzenia i patrzenia, szczególnie we wczesnych fazach, kiedy tak mało wiedzieliśmy o zachowaniach słoni.

Zauważyłam, że obserwacja i słuchanie słoni to dziedzina badaczek, nie badaczy.

To prawda! Też kiedyś na to zwróciłam uwagę. Nie wiem, czemu tak jest, być może kobiety są odrobinę bardziej empatyczne i bardziej zainteresowane tym, co dzieje się w głowach zwierząt, niż mężczyźni. W dziedzinie badań zachowania zwierząt jest wiele kobiet.

Słonie uczą się wokalizacji?

W przeciwieństwie do ludzi większość ssaków rodzi się z kompletnym zestawem wokalizacji, ich repertuar w dużej mierze jest wrodzony. Oczywiście nie wokalizują wszystkiego od samego początku. Część zawołań pojawia się, gdy dojrzewają i zaczynają pełnić różne funkcje społeczne. Ze słoniami jest podobnie. Ale niesamowite jest to, że potrafią one uczyć się wokalnie. Widać to szczególnie u słoni azjatyckich, które żyją często blisko ludzi i zaczynają imitować np. dźwięk samochodów. W przeciwieństwie do wielu innych zwierząt, słonie są w stanie wytworzyć nowe rodzaje dźwięków. Co to oznacza dla tych żyjących w dziczy? Nie jesteśmy pewni. Jedna kwestia to imiona, o których już wspomniałam, że słonie najwyraźniej jakoś je tworzą. Interesujące byłoby również porównanie różnych populacji, które żyją od siebie w dużej odległości, by sprawdzić, czy wytworzyły różne dialekty, akcenty.

Czyli na razie wygląda na to, że zawołania słoni sawannowych i leśnych są bardzo podobne?

Z pewną zaskakującą różnicą. Wśród słoni leśnych pojawia się więcej kombinacji dudnienia i ryków. Wydawałoby się, że bardziej złożony system komunikacji rozwinie się u słoni sawannowych, bo mają o wiele bardziej złożone grupy społeczne, naprawdę liczne stada. Nie rozumiemy dokładnie, jak doszło do tego, że jest odwrotnie. Możliwe, że mimo iż żyją w mniejszych grupach, słonie leśne są ze sobą o wiele bardziej związane. Słonice leśne rodzą pierwszy raz dużo później niż sawannowe, a młode dłużej zostają z mamami. Być może ta silna więź powoduje, że rozwijają bardziej złożone komunikaty. A może dzieje się tak dlatego, że żyją w środowisku o bardzo niskiej widoczności – skoro w lesie nie mogą komunikować się sygnałami wizualnymi, muszą to kompensować sygnałami wokalnymi.

JOHAN SWANEPOEL / ALAMY / B&EW

W odróżnieniu od wielu ssaków, **słonie potrafią uczyć się nowych dźwięków.** Te, które żyją w pobliżu ludzi, mogą imitować np. dźwięk samochodów. Co to dla nich oznacza? Nie wiemy.

Widziałam nagrania z kamer termowizyjnych. Nie wiedziałam, że słonie są takie aktywne nocami.

Gdy słonie żyją w miejscach, gdzie nic nie zakłóca im życia, są aktywne i w dzień, i w nocy, mniej więcej po równo. Jeśli jednak w regionie jest silna presja ze strony człowieka, stają się bardziej aktywne nocami. Boją się za dnia udawać na polany, by nie narażać się na atak ze strony kłusowników. W wielu miejscach Afryki widzimy podobne mechanizmy. W Dzanga Bai do niedawna również to obserwowaliśmy, ale ta nierównowaga ustała. To bardzo pozytywny znak. Dzięki kamerom wiemy, że nie ma już różnicy w liczbie osobników w ciągu dnia i nocy.

Populacja słonia leśnego jest ustabilizowana?

Nie. Spada niemal wszędzie, z pewnymi wyjątkami – np. w Dzanga Bai jest stabilna. Dwa powody to niszczenie ich habitatów i kłusownictwo z powodu kości słoniowej. Dopiero trzy lata temu Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody w końcu rozróżniła słonie sawannowe i leśne jako dwa odrębne gatunki, wcześniej liczono je razem i klasyfikowano jako „narażone". Teraz słonie sawannowe są uznane za zagrożone, a leśne – za krytycznie zagrożone. Wiemy, że tylko w ciągu ostatnich trzech pokoleń nastąpił spadek ich liczebności o 80 proc. To jest nieodwracalne, szokujące i nadal trwa.

Ile słoni leśnych zostało?

Przynajmniej 30 tys. Może być ich nawet 100 tys. – nie możemy tego oszacować, bo robimy ankiety tylko na terenach chronionych. Zauważyliśmy jednak, że z jakiegoś powodu większa część populacji gromadzi się na północy parku. Na innym obszarze też obserwujemy zmiany w rozłożeniu populacji. Przyczyną może być to, że z powodu zmian klimatycznych drzewa rodzą mniej owoców niż kiedyś, co prawdopodobnie zmusza słonie do wewnętrznych migracji. W Gabonie, w Parku Narodowym Lopé, przeprowadzono porównawcze badanie stanu ciał słoni sprzed 20 lat i dziś. To ewidentne, że ich kondycja uległa pogorszeniu. Są znacznie chudsze. Nie mieści mi się to w głowie. Jeśli głodują słonie, znaczy, że brak pożywienia dotyka też inne zwierzęta.

Brak mi słów.

Słonie utrzymują płuca naszej planety przy życiu. To nie jest przesada! Są ogromnie ważną częścią ekosystemu. Jedzą dużo owoców i rozprzestrzeniają ich nasiona na dużych obszarach lasów. Jeśli słoni nie ma, nie ułatwiają rozsiewania i wzrostu drzew, czyli kurczy się las – miejsce do życia dla innych stworzeń. Spada też możliwość redukcji dwutlenku węgla, co przyspiesza zmiany klimatu. Ludzie mają tendencję do myślenia: to, co dzieje się w Afryce Centralnej, mnie nie dotyczy. Ależ dotyczy! Ziemia to złożony, ściśle ze sobą połączony ekosystem. To, co wydarza się słoniom w Afryce Centralnej, ma konsekwencje dla nas, siedzących w kuchniach i biurach Europy i Ameryki Północnej.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA*	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi" od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo mają pewność, że publikacje „Tygodnika" są niezależne, redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika"

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważne są dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzymy, że świat da się naprawić.**

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KULTURA

ZAKŁÓCACZ

Stefan Hertmans zamieszkał w gmachu zbudowanym ze słów przodków, a następnie zdarł podłogi i tapety, uwolnił duchy, a więźniom pozwolił mówić.

BARTOSZ SADULSKI Z GANDAWY

Obrawszy na azymut wycieczki nieoczywisty kierunek belgijski, stanąłem przed nieprzesadnie trudną decyzją wyboru lektury wakacyjnej. Z niezawodną pomocą przyszedł mi rosnący w siłę konglomerat wydawniczy ArtRage, który niedługo wcześniej wznowił powieść „Wojna i terpentyna" flamandzkiego autora Stefana Hertmansa.

Z niejasnego dla mnie powodu nie sięgnąłem po nią w szczycie moich zainteresowań kwestią pierwszowojenną, kiedy każdy odłamek literatury okopowej brałem na siebie, a czytanie o frontowych okrucieństwach w jednakowych proporcjach niezmiennie budziło grozę i fascynowało. Niewiele mając na usprawiedliwienie przed samym sobą uznałem, że powieść w przekładzie Alicji Oczko będzie najodpowiedniejszą towarzyszką wyprawy do Ypres czy – jak wolą autochtoni – Ieper, gdzie w odbudowanych po I wojnie światowej sukiennicach, największej świeckiej budowli średniowiecznej Europy, zlokalizowano jedno z ciekawszych muzeów Wielkiej Wojny.

„Wojna i terpentyna" miała być bedekerem po północnej części frontu zachodniego, duchowym wehikułem, w którym uniosę się nad okolicą doświadczoną największymi okrucieństwami konfliktu: jego dramatyczne ramy wyznaczają w okolicy Ypres Kindermort, pierwsze użycie broni chemicznej, rzeź pod Passchendaele i załamanie ofensywy Ludendorffa w 1918 r. Sądziłem, że opowieść dziadka Hertmansa, Urbaina Martiena, którą flamandzki autor podjął trzydzieści lat po odziedziczeniu jego pamiętników, dopiero w momencie, gdy miał na to wystarczająco dużo czasu, będzie kolejną cegiełką monumentalnego gmachu literackiej historii konfliktu, belgijskim odpryskiem dzieł Remarque'a, Céline'a i Jüngera. Hertmans miał wobec mnie jednak inne plany.

Stefan Hertmans. Haga, Holandia, 13 listopada 2014 r.

BAS CZERWIŃSKI / EPA / PAP

Wojna i wojna

„Ciągle tylko ta wojna" – pisze na początku „Wojny i terpentyny" Hertmans, dając wyraz znużeniu opowieściami dziadka, zarastającymi jego dzieciństwo. Po siedemdziesiątce, kiedy rodzina miała już po dziurki w nosie historii o wojennym bohaterstwie, Urbain zaczął zapisywać swoje wspomnienia. Bezpośredniość i brutalność jego wojennego doświadczenia obwarowanego apokryficznymi datami 1914-1918, pod których zgrabnym zakresem kryje się bezmiar ludzkiego cierpienia, jest porównywalna z obscenicznie okrutnymi reminiscencjami Cendrarsa z „Odciętej ręki". Być może dlatego, że pozostają niezapośredniczone, dostajemy je prosto od uczestników okopowej rzezi – o zapisanych przy niewygodnej toaletce pamiętnikach ich autor pisze w przewrotnie promocyjnym stylu: „Tylko moje przeżycia. Moje o k r o p n o ś c i".

Autopsja Urbaina jest jednocześnie skrajnie jednostkowa i uniwersalna: dziadek Hertmansa, wspominając swoje ubogie dzieciństwo z przełomu stuleci, staje się głosem całego pokolenia urodzonego w ostatniej dekadzie XIX wieku, które w momencie, kiedy miało pewnym krokiem wejść w dorosłość, w krainę drobnych biznesów, kalkulowanych plajt i niespodzianych profitów, zostało wrzucone do maszynki produkującej żelatynę, z której po wojnie urobiono wielką kwaśną żelkę o nazwie Europa.

W dwóch zeszytach i setkach stron zapisanych coraz bardziej pochyłym pismem Hertmans dostrzegł coś więcej niż tylko świadectwo anonimowego żywota, nierozerwalnie sprzężonego z jego własnym. Zobaczył uniwersalną opowieść o próbach wydostania się z biedy, klasowych aspiracjach, mezaliansach i rodowych sekretach. Ich sceną jest miasto, którego motto brzmi „Nie pleuje!", czyli „nie poddawaj się", co musiało brzmieć złośliwie w uszach młodego Urbaina zarzynającego się w odlewni żeliwa. To miasto nie jest tłem ani uroczą scenografią, przed którą w wesołym korowodzie defilują pokolenia, raczej żywym organizmem, mającym swoje niepisane, ale doskonale rozpoznane prawidła i kodeksy. Miłośnicy narcystycznej eriboniady (tak, to od Didiera Eribona) mogliby podążyć tropem klasowym, lecz zaprowadziłby ich na manowce, w ślepą uliczkę miasta, gdzie w trakcie krótkiej przesiadki na pociąg do Ieper zacząłem czytać po raz pierwszy w życiu Hertmansa. ↦

↦ Gandawa jest bohaterem dwóch jego książek wydanych u nas przez ArtRage, bo także opublikowanego niedawno „Wejścia". I zamiast wsiąść do pociągu, zostałem tu na dłużej, żeby flaneurować śladami Hertmansowskich przodków, począwszy od okolic eklektycznego dworca Sint-Pieters, wybudowanego na wystawę światową w 1913 r. Na początku sierpnia kolejnego roku „pod wysokim zadaszeniem Dworca Południowego zgromadzono dziesiątki maszerujących chłopaków". Wiemy, w jakim kierunku wyjechali.

Miasto nie ma tak dobrej prasy jak flamandzkie koleżanki. Brugia, gdzie są domy Memlinga i Van Eycka, już zawsze będzie tym nieludzko pięknym miastem z „In Bruges" Martina McDonagha, w którym bohater grany przez Brendana Gleesona wciąż powtarza do Colina Farrella: „jak to nie zachwyca, jak zachwyca". Albo Antwerpia, belgijski diamencik, bliska krewna Amsterdamu. Nawet urzędnicza dystopia, jaką stała się Bruksela, zdaje się przyciągać bardziej niż miasto położone przy ujściu rzeki Leie do Skaldy.

Ale Hertmans nie mówi nam, że Gandawa to Wenecja północy, Paryż Flandrii i Opole dla tekstylnych krezusów, utkane z brabancką pieczołowitością z cegły i koronki. Nie tworzy nowej mitologii miasta, nie pragnie stać się jego literackim agentem, przedstawicielem na rynkach świata. Hertmans pisze jak mieszkaniec, zrośnięty z brukiem i przesiąknięty wyziewami kanałów, a nie turysta w zachwycie rozdziawiający usta, do których wlatują muchy i resztki *amandelbrood*. W swoim pozbawionym sentymentalizmu profesjonalizmie przypomina Tomasza Manna piszącego o Lubece w „Buddenbrookach", może więc zimnym wiatrom zawdzięczamy stonowane portrety tych handlowych miast.

Przestrzeń i czas

Hertmans przyszedł na świat w Gandawie 73 lat temu, ale gdyby na podobieństwo urodzonego rok później w Stambule Orhana Pamuka miał stworzyć gandawskie Muzeum Niewinności, byłoby inne, mniej kolorowe i sentymentalne.

Gandawa to od czasów młodości jego dziadka arena ostrych konfliktów: socjaliści tłuką się z policją, Kościół z heretykami, a rozemocjonowani Flamandowie ze zwolennikami monarchii, silnej Belgii i przebrzydłymi Walonami. Antagonizmy bezwiednie rzutowały na kształt miasta: „Gandawa miała świadomość historycznego zdeterminowania przez zarys planistyczny z jednej strony, a krajobrazowy romantyzm z drugiej, czemu dała wyraz w obszarach rekreacyjnych" – jeśli tak było, to dobrze przecież wiemy, że rekreacja nie była przeznaczona dla każdego.

Dziadek Urbain wspominał „wielmożne panie z wyższej sfery", które na bulwarze prowincjonalnego wówczas miasta, „gruchając latem z okien swoich lekkich powozów, patrzyły na szarych jak popiół smarkaczy, którzy przychodzili się na nie pogapić w niedzielne popołudnie". Ten klasowy dysonans jest przypisany nie tylko do czasów, ale także do przestrzeni, co doskonale wyłuskuje Hertmans, opowiadając o prominentnej relikwii rodzinnej, złotym kieszonkowym zegarku, zastawianym w czasach finansowego impasu w lombardzie o nazwie Góra Miłosierdzia na ulicy Abrahamstraat, w dzielnicy Prinsenhof, na wschód od spektakularnego zamku Gravensteen. Mógłby to być koronny eksponat gandawskiego Muzeum Niewinności.

„Dla chłopca z robotniczej dzielnicy przejście z przedmieścia do historycznego centrum stanowiło długą drogę i zakładam, że ten budynek napawał go strachem". Pewnego szarego dnia Hertmans jedzie do Gandawy tylko po to, żeby „przejść się bez celu obok tego budynku, obejrzeć się za siebie, minąć go jeszcze raz, przejść na drugą stronę cichej ulicy i wpatrywać się w piękną odrestaurowaną fasadę. Kiedyś tu leżał, kiedyś mój dziadek wniósł go do środka, tłucze mi się po głowie". Od blisko stu lat znajdują się w nim archiwa miejskie, ale budynek pyszniący się jedną z najstarszych barokowych fasad w mieście nie tylko przypomina włoskie palazzo, ale nadal dewaluuje człowieka do roli petenta.

Mimo że ulica znajduje się w najbardziej urokliwej i popularnej części miasta, niemal nikt mnie nie mija, kiedy spędzam na niej dłuższą chwilę. Dwóch policjantów rozmawia na chodniku, po czym leniwie wsiadają na rowery i odjeżdżają w kierunku drobnych przestępstw. Budowlaniec stanął w cieniu rusztowania po drugiej stronie wejścia i ćmi papieroska. Jest początek maja, ciepło. Zdaję sobie sprawę, jak głupio wyglądam, wgapiając się w elewację starego budynku, ale do licha, kiedyś tu leżał i tykał. Miasto Hertmansa na chwilę staje się moim, stojąc przed dawnym lombardem czuję, jak jego rodzinna historia zostaje uwspólniona.

„Miejsca to nie tylko wspomnienia, ale także czas" – pisze w „Wojnie i terpentynie". Hertmans zaczął inaczej patrzeć na Gandawę, odkąd są z nim wspomnienia dziadka, miasto zyskało nowy wymiar, a dawno oswojone przestrzenie, jak podłużny plac Kouter, domagały się ponownego odczytania. Od czułych narratorek zawsze wolałem skrupulatnych archiwistów, dlatego podążanie za flamandzkim pisarzem w głąb, do piwnic nie tylko rodzinnej historii, ale także miasta, jest równie ekscytujące, jak marszruta z dziadkiem po okopach Flandrii.

Tworząc kronikę własnej rodziny, autor obsadza siebie nie w roli pisarskiej diwy, wokół której kręcą się tryby historii, lecz w roli wnikliwego depozytariusza, który zabiera głos tylko wtedy, kiedy jest to absolutnie niezbędne. Każdy z osobistych przypisów wypełnia jakiś kronikarski deficyt, niuansuje rzeczy, które wydają się zbyt trywialne, lub dodaje niezbędną warstwę na portrecie rodziny i miasta. Ta umiejętność mówienia ściszonym głosem, zajęcia pozycji adekwatnej do opisywanych dramatów, zamiast mościć się w ich centrum, wyróżnia Hertmansa na tle pisarzy zajmujących się własną historią. Nawet kiedy jest zdystansowany, nie pozostaje jednak obojętny: zachowuje doskonałą równowagę między skrzętnym kronikarzem, oglądającym każdy świstek papieru ze wszystkich stron, a gawędziarzem, podsuwającym wyobraźni sceny, które być może nigdy nie miały miejsca.

Dom

Gravensteen to jeden z symboli miasta, ale i urbanistyczna anomalia: średniowieczny zamek w centrum miasta, u zbiegu rzeki i kanału, po którym pływają stłoczeni turyści niezrażeni banerem „Boat tourism – noise pollution" wiszącym niedaleko. Można odnieść wrażenie, że z przejeżdżającego obok tramwaju da się dotknąć zamkowych murów z kamienia z Tournai. Na wschód od niego rozciąga się równie stara dzielnica Patershol, po której krążyłem z zachwytem parweniusza.

Na dłuższą chwilę przysiadłem w niewielkim parku Sluizeken, pod muralem, z którego czujnym okiem spoglądał zmarły w 2014 r. piosenkarz Luc De Vos

MAURITIUS / ALAMY / B&EW

Prisenhof, dzielnica Gandawy.

„Niemal nikt mnie nie mija, kiedy spędzam tu dłuższą chwilę. Dwóch policjantów rozmawia na chodniku, po czym leniwie wsiadają na rowery i odjeżdżają w kierunku drobnych przestępstw. Budowlaniec stanął w cieniu rusztowania po drugiej stronie wejścia i ćmi papieroska. Jest początek maja, ciepło”.

z zespołu Gorki. Gdyby akurat Hertmans był w swoim dawnym gandawskim domu, mógłby mnie zobaczyć. Wątpię, czybyśmy sobie wesoło pomachali.

Na krótkim filmiku o powieści „Wejście”, wydanej po polsku już po moim powrocie, widzimy go, zaskakująco podobnego do Coetzeego i równie flegmatycznego, jak w białej koszuli i rozpiętej marynarce peroruje przed frontem domu na ulicy Drongenhof, jak spaceruje po parku, rozglądając się z nonszalancją charakteryzującą tylko największych pisarzy, oraz jak czyta przy kominku z drobnoziarnistego, beżowego marmuru w różowe plamki z Comblanchien, na którym w trakcie II wojny światowej stało popiersie Hitlera.

Sam siebie nazywa w tej powieści „zakłócaczem spokoju i przyszłym domowym tyranem”. Gdyby był Austriakiem, wszedłby może w poczet autorów kalających własne gniazdo. W jego pisaniu o własnym domu, który po dwudziestu latach okazał się także byłym domem esesmana oraz kolaboranta, chodzi jednak o coś znacznie więcej niż samo grzebanie palcem w ranie i niekończące się poszukiwania odpowiedzi na najtrudniejsze pytanie: dlaczego?

Pisać, dużo pisać

Jesienią 1979 r., w drodze do notariusza, u którego nabywał za grosze pożyczone od ojca kamienicę przy Drongenhof, Hertmans mija napis wysmarowany białymi literami na murze: „Kto pisze, ten się ostaje”. I piszą u niego wszyscy, a on niczym szykowny selekcjoner u bram modnego klubu decyduje, które świadectwa się ostaną: wiemy już, że pisali dziadek oraz profesorski syn esesmana, przy czym ten drugi w trakcie II wojny światowej cierpiał na pomroczność jasną i na działalność ojca spuścił zasłonę milczenia. Pisała żona esesmana i esesmańska kochanka, a sam esesman, który wcześniej kochał pisać zwłaszcza spisy ludności żydowskiej, w więzieniu chwycił pióro, próbując wypisać się z tego świata.

Kompulsywnie pisał też były oszust podatkowy Raymond Marie de Kremer, który jako Jean Ray, flamandzki superbohater „człowiek-książka”, stworzył w trakcie wojny powieść grozy „Malpertuis”. Jej ekranizację z 1971 r. przywołuje pod koniec „Wejścia” Hertmans jako najlepiej oddającą upadek i zaniedbanie Petershol w latach 70. (oraz upadek i zaniedbanie Orsona Wellesa), ale w polskim przekładzie powieści z 2021 r. (Jakuba Polaszczyka) jest fragment antycypujący kronikarskie wycieczki Hertmansa i jednocześnie komentujący jego metodę. Zaznaczyłem go biletem wstępu do zamku Gravensteen.

Fasada tytułowego domostwa to „sroga maska, na której próżno by szukać spokoju. To twarz skręcona dreszczem lęku i gniewu, twarz, która nie jest w mocy zasłonić trawiących ją okropności. Ludzie, którzy zasypiają w jego rozległych pokojach, wydają się na pastwę koszmarów, ci, którzy goszczą tam za dnia, muszą przywyknąć do towarzystwa okrutnych cieni skazanych na męki, żywcem obdartych ze skóry czy to zamurowanych osób”.

Hertmans zamieszkał w gmachu zbudowanym ze słów przodków, mniej i bardziej sympatycznych protagonistów, a następnie zdarł podłogi i tapety, uwolnił duchy, a więźniom pozwolił mówić.

Wyobrażam sobie, jak po skończonej robocie odczuwa ulgę, wyciera dłonią spocone czoło i idzie wzdłuż Leie nadrzeczną ulicą Graslei, samotny niczym Jan w początkowych minutach filmu „Malpertuis”. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić tę wizytówkę Gandawy opustoszałą, zapewne bez przerwy kwitnie na niej życie turystyczne i towarzyskie. Ale dla Hertmansa świat staje, a on dostojnym krokiem, charakteryzującym największych, przemierza swoją Gandawę.

© BARTOSZ SADULSKI

Stefan Hertmans, **WOJNA I TERPENTYNA**, *przełożyła Alicja Oczko, ArtRage, Warszawa 2024*

ARCHIWUM AR // FILIP PREIS / MATERIAŁY PRASOWE

„Kolejka wychodząca ze sklepu", 1976 r. Po prawej: AR50 Remiksy, „Piosenka", 2024 r.

W pozie sprzeciwu

DARIUSZ KOSIŃSKI

W naszych codziennych ruchach i gestach Akademia Ruchu odkrywała formy bezradnego pogodzenia. Dziś nie mniej potrzeba nam takich olśnień. Obchody pięćdziesięciolecia grupy zorganizowała właśnie Komuna Warszawa.

Pierwsze, co zobaczymy po wpisaniu w wyszukiwarkę frazy „Akademia Ruchu", to reklamy ośrodków zajmujących się aktywnościami służącymi utrzymaniu zdrowia, urody i dobrego nastroju. Dopiero pod nimi pojawia się artykuł o warszawskim kolektywie artystycznym założonym w 1973 r. przez grupę studentów, których zebrał wokół siebie jeden z najaktywniejszych i najskuteczniejszych poruszycieli kultury alternatywnej, Wojciech Krukowski (zmarły niestety w 2014 r.).

Działająca do początków XXI w. Akademia Ruchu stanowiła alternatywę nie tylko wobec tradycyjnego teatru, ale też wobec tendencji dominujących na scenie niezależnej, wyznaczanych przez teatry Laboratorium i Ósmego Dnia. Akademia dystansowała się mocno od kontrkulturowych utopii i rodzimych tradycji zakorzenionych w romantycznej spuściźnie. Jeśli czerpała z dokonań poprzedników, to raczej takich, którzy decydowali o znaczeniu polskiej awangardy lat 20. i 30. zeszłego wieku.

Czymś niesamowitym jest fakt, że jeden z mitycznych ośrodków działań kulturowych i społecznych stworzonych przez Akademię – „Kino/Teatr/Tęcza" – działał w latach 1989–1994 na warszawskim Żoliborzu w tym samym miejscu, w którym w 1933 r. z inspiracji i na potrzeby awangardowego Studia im. Żeromskiego, prowadzonego przez Irenę Solską, Szymon Syrkus stworzył pierwszą w Polsce przestrzeń teatralną dającą możliwość dowolnego kształtowania relacji między aktorami i publicznością. Władze Warszawy wyrzuciły Akademię z tego miejsca równie brutalnie, jak władze sanacyjne wykończyły zespół Solskiej.

Twórczość Akademii Ruchu nie mieściła się w rozpoznawalnych, oswojonych kategoriach. Teatr? – tak, ale nieliteracki, często bezsłowny, afabularny, oparty na montażu względnie autonomicznych elementów. Pantomima? Poniekąd, ale termin ten natychmiast uruchamia nieadekwatne skojarzenia ze specyficzną estetyką ruchową w Polsce rozwijaną przez Henryka Tomaszewskiego.

Codzienny ruch

Akademia pracowała nad ruchem, wytworzyła jego własny styl i metodykę, ale nie szukała ani naśladowczej czytelności ekspresji, ani piękna poruszającego się ludzkiego ciała. Można by łączyć ją z nurtami współczesnego tańca, zwłaszcza *postmodern*, gdyby nie to, że jednym z podstawowych elementów kompozycyjnych jej przedstawień był bezruch, zatrzymanie w pozie, albo ruch tak minimalny, że niemal niezauważalny.

W końcu można by mówić po prostu o sztuce performatywnej, zwłaszcza biorąc pod uwagę głośne działania w przestrzeni publicznej, gdyby nie to, że worek, jakim stała się przez dekady *performance art* (nie mówiąc już o „happeningu"), jest zdecydowanie zbyt obszerny, by pomóc zrozumieć, na czym polegała wyjątkowość dokonań Akademii.

Podstawowym materiałem kompozycji i interwencji Akademii, był – zgodnie z nazwą – ruch, ale nie sztuczny, lecz codzienny. Akademia studiowała rzeczywistość poprzez analizę ruchów i póz, które następnie syntetyzowała w klarowne, minimalistyczne kompozycje ruchowo-przestrzenno-dramatyczne.

Były one celne i krytyczne. Trafności tej drogi dowodził i zarazem wyraziście ją przedstawiał „Autobus" – akcja/przedstawienie z 1975 r., w którym grupa osób siedziała bez ruchu w niewidocznym pojeździe. Obraz nawiązywał i do codziennych doświadczeń, i do słynnego płótna Bronisława Linkego, tworząc żywą i niejednoznaczną metaforę społeczeństwa polskiego lat 70.

Analizy społecznie warunkowanego i wytwarzanego ruchu i bezruchu służyły też Akademii do interweniowania w codzienność.

Akcje takie jak „Potknięcie" (1975), „Happy day" (1976) czy – może najsłynniejsza – „Kolejka wychodząca ze sklepu" (1976), polegały na wprowadzaniu w codzienność ówczesnej Polski Ludowej działań zwykłych, ale przejętych i odwróconych. Gdy któraś z kolei osoba potykała się na ulicy o niewidoczny występ albo gdy niespodziewanie pojawiali się na niej świętujący nie wiadomo co ludzie i gdy kolejka ustawiała się nie do, ale od drzwi sklepu mięsnego, rzeczywistość na chwilę stawała dęba i ukazywała swoje nieoczywiste oblicze.

Studiowanie społecznego ruchu, diagnozowanie postaw i figur zbiorowości, służyło ostatecznie nie do tworzenia sztuki, ale do wsparcia procesu uświadamiania sobie, w jakim świecie się żyje i co na co dzień wspólnie się wytwarza.

Myśl niezależnie

Akademia Ruchu była formacją artystyczną, która konsekwentnie działała na rzecz zawieszania i znoszenia ograniczeń, a więc – poszerzania pola wolności wewnątrz specyficznego hybrydowego tworu, jakim był PRL. Także po 1989 r. jej twórczość wymierzona była (jak dziś widać, niezwykle trafnie) w hurraentuzjastycznie przyjmowaną dominację błyszczącego konsumpcjonizmu i terror ekonomii jako rzekomo jedynej sfery „twardej" realności.

Osoby tworzące grupę konsekwentnie się tym trendom przeciwstawiały, tak samo jak wcześniej przeciwstawiały się niszczeniu tkanki społecznej i ograniczaniu wolności przez system ideologicznej kontroli. O ile jednak Polska Rzeczpospolita Ludowa upadła w jakiejś mierze także w wyniku procesów rozpoznawanych i wzmacnianych przez artystów, o tyle Polska kapitalistyczna, która położyła kres istnieniu Akademii Ruchu, wciąż się umacnia.

To sprawia, że potrzebne jest poszukiwanie sposobów na zarażenie metodami pracy Akademii i jej celami twórczymi kolejnych pokoleń. Nie tylko ze względu na osadzenie się w naszych codziennych praktykach i gestach norm rządzącego nami systemu, ale też z powodu jego wejścia w nową fazę – stanu akceptowanego i pożądanego przez poddanych jego rygorom. Wobec narastającej obsesji „bezpieczeństwa ponad wszystko", analizy i interwencje wyrastające z ducha i praktyk Akademii są skutecznymi sposobami nie tyle protestu, ile tworzenia schronów niezależnego myślenia. Nie jesteśmy bowiem zwolnieni od poszukiwania narzędzi pozwalających zachować sprawczość i świadomość tego, w czym przychodzi nam dziś uczestniczyć.

Wariacje i remiksy

Narzędzia Akademii Ruchu od lat są zresztą odkrywane jako pionierskie. Połączenie społecznych sztuk stosowanych z choreografią i performansem artystycznym, przy jednoczesnym dystansowaniu się do tradycji romantycznej, charakteryzuje wszak działalność wielu osób działających w obszarze teatru, tańca i sztuk wizualnych.

Szczególną kontynuatorką Akademii stała się Komuna Warszawa. Z jej głośnym niegdyś projektem RE//MIX, kuratorowanym przez Tomasza Platę, a realizowanym w latach 2010–2013, związane są pierwsze próby bezpośredniego odnoszenia się do dorobku Akademii Ruchu przez swoiste reinscenizacje i wariacje wokół tematów i środków tworzących jej dawne przedstawienia.

Plata, już jako badacz, zredagował książkę „Akademia Ruchu. Teatr" (2015), w której osoby praktykujące i badające współczesne sztuki przedstawieniowe komentowały najgłośniejsze przedstawienia Akademii. I RE//MIX-y, i książka są aktami ponownego wprowadzenia dorobku grupy we współczesność.

Obchody pięćdziesięciolecia grupy zorganizowała w połowie czerwca 2024 r. Komunę Warszawa właśnie. Obok wystawy przypominającej dokonania Akademii, ich najważniejszym punktem była seria performatywnych remiksów wybranych przedstawień przygotowanych przez duety twórcze złożone z osób tworzących niegdyś trzon legendarnej grupy oraz tych, którzy reprezentowali ↦

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 784/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Bogusławie Słońskim, synu Kazimierza i Ireny, zmarłym w dniu 27 maja 2022 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającym w Warszawie.

Sad wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 770/23 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Wiktorze Wrześniewskim, zmarłym w dniu 30.04.2012 r. w Warszawie, ostatnio stale zamieszkującego w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

młodsze pokolenia (kuratorzy: Zofia Dworakowska, Grzegorz Laszuk, Tomasz Plata).

W odróżnieniu od RE//MIX-ów sprzed dekady, w tych nowych nie ma praktycznie elementów postawy krytycznej, ironicznego dystansowania się czy prowokacyjnej profanacji. Jak na jubileusz przystało, poszczególne pokazane w jego trakcie mikroprzedstawienia oddawały przede wszystkim pole osobom honorowanym. W efekcie większość z nich miała charakter osobistych wypowiedzi, odnoszących się do sytuacji mierzenia się z nieubłaganym upływem czasu.

W remiksie „Kartaginy" (przedstawienie z 1986 r.) świetlista smuga, zastępująca masywną pochyłą płaszczyznę będącą głównym elementem oryginału, straciła swoje konotacje polityczne i narodowe, stając się znakiem egzystencjalnego cięcia, z którym mierzy się i którym ostatecznie zostaje przepołowiony Zbigniew Olkiewicz (dramaturgię jego akcji współtworzy niepokojąca wokaliza Barbary Kingi Majewskiej).

W finale remiksu „Piosenki" (1995) Jolanta Krukowska, która stworzyła go w twórczym dialogu z Weroniką Szczawińską, rzuca na stos rozbitych kieliszków i plamę biało-czerwonych płynów brązową sukienkę, mówiąc, że właśnie w niej chce zostać spalona.

Smuga cienia wytwarza też dramatyczną potrzebę przekazywania własnych doświadczeń. Temat ten rozegrali Cezary Marczak i Dominik Więcek w remiksie „Innych tańców" (1982), wykorzystując (zgodnie z tradycją Akademii) prosty, a zarazem wieloznaczny (i mający dalekie kulturowe konotacje) gest oddania młodszemu płaszcza noszonego przez starszego. Wykonawszy go, Marczak siada i ogląda choreografię zakładania i zdejmowania zbyt dużego okrycia (przypadek czy metafora?) niemal wirtuozersko wykonywaną w zmiennym rytmie przez Więcka.

Finałem tych prób przymierzania dziedzictwa okazuje się zaskakujące i przewrotne odmłodzenie oryginału. Towarzysząca performansowi przez cały czas piosenka punkowego zespołu Białe Wulkany (wykorzystana w oryginalnym przedstawieniu), odtwarzana ze słabą jakością właściwą pirackim nagraniom na magnetofonach z lat 80., nagle odzyskuje pełną wyrazistość, pozwalającą na zrozumienie jej tekstu. Między artystami, których dzieli kilkadziesiąt lat, przebiega iskra radosnego zrozumienia, której energia udziela się też publiczności.

Oczy szeroko zamknięte

Oczywiście trudno było oczekiwać, że jubileusz przyniesie konkretną odpowiedź na pytanie o trwałość i siłę inspiracji dokonaniami i poszukiwaniami Akademii. Zdziwiło mnie jednak, że ten temat tak bardzo pozostał na uboczu, jakby w obawie, że jego podjęcie popsuje urodzinowe nastroje i wprowadzi tonację goryczy.

Być może powodem tej nieobecności było świadome ograniczanie się do pytań i skupienie raczej na ich generowaniu niż na kojących zapewnieniach o oczywistym miejscu dorobku Akademii Ruchu w polskiej kulturze. Przypuszczenie takie potwierdzałby pokazany jako pierwszy, a na mnie oddziałujący najmocniej, remiks „Autobusu" przygotowany przez Janusza Baładygę i Grzegorza Laszuka. Przez prostą operację odwrócenia reflektorów i skierowania ich na widownię, miejsce performerów siedzących nieruchomo na podwyższeniu (scenicznym) zajęliśmy my – widzowie, siedzący nieruchomo na podwyższeniu (audytoryjnym).

Zwrot ten wykonywany jest bodaj tylko po to, by zadać powtarzane wielokrotnie przez elektronicznie generowany głos, a odnoszące się do nas pytanie: „co widzą?". Pytanie proste, ale rodzące wcale nieproste, paradoksalne procesy poszukiwania odpowiedzi przez stawianie kolejnych pytań: co widzimy oślepieni silnym pulsującym światłem? Czym jest ulga, jaką czujemy, gdy drażniące światło sprawia, że zamykamy oczy? Czy będziemy mieć dość siły, by jej się przeciwstawić? Tego nie wiem. Wiem natomiast, że podstawowa lekcja przekazywana przez Akademię Ruchu jest przeciwna tej uldze, którą czujemy, gdy przestajemy widzieć.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Magazyn marzeń

PIOTR KOSIEWSKI

Artystki i artyści sięgają do wzorców, które uchodziły za martwe. Może pozwoli to na nowo opowiedzieć o surrealizmie w Polsce. Wystawa w warszawskim Muzeum Narodowym jest okazją do postawienia pytania o jego aktualność.

Tak się zaczęła epoka: poeta, pisarz i przywódca André Breton w opublikowanym w 1924 r. „Manifeście" wezwał, by zwrócić się ku wyobraźni, ku temu, co podświadome. „Surrealizm wierzy (...) we wszechpotęgę marzenia, w bezinteresowną grę myśli" – przekonywał. Skutecznie, bo szybko całe grono pisarzy, malarzy i krytyków zwróciło uwagę na sferę podświadomości, snów, ale też na to, co dotąd pomijane, banalne i prozaiczne. Na twórczość naiwną, sztukę pozaeuropejską, małomiejski kicz i... fotografię. Dostrzegli, że za tym, co zwykłe, codzienne, mogą kryć się zaskakujące, a nawet groźne treści: marzenia, lęki, pożądania i żądze.

Bardzo szybko zajęli się też twórczością użytkową, modą i reklamą. Ich projekty, ekscentryczne i przeznaczone dla wąskiego grona, wpłynęły – jak niewiele XX-wiecznych kierunków w sztuce – na stworzenie nowego smaku, mody, upodobań i oczekiwań estetycznych. Surrealizm stał się częścią kultury masowej. I, jak żaden z ważnych nurtów sztuki nowoczesnej, uległ banalizacji. Być może był mu pisany taki los. Susan Sontag porównała malarstwo nadrealistów do „słabo zaopatrzonego magazynu marzeń: tu parę dowcipnych fantazji, tam masa erotycznych snów, ówdzie kilka koszmarów zrodzonych pod wpływem lęku przestrzeni". Tylko tyle? Koniec epoki?

BARTOSZ BAJERSKI / MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE / MATERIAŁY PRASOWE

Fragment ekspozycji „Surrealizm. Inne mity"

Trzy wydarzenia

Choć idea André Bretona szybko przekroczyła granice Europy, to, jak ogłosił przed laty Tadeusz Kantor, nie było u nas surrealizmu. I nie mógł zaistnieć „ponieważ w Polsce panował katolicyzm". Co by to miało znaczyć? Surrealizm był przecież obecny w Belgii i Hiszpanii, krajach równie jak nasz katolickich. Nawet w laickiej Francji, w której ogłoszono jego powstanie, społeczeństwo w znaczącej części było do katolicyzmu przywiązane.

Twórcy wystawy „Surrealizm. Inne mity" w Muzeum Narodowym w Warszawie, wbrew zastrzeżeniom Kantora postanowili przyjrzeć się obecności surrealizmu w naszym kraju. Szukali, jak sami piszą, „tendencji surrealistycznych", tego, w jaki sposób „odczytywano" go w kraju, pomijając spory o to, czy „prawdziwy" surrealizm u nas zaistniał. Na wystawie znalazło się ponad 300 dzieł: począwszy od dwudziestolecia międzywojennego po współczesność. Ekspozycja zaś skupia się na trzech wydarzeniach, kluczowych dla recepcji nadrealizmu w Polsce.

Pierwszym było założenie w 1929 r. we Lwowie przez twórców o polskim, ukraińskim i żydowskim rodowodzie Zrzeszenia Artystów Plastyków „Artes". Otto Hahn czy Margit Reich-Sielska i Marek Włodarski poznali surrealizm w Paryżu. Jednak, jak potem wspominał ostatni z nich, „był uznawany u nas głównie jako typ poetyckiej metafory". „Artesowcy" zaproponowali własny, odrębny język artystyczny, odwołujący się do bardzo różnych nurtów awangardy, ale też do realizmu czy do sztuki popularnej, miejskiej, np. do szyldów sklepowych. Co więcej, z miejskości uczynili jeden z podstawowych tematów, co sprawia, że ich twórczość jest czymś bardzo odrębnym od większości sztuki tworzonej w Polsce w tym okresie. Do dziś jednak pozostaje ona trochę na uboczu polskiej historii sztuki – część członków grupy zginęła w Holokauście lub po wojnie pozostała we Lwowie.

Drugie spotkanie z surrealizmem miało miejsce tuż po II wojnie światowej. Wtedy to grupa polskich twórców z Tadeuszem Kantorem na czele znalazła się w Paryżu – w 1947 r. w tamtejszej Galerie Maeght ma miejsce Pierwsza Międzynarodowa Wystawa Surrealistów. Po powrocie do kraju znajdą się oni wśród organizatorów otwartej w 1948 r. w Krakowie I Wystawy Sztuki Nowoczesnej, uznawanej za najważniejsze wydarzenie artystyczne tego czasu. Dominowała na niej abstrakcja geometryczna i właśnie twórczość inspirowana surrealizmem. On też stał się jednym z kluczowych punktów odniesienia dla członków przyszłej drugiej Grupy Krakowskiej.

Jedni, jak Kazimierz Mikulski czy Jerzy Skarżyński, przez lata pozostali wierni malarstwu odwołującemu się do metaforyki, fantazji, snów. Inni, jak Tadeusz Kantor, wyciągnęli z tego doświadczenia całkiem inną lekcję. Surrealizm bardzo podkreślał znaczenie ekspresji, spontanicznego tworzenia, roli przypadku w procesie twórczym. Jednocześnie surrealiści zwracali się ku wschodnim systemom filozoficznym, tradycji ezoterycznej, okultyzmowi i mitom. I była to ważna tradycja dla Urszuli Broll i katowickiej grupy Oneiron, ale też Janiny Kraupe-Świderskiej, dziś trochę zapomnianej członkini Grupy Krakowskiej. Wreszcie, surrealiści zafascynowali się twórczością rdzennych kultur mieszkańców Ameryki Północnej, a jednocześnie docenili tzw. sztukę naiwną. Jednym z najciekawszych punktów wystawy jest twórczość Teofila Ociepki, malarza samouka, górnika i założyciela Grupy Janowskiej, skupiającej artystów nieprofesjonalnych zafascynowanych okultyzmem.

Trzecim ważnym punktem jest stworzenie w 1954 r. ruchu Phases, grupującego artystów m.in. z Europy, w tym mimo ograniczeń politycznych także z Czechosłowacji i Polski, obu Ameryk i Azji. Dziś już zapomniany (działał do 1967 r.) był unikalną inicjatywą, pozwalającą dzięki wystawom i wydawanemu pismu na międzynarodowy obieg artystyczny. Bardzo otwarty – skupieni w nim artyści odwoływali się zarówno do surrealizmu, jak i do abstrakcji oraz malarstwa materii. ↦

KRZYSZTOF WILCZYŃSKI / MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE / MATERIAŁY PRASOWE

Marek Włodarski (1903-1960), „Czarodziej przy zielonej skale", 1930 r., olej, płótno, 81x60,
Poniżej: Goshka Macuga (ur. 1967), „Madame Blavatsky", 2007, drewno, włókno szklane, ubrania, krzesła

Po prawej: Władysław Hasior (1928-1999), „Chiromantka", lata 80. XX w.; asamblaż, metal, plastik, drewno, tkanina, włóczka

BARTOSZ BAJERSKI / MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE / MATERIAŁY PRASOWE

MUZEUM TATRZAŃSKIE W ZAKOPANEM / MATERIAŁY PRASOWE

Piętna

Lata 1928, 1948, 1954 – to daty ważne w historii sztuki, ale, jak pokazują twórcy wystawy, surrealizm inspirował bardzo różnych twórców – jest wśród nich zarówno Stefan Themerson, kluczowa postać dla polskiego filmu awangardowego, jak i Władysław Hasior. Najciekawsze jest jednak pytanie o aktualność zgromadzonej na wystawie twórczości i samego surrealizmu. Czy można ją pokazać w sposób interesujący dla współczesnego odbiorcy?

Jedną z najciekawszych postaci na wystawie jest Erna Rosenstein, która tworzyła prace bajkowe, pełne humoru, ironii, a jednocześnie nieustannie mierzyła się z żydowską tożsamością, wojenną traumą i tragiczną śmiercią rodziców. W Muzeum Narodowym znalazły się jej obrazy, ale też niezwykłe obiekty, tworzone z rzeczy znalezionych, zużytych, uznanych za niepotrzebne, jak jakaś torebka czy pudełko po czekoladkach, szkiełka, kapsle, guziki, papierki. Drobiazgi, które za jej sprawą otrzymywały „życie po życiu". Zamienione w zagadkowe przedmioty-rzeźby, o tajemniczym przeznaczeniu. Swoiste przetrwalniki pamięci, w których, jak sama mówiła, jest to, co w nich ktoś zechce zobaczyć.

Jednym z najważniejszych osiągnięć surrealistów było dostrzeżenie możliwości, jakie tkwią w gotowych przedmiotach. To, że rozmaitym rzeczom użytym w innym kontekście można nadać nowe lub odmienne znaczenie. Zmieniło to istotnie sposób myślenia o procesie twórczym i w znaczniej mierze zaważyło na sztuce XX w.

Wystawa nie nawołuje do rewizji naszej historii sztuki, ale pokazuje zmiany zachodzące w ostatnim czasie – docenienie fotografii, która wreszcie staje się pełnoprawnym medium, czy wyeksponowanie twórczości Rosenstein, coraz bardziej docenianej, także poza Polską. Mierzy się, nie wprost może, z tzw. sztuką fantastyczną, będącą także dziedzictwem surrealizmu. Jej patronem stał się Zdzisław Beksiński ze swoimi obrazami pełnymi tandetnej symboliki. Tymczasem wystawa pokazuje, że ten sam Beksiński w latach 50. był jednym z najciekawszych polskich fotografów.

Stawia też pytanie o sposób postrzegania polskiej sztuki nowoczesnej, patrzenie na nią pod kątem jej przystawalności do zachodnich pierwowzorów. O to, jak pisać o pochodzących stamtąd inspiracjach, by jednocześnie dowartościować lokalną tożsamość. Wreszcie pyta o znaczenie surrealizmu dla młodych artystek i artystów.

Dla pokoleń wchodzących w dorosłość w ostatnich dekadach XX w. surrealizm był anachronizmem. Na początku obecnego stulecia pojawiła się grupa artystów, którzy nagle zaczęli się odwoływać do sztuki spod znaku André Bretona. Mówiono nawet o „neo-surrealistach". Tomasz Kowalski i Jan Jakub Ziółkowski znaleźli się zresztą na wystawie, a ich prace ciekawie korespondują z twórczością sprzed wielu dekad. Jednak dopiero w ostatnich latach nastąpił zwrot w sztuce ku temu nurtowi.

© PIOTR KOSIEWSKI

SURREALIZM. INNE MITY,
Muzeum Narodowe w Warszawie, wystawa czynna do 11 sierpnia br., kuratorka: Hanna Doroszuk.

RADIO 357

Najciekawsze tematy nowego numeru „Tygodnika" w prasówce Radia 357 – środy o 8.30. Słuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl

Za barem

ANITA PIOTROWSKA

Autobus przyjeżdża tu raz na kilka dni, pracodawca zalega z wypłatami, a w basenie można co najwyżej postawić leżaki. No i ci mężczyźni.

Po tym filmie mało kto będzie marzył o australijskich wakacjach. A już z pewnością nie kobiety i nie w spalonym słońcem interiorze, zwanym Outbackiem, często przywoływanym w tamtejszym kinie i niekoniecznie ukazywanym w dobrym świetle (patrz: „Limbo" Ivana Sena, opisywane w ubiegłym roku na tych łamach). Akcja „The Royal Hotel" dzieje się co prawda w bliżej nieokreślonej współczesności, lecz miejsce akcji dzielą lata świetlne od neonowych barów w Sydney czy klimatów z piosenek Kylie Minogue, reklamowej wizytówki kontynentu. Antywakacyjny film Kitty Green jest wycieczką w alkoholowo-testosteronowy świat przemocy, która bardziej (przynajmniej do pewnego momentu) stawia na swą wiarygodność niż atrakcyjność.

„To różnice kulturowe" – pocieszają się Hanna i Liv, kanadyjskie studentki, kiedy w ramach programu Work and Travel lądują z plecakami w obskurnym barze pośrodku niczego. Liczyły na wielkie australijskie wakacje, ale przedwcześnie wyczyszczone konto zmusiło je do przyjęcia roboty raczej mało wdzięcznej. Bo przecież obsługiwanie podpitych górników w osadzie, do której autobus przyjeżdża raz na kilka dni, a pracodawca zalega z wypłatami, trudno nazwać spełnieniem egzotycznych marzeń – nawet jeśli gdzieś po drodze mignie kangur. Wszystko tu zresztą wydaje się jakieś obce: akcent, poczucie humoru, ruch lewostronny. W basenie można co najwyżej postawić leżaki i nawet gwiazdy wyglądają inaczej. No i ci mężczyźni. Ze swoimi dowcipasami i mało wyszukanymi rozrywkami wcielają najgorsze stereotypy na temat nieokrzesanych *Aussies*. W knajpie, gdzie przez kilka tygodni dziewczyny będą nalewać piwo i cydr, panuje atmosfera niczym w męskiej szatni. Stąd podwyższona o kilka kresek temperatura filmu – to nie może się dobrze zakończyć.

Green i jej współscenarzysta Oscar Redding unikają domyślnych rozwiązań fabularnych. Pozwalają najpierw rozgościć się na tej niezbyt gościnnej ziemi, w otoczeniu pustki i szorstkich tubylców. Ów pejzaż – suchy, jałowy, bezkresny – jak zwykle w australijskim kinie, odgrywa rolę niebagatelną. Narzuca ograniczenia, brutalizuje relacje, wyraża powszechny tutaj stan umysłu. A wnętrze pubu pod absurdalną nazwą The Royal Hotel zdaje się przedłużeniem zewnętrza. Można jednak, niczym młode Brytyjki, poprzedniczki Hanny i Liv, zaakceptować panujące tu brutalne reguły i po prostu dobrze się zabawić w towarzystwie miejscowych. Zresztą druga z głównych bohaterek, grana przez Jessicę Henwick, zdecydowanie lepiej się w tym świecie odnajduje, w czym bez wątpienia pomaga jej wszechobecny alkohol. Natomiast znacznie mniej imprezowa Hanna z niepokojem przygląda się rozochoconym, wulgarnym, bezkarnym w swoich zakusach klientom i wkrótce będzie musiała chronić przed nimi nie tylko siebie.

Gra ją amerykańska aktorka Julia Garner, znana z serialu „Ozark" i tytułowej roli w „Asystentce". Czyli we wcześniejszym filmie Green, klaustrofobicznym portrecie młodej kobiety, wpadającej w tryby patriarchalnej przemocy. To właśnie wyostrzone i czujne spojrzenie Hanny przenika na wskroś „The Royal Hotel". Każe dostrzegać wszystko, co umyka już uwadze Liv: że w takim świecie szybko zaczyna się normalizować toksyczne zachowania i grać według reguł narzuconych przez męską agresję. Jakże często powraca obraz drzwi, pospiesznie zamykanych od środka i forsowanych przez kogoś. Gdy jeden z nachalnych adoratorów poskramia węża, który wkradł się do dziewczyńskiej sypialni, a następnie zostawia go Hannie na barowej półce, zanurzonego w słoju z alkoholem, trudno o lepszy skrót myślowy. I o bardziej sugestywną zapowiedź kolejnych problematycznych zdarzeń.

Choć przez cały czas jesteśmy świadkami różnego rodzaju naruszeń i z każdą chwilą coś gęstnieje w przegrzanym powietrzu, reżyserka nie nadużywa narzędzi typowych dla tego rodzaju kina. Nie uświadczysz tu spektakularnie narastającej grozy ani podszytych klasizmem czy seksizmem prób zezwierzęcania barowych intruzów. Wszyscy, i mężczyźni, i miejscowe kobiety, są zakładnikami tego przeklętego miejsca i, w przeciwieństwie do kanadyjskich turystek, nie mają większych szans, by się z niego wyrwać. Albo znacząco je odmienić.

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE GALAPAGOS FILMS

THE ROYAL HOTEL *– reż. Kitty Green. Prod. Australia/ /Wielka Brytania 2023. Dystryb. Galapagos Films. W kinach od 28 czerwca.*

Kitty Green jest australijską twórczynią filmową, zaangażowaną w tematykę kobiecą. Zadebiutowała nagradzanym dokumentem „Ukraine Is Not a Brothel" (2013) o grupie Femen (reżyserka posiada ukraińskich przodków). Uznanie przyniosła jej także nakręcona w USA fabularna „Asystentka" (2019) o nadużyciach seksualnych w przemyśle filmowym. Ma także na koncie dwa odcinki serialu „Servant" (2022-2023).

Na zdjęciu: Jessica Henwick i Julia Garner w filmie „The Royal Hotel".

Takim zakładnikiem jest również Billy, przeżarty chciwością i maczyzmem właściciel pubu, zagrany przez Hugo Weavinga, brytyjskiego aktora i ikonę kina australijskiego, niezapomnianego Elronda z „Władcy Pierścieni". Jego bohater zarabia na degrengoladzie lokalsów, konserwując przy okazji rozmaite patologie. Tym bardziej nie ma czego zazdrościć jego aborygeńskiej żonie Carol (w tej roli pół-Serbka, pół-Aborygenka Ursula Yovich), która bezskutecznie próbuje „cywilizować" panujące obyczaje. Nic więc dziwnego, że zakończenie, jakie obmyślili dla tej historii scenarzyści, a zarazem ich bohaterki, będzie aż tak desperackie.

Za ten gest „The Royal Hotel" bywa krytykowany najbardziej. Że jest zbyt przewidywalny, że nazbyt wydumany i efekciarski na tle całości. Ale przecież Green opowiada historię o próbie przetrwania (co ciekawe, słowo „ocaleniec" nie doczekało się jeszcze feminatywu), w tym zaś przypadku „przeżyć" oznacza „ochronić własne granice". Opowieść przepełniona mniej lub bardziej drobnymi naruszeniami, acz pozbawiona widowiskowych tąpnięć, przez cały czas trzyma nas w oczekiwaniu, kiedy i skąd nastąpi główne uderzenie. A finał bezpardonowo przekierowuje i rozładowuje tę skumulowaną energię.

Jeśli czegoś filmowi brakuje, to nie tyle prawdopodobieństwa, oryginalności czy narracyjnego szwungu, ile dookreślenia portretów Hanny i Liv. Kim one są? Co za sobą pozostawiły w dalekiej Kanadzie? Czego szukają na antypodach oprócz dobrej zabawy? Dostajemy na ten temat jedynie szczątkowe informacje, bo bardziej niż dynamika relacji między dziewczynami liczy się napięcie pomiędzy nimi a miejscowymi. Pomimo tej psychologicznej szkicowości udaje się zbudować klimat zagrożenia tak dobrze znany przynajmniej połowie populacji, nie tylko australijskiej czy kanadyjskiej. Ta druga połowa dzięki filmowi Green może chociaż przez chwilę poczuć, czym jest ów strach zakodowany w byciu kobietą. I jakkolwiek twórcy nie chcą nas z nim pozostawiać, „The Royal Hotel" traktuje przede wszystkim właśnie o nim. ©

Lektor:
Jasność i czerń

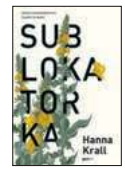

▪ *Hanna Krall*
SUBLOKATORKA
Zamiast posłowia: Natalia Judzińska, Komplikacje z przypisami.
Znak Literanova, Kraków 2024, ss. 206.

Dziwne to były czasy, a cenzura – w 1981 r. ustawowo zalegalizowana, wcześniej działająca w oparciu o jakiś prehistoryczny dekret – w przypadku książek dwustopniowa. Najpierw zatwierdzanie planu wydawniczego przez ponurą damę z ministerstwa, potem operacje na tekście. „Sublokatorka", złożona przez Hannę Krall w Znaku, poległa, o ile dobrze pamiętam, już na pierwszym etapie, mimo starań Jacka Woźniakowskiego. Jej pierwsze wydanie ukazało się więc w 1985 r. w Paryżu, w Libelli – wydawnictwie Zofii i Kazimierza Romanowiczów. Potem przyszły kolejne edycje w kraju – podziemne, a po 1989 r. nadziemne. I teraz nowy początek, czy – jak kto chce – powrót do źródeł.

Leżą przede mną dwa egzemplarze – ten mniejszy z Libelli, z prostą okładką i znakiem graficznym jaskółki oraz gęstym drukiem, i ten większy, w twardej oprawie, gdzie tytuł wpleciono w kwiaty dziewanny (co świadczy, że projektantka, Magda Kuc, książkę przeczytała). Zmian wprowadzonych przez autorkę sporo, to jednak wciąż ta sama książka, która cztery dekady temu spotkała się z żywym i niekoniecznie życzliwym przyjęciem. Bo krytyka w tak zwanym podziemiu bywała ostra i niesprawiedliwa.

Dziś przypowieść o jasności i czerni, które naznaczają równoległe losy dwóch dziewczynek, historia z kluczem, której bohaterowie mają niekiedy czytelne pierwowzory, jak Artur Hajnicz i Jacek Kuroń, zyskała nowe życie. „»Sublokatorka« dostarcza inspiracji na wielu polach – pisze Natalia Judzińska, skądinąd rówieśniczka powieści, autorka pracy o getcie ławkowym w międzywojennym Wilnie, zaangażowana w pomoc uchodźcom na wschodniej granicy. – Dekadę temu zaczęła funkcjonować na nowych dla siebie warunkach, czyli jako akademicka kategoria analityczna". Sublokatorstwo w tym rozumieniu to relacja podległości i podporządkowania, narzucana w naszej kulturze Innym.

Sublokatorką jest ukrywająca się podczas wojny „czarna" Marta, po części *alter ego* autorki. A „jasna" Maria? Pierwowzorem była, jak napisała kiedyś na tych łamach Hanna Krall, jej przyjaciółka Wiesława Grochola. Mam wrażenie, że ta książka, dramatyczna, ale i zdystansowana, osobista, ale też grająca z konwencjami i myląca tropy, wyprzedziła swój czas. Może po prostu jej krytycy z lat 80. czego innego wtedy oczekiwali... ©℗

OLGA

Drenda:
Za długa młodość

Smutne czasy nastały dla millenialsów. Najpierw artysta w swoim czasie, wydawałoby się, niepokonany, globalny król muzyki Justin Timberlake, na własne życzenie znalazł się w nieprzynoszącym chluby położeniu, gdyż zatrzymano go za jazdę w stanie nietrzeźwym. To nieszczególna sensacja, taka sytuacja zdarza się przecież w świecie gwiazd, jednak znamienny jest epizod z aresztowania: policjant rzekomo był tak młody, że nie rozpoznał człowieka, którego – znów: wydawałoby się – kojarzy cały świat. Być może po raz pierwszy w sposób tak bezdyskusyjny idol musiał się zetknąć z grozą nieistotności. Ale nie tylko o niego chodzi: to symptom tego, jak nierelewantna w oczach młodszych pokoleń musiała stać się kultura popularna millenialsów.

A teraz jeszcze na okładce „New Yorkera" rysownik komiksowy Adrian Tomine podsuwa szydercze zwierciadło. „Wieczna młodość", nosi tytuł jego rysunku: oto tzw. wyluzowani rodzice, w ciuchach z wizerunkami aktualnych idoli i z modnym kubkiem Stanley w ręku, a w pewnym dystansie mocno zakłopotana córka, starająca się z wysiłkiem ukryć swoje zażenowanie próbami rodzicielskiego umłodzieżowienia. Znamienne, że dziewczynka przypomina Darię, sarkastyczną bohaterkę serialu animowanego z lat 90., której rodziców – „białe kołnierzyki" z domu z ogródkiem – czasem ogarniała nostalgia za latami hippisowania, co u bohaterki wywoływało poczucie bezbrzeżnego zawstydzenia za cudze przewiny. Jest to zatem ilustracja zwyczajnego biegu świata.

OLGA DRENDA

Cień się zbliża, a my blakniemy.

Rysunkowa satyra lubi mierzyć się z łapaniem ducha czasów i tu nastąpiła podobna próba; ostrze żartu znów zostało wycelowane w millenialsów, którzy na dobre wchodzą w smugę cienia z całym kłopotliwym bagażem tego stanu – nieaktualnością, pokracznością i zarzutami o pozerstwo. Pisałam już kiedyś o pierwszych symptomach; dzisiaj nadszedł czas na konfrontację z terminem „wiek średni".

To sytuacja cokolwiek ironiczna, bo nie tak miało być. O tym pokoleniu mówiono jeszcze chwilę temu, że jest zatrzymane w czasie, w niekończącej się młodości. Młodości nie tylko duchem, ale podobno nawet zauważalnej na pierwszy rzut oka: „dlaczego millenialsi tak często nie wyglądają na swój wiek?", zastanawiała się kiedyś dziennikarka Daisy Jones. To pokolenie, które weszło w dorosłość w świecie bez dress code'u, ale też bez umów o pracę i kredytów na mieszkanie. Wcześniej starsi zarzucali im niedojrzałość i niechęć do brania odpowiedzialności za własne życie, co rozumieli jako posiadanie stabilnej pracy, własnej nieruchomości i trwałej rodziny. W rzeczywistości tę rzekomą niechęć trzeba raczej rozumieć jako dostosowanie się do sytuacji: nie mogli przeżyć życia tak, jak ich rodzice, bo tamten świat się skończył, więc przynajmniej korzystali z tego, z czego mogli.

Zasada „pracuj rzetelnie, a się dorobisz" straciła rację bytu w czasach „śmieciówek" czy *zero-hours contracts*. Pozostawało cieszenie się małymi luksusami, które w tym samym czasie potaniały: tanie loty, tanie taksówki, tania turystyka, no i nieskończoność internetu. Próby radzenia sobie z tą permanentnie niestabilną sytuacją bywały umagiczniane. Pamiętam krążącą po mediach społecznościowych historię o niemieckiej studentce, która uczy się do sesji w dalekobieżnych pociągach, bo nie stać jej na wynajem. „Tak trzeba żyć", kibicowali moi znajomi, chwaląc zaradność nomadki, nie zadając jednak pytania, gdzie np. korzysta z pralki.

Z drugiej strony wczesna dorosłość millenialsów przypadła na czas wielkich obietnic: internet jest wasz, wystarczy mieć pomysł – mówiono. Modelem do naśladowania był przedsiębiorca-zajawkowicz w śmiesznej koszulce z motywem z „Gwiezdnych Wojen" i z tatuażami, który właśnie zaprojektował aplikację wartą miliony, albo blogerka, która swoją hobbystyczną stronę rozbudowała w imperium branży stylu życia. Przyszłość pracy to start-upy, czyli wynalazczość i pasja, a zacząć można w garażu – taką historię opowiadano. Dzisiaj te biznesy napędzane pasją albo zostały wykupione i zjedzone przez większe ryby, albo nie przetrwały cięcia kosztów w nowych technologiach. Zachęcano do kształtowania własnych miast, wpływania na politykę lokalną, a koniec końców okazywało się, że i tak ostatnie słowo zawsze ma deweloper. Tyle wyszło z tej przyszłości.

Czy millenialsi będą mieć podstawy, żeby czuć się wykiwaną generacją? Wkrótce pewnie rozpocznie się nostalgia za czasami, kiedy wystarczyło napisać prostą, popularną gierkę (jak „Flappy Bird"), żeby podbić internet, kiedy liczyły się własne treści, Justin Timberlake wydawał bezkonkurencyjne płyty, sieć była trochę bardziej niewinna, a świat między 11 września a aneksją Krymu – nieco mniej dystopijny i pozwalający cieszyć się wieczną pauzą względnej młodości. Dzisiaj jest wszędzie bardziej bezwzględnie, wyczerpująco i złowrogo. Nic dziwnego, że można osiwieć. ©

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce przepisy na Tygodnikowy lunch, deser, obiad. Zapisz się na **powszech.net/tygodnik-smakow**

PAWEŁ

Bravo:
Łamcie spaghetti!

To teraz, kiedy nic się nie stało, będzie można oglądać mecze mistrzostw Europy bez stresu i głupich nadziei, dla czystej przyjemności obcowania z pięknem zespołowej gry, o ile ktoś takowe piękno widzi pod warstwą mdlącej nadbudowy reklam i szemranych interesów. Zaiste, Rzymianie, którzy w naszej potocznej wiedzy pełnią rolę antycznych żołdaków, chamów i brutali, byli bardziej sympatyczni ze swoimi cyrkami i jatką gladiatorów – przynajmniej nikt nie udawał, że chodzi o coś więcej niż tylko, żeby się paru niewolników efektownie zatłukło. Jutro kupi się nowych.

Tłuczenie, dźganie i podpalanie pozostaje, bo musi, strukturalną częścią każdych godnych swej nazwy igrzysk, tyle że zostaje wydelegowane poza obręb areny. Bywa jednak, że wojna kibiców przybiera formy symboliczne, choć nie mniej przez to okrutne i bolesne dla ofiary. Ostatnio w Dortmundzie policja zatrzymała przed meczem Włoch z Albanią parudziesięciu włoskich kibiców z nożami, ale to nie ta informacja (przyznajcie zresztą – banalna) obiegła media. Cały świat oglądał za to scenę, jak albańscy kibice łamią na pół paczkę spaghetti, mimo że zgromadzona po drugiej stronie ulicy garstka Włochów błaga ich na kolanach, żeby nie popełniali świętokradztwa.

Drama wydała mi się podkręcona, a rozpacz Włochów z lekka autoironiczna, ale świat się uśmiał i podał dalej, bo świetnie się to wpisało w pogląd, że ten naród ma fioła na punkcie reguł i tabu jedzeniowych. Ironia ironią, ale coś jest na rzeczy, do czego zaraz wrócimy, najpierw jednak spójrzmy chłodnym okiem na kwestię: czy jest jakiś obiektywny, fizykalny albo fizjologiczny problem z łamaniem spaghetti na pół? Jest: nie da się złamać kluski na dwie części, nawet nierówne: jeśli złapiecie za dwa końce i wygniecie, to w pewnym momencie pęknie na dwa duże kawałki i jeden albo więcej małych. Legenda głosi, że problem interesował samego Richarda Feynmana, ale ów na nim poległ... Dopiero w 2005 r. francuscy badacze wyprowadzili właściwy model matematyczny (dostali za to IgNobla), a kilka lat temu tęgie głowy w MIT wreszcie zaproponowały, co zrobić, żeby kluska pękła na pół. W dużym uproszczeniu – trzeba ją przed wygięciem skręcić w osi wzdłużnej, powstała do tego nawet specjalna maszyna, nie szukajcie jej jednak na Amazonie, nikt jej masowo nie wyprodukował. Spaghetti to był tylko efektowny pretekst, badania równowagi statycznej pręta mają kolosalne znaczenie w technologii, choćby budowlanej.

A mogli mnie od razu zapytać i zaoszczędziliby miliony z grantu. Pamiętam wszak dokładnie z domu rodzinnego, a także z domu mojej ciotki, w którym narodziłem się kulinarnie, że kiedy się wiązkę (no bo nikt w kuchni nie łamał po jednej nitce) lekko skręci i dopiero wtedy zegnie, to spora część klusek pęknie na pół, choć na blat na pewno spadnie wam nieco drobnych odłamków. Tak, dobrze przeczytaliście, od dziecka oglądałem łamanie spaghetti i żaden piorun nie strzelił. Smakują tak samo, łatwiej się gotują, jeśli macie mały garnek, łatwiej się nawijają, zwłaszcza kiedy się ma sześć lat i widelec z żółwikiem. Długie spaghetti piękniej wyglądają, kiedy zręcznie je nawiniemy, tworzą efektowne gniazdo, Instagram aż drży na stykach serwerów, tyle że tu mówimy o karmieniu się strawą, a nie lajkami.

Może inne włoskie tabu mają jakiś sens, ale to jest szczególnie irytujące i żałosne. Już to nieraz mówiliśmy: suchy makaron z pszenicy durum w tej formie, poza ulicami Neapolu (tak, ulicami, to się brało z ulicznego kotła i jadło rękoma z miski, nikt nie nawijał), wszedł na dobre do tworzącej się zbiorowej tożsamości Włochów ze sto lat temu. Żadna to więc ugruntowana świętość, raczej maska, która przykrywa niepewność poczwarkowatego narodu niemającego wielu wspólnych odniesień, a eksperyment ze zjednoczeniem zlepka skłóconych regionów w jedno państwo wydaje się zmierzać ku klęsce. Im mniej potrafią dać światu rzeczy dobrych i ważnych, tym bardziej sprzedają siebie jako skansen, bo ludzie chętnie zapłacą za obłędnie piękne widoki i tych wesolutkich dzikusów, którzy machają rękoma, jeżdżą pod prąd i robią z jedzenia – skądinąd pysznego – pokraczną religię, *carbonara senza panna madonna santissima*. Nie dajcie sobie wciskać tandetnego szamaństwa, łamcie spaghetti i sypcie ser, gdzie popadnie. Ale kawa z mlekiem po obiedzie? No ja was proszę, bądźmy poważni, tego naprawdę nie wolno. ©℗

MYVIEWPOINT. / ADOBE STOCK

Jednym z przepisów, które wzięły się nie wiadomo skąd, ale już mają swój quasi-religijny status, jest puttanesca – nawet nieprzyzwoita nazwa, której nie wypada mi tu tłumaczyć, jest niejasnego pochodzenia.

Na dużej patelni podgrzewamy na oliwie 2 ząbki czosnku, dodajemy pokruszoną papryczkę i 3 fileciki anchois. Po chwili, kiedy się rozpłyną, dodajemy garść dobrych czarnych oliwek, łyżkę kaparów (opłukanych z soli) i 300 g pomidorków koktajlowych. Dusimy na wolnym ogniu, aż zgęstnieje, przez co najmniej kwadrans, pod koniec dodajemy sporą ilość posiekanej natki, łączymy z gorącym spaghetti na patelni. Włoscy puryści zakazują dodawać sera i w tym wypadku wydaje mi się, że to ma sens. Spróbujcie sami, ja nie będę patrzył.

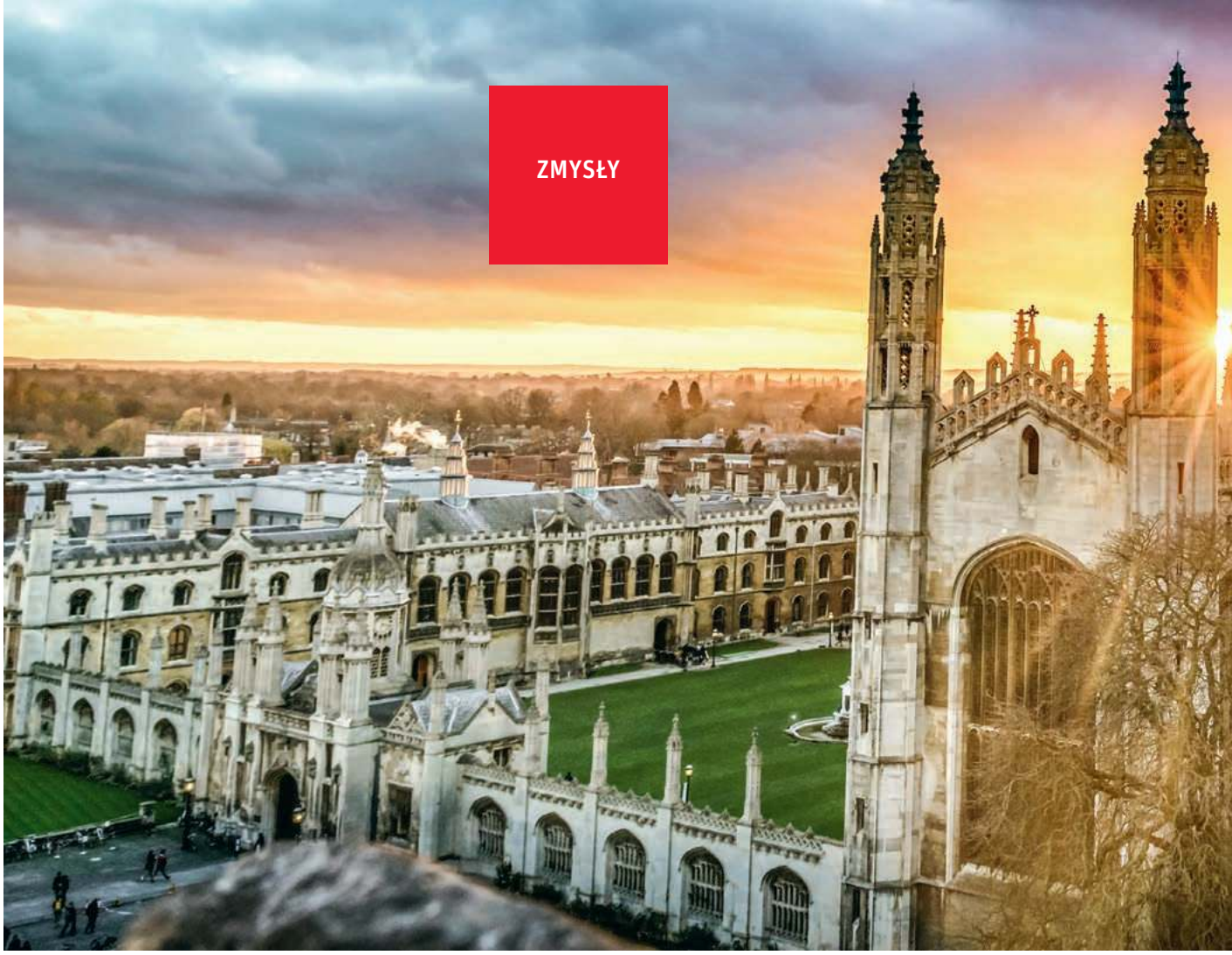

ZAKAZANE SZLAKI

Cambridge to miasto wymyślnych rynien, gzymsów, iglic i okapów. Okazuje się, że wyginają się one wręcz złośliwie, kiedy po zmroku zaczynają swoje drugie życie.

ADAM ROBIŃSKI Z CAMBRIDGE

Na pierwszy rzut oka jest jak w typowym przewodniku. Czytamy, że region oferuje szereg dróg wspinaczkowych o różnej trudności. Owszem, brakuje wyrażonej w liczbach skali. Jednak szczegółowe opisy nie pozostawiają wątpliwości, dokąd powinien udać się początkujący, a gdzie pewny siebie zawodowiec. Nawet nazwy formacji, przetłumaczone na polski, niosą ów typowy dla wspinaczkowego światka pierwiastek szaleństwa.

Mamy więc Trójcę, Starą Bibliotekę, Most Westchnień albo Królewską Kaplicę. Tę iluzję można by ciągnąć jeszcze przez kilka zdań, jeśli nie akapitów. Można by zapytać, dlaczego ktoś chciałby wspinać się na te szczyty, i odpowiedzieć: bo są. Pisać o sprzęcie (długie spodnie są lepsze niż szorty, a gumowa podeszwa nie niszczy kamienia) oraz warunkach pogodowych (zimy są tu łagodne, a jedynym problemem pozostaje deszcz). Ale prędzej czy później trzeba będzie wyjaśnić, że jeśli formacja nazywa się kaplicą, to dlatego, że właśnie nią jest. I że to wszystko odbywa się nie do końca legalnie.

W środku słonecznego maja wędruję wzrokiem po fasadzie głównej bramy Trinity College w angielskim Cambridge. Trudno o bardziej płaski skrawek lądu w Wielkiej Brytanii. Ponad horyzont wystają tu tylko budynki, a sokoły gniazdują wyłącznie na wieżach kościołów. Książkę „The Night Climbers of Cambridge" mam na dnie plecaka. Nie będę jej wyjmował, nie chcę budzić podejrzeń. Nie planuję iść w ślady jej autora, przyjechałem do Cambridgeshire w zupełnie innym celu. Zresztą

ADOBE STOCK

Dachy Cambridge, listopad 2018 r.

moje doświadczenie ogranicza się do wspinaczki sportowej, a więc po drogach już ubezpieczonych. A tu trzeba by się wykazać o wiele większą brawurą. Wspinać się na żywca, bez asekuracji, ewentualnie przewiązać się liną z partnerem.

Pozostaje więc wyobraźnia. A więc wieża z prawej, do rynny, krawędź okapu, kolejna rynna, trzymać się z dala od piorunochronu. Wreszcie chwyt, który pozwala wciągnąć się na blanki. Oglądać główną bramę Trinity College „to jak zobaczyć pierwszy śnieg w Austrii lub odległe Coolins, gdy wjeżdża się na wyspę Skye", pisze we wspomnianej książce niejaki Whipplesnaith. Tłumaczy, że choć figura króla Henryka VIII, która góruje nad bramą, wydaje się w zasięgu ręki, to próba jej dosięgnięcia nie byłaby rozsądna. Kamień jest tu po prostu mało bezpieczny. Za to kiedy podczas remontu dostawiono do niej rusztowanie, ktoś rychło wymienił królewską buławę na drewnianą nogę od krzesła. Podobno takich przypadków było więcej, a król dzierżył już całą masę insygniów, o których nie śniło się władcom.

Bal bez zaproszenia

Początki tej historii rozpływają się w mrokach XVIII-wiecznych nocy. Mitów założycielskich jest kilka. Najbardziej wiarygodne mówią o tym, że bramy kolegiów zamykane były od zawsze o dziesiątej wieczorem, więc jeśli spóźnialski nie chciał spać na ławce w parku, musiał znaleźć inną drogę do akademika. Inni twierdzą, że zaczęło się od piłki, która wpadła na dach, więc trzeba było po nią pójść. Albo że chodziło o to, by dostać się bez zaproszenia na majowy bal.

Pierwszym dowodem na to, że zabytkowe Cambridge może służyć nie tylko do nauki, stała się niepozorna książeczka z 1900 r. Autorem „The Roof-Climber's Guide to Trinity" („Przewodnik wspinaczkowy po Kolegium Trójcy Świętej") był Geoffrey Winthrop Young, uznany brytyjski alpinista, autor pierwszych dróg w masywach Breithorn i Monte Rosa. Kolega George'a Mallory'ego, tego samego, który w 1924 r. zmarł na północnej ścianie Mount Everest (to, czy stanął wcześniej jako pierwszy człowiek na jego szczycie, pozostaje wielką zagadką himalaizmu).

Pod koniec XIX wieku Young studiował literaturę klasyczną w Trinity College. Zaś po zmroku – co okazało się po publikacji jego przewodnika – przemierzał ściany i dachy kolegium. Robił to przede wszystkim w ramach treningu przed letnim sezonem alpejskim. Jego książka miała być żartem. Chciał sparodiować nadęty styl szwajcarskich przewodników wysokogórskich. Broszura szybko zyskała jednak popularność, a jej autor stał się mimochodem pierwszym historykiem sportu, który ochrzczono mianem „nocnej wspinaczki". To wszystko musiało dziać się po zmroku, bo władze uczelni z oczywistych względów nie podzielały pasji swoich podopiecznych.

Nie zmienia to jednak faktu, że ślady zdobywania dachów kolegiów Young znalazł choćby we wspomnieniach Lorda Byrona (autora m.in. pierwszego wejścia na fontannę na głównym ↦

↦ dziedzińcu Trinity College w 1806 r.). Przewodnik po Trinity doczekał się z czasem dwóch nowych wydań, a każde z nich było odpowiedzią na rozbudowę kolegium. Nowe, perspektywiczne ściany wspinaczkowe domagały się zdobycia i opisania.

Z kolei Young, zanim na dobre opuścił mury Cambridge, napisał jeszcze równie prześmiewczy tom „Wall & Roof Climbing" („Wspinaczka skalna i dachowa"), w którym, posiłkując się cytatami z klasyków oraz własnym doświadczeniem, usiłował nadać nocnej wspinaczce pewną dozę dostojeństwa: „Cechą odróżniającą wspinaczkę po dachu od skałkowej i utrudniającą jej uprawianie nie tylko początkującym, ale nawet znawcom gór, jest gwałtowność kątów. Nawet w Dolomitach, gdzie gzymsy i kominy najbardziej przypominają architektoniczny ideał, pionowe ściany są rzadkie i zazwyczaj pozwalają na obejście, albo też noszą nadające się dla wspinaczy pęknięcia. Co innego budowniczy, który z radością ukazuje swoją wyższość nad Naturą oraz pogardę dla jej delikatnych metod. Ściany, które stawia, są tak proste, jak tylko pozwala na to pion hydrauliczny. Wyłożone kafelkami lub łupkami szczyty złośliwie wyginają chwyty w niewłaściwą stronę, a kominy naśladują intelektualny rozwój wczesnowiktoriańskiego wysokiego kapelusza".

Obyty z alpejskimi ścianami wspinacz może stracić całą pewność siebie wewnątrz komina na szczycie szesnastometrowej ściany budynku, przekonuje dalej Young.

Kruchy kamień Oksfordu

Brawury nie brakowało na pewno Ivorowi Armstrongowi Richardsowi, późniejszemu uznanemu teoretykowi krytyki literackiej, który w 1915 r. wspiął się na wiatromierz jednego z budynków Kolegium Magdaleńskiego, gdzie studiował. Zrobił to dwukrotnie – raz, nocą, po to, by zawiesić na nim kukłę. I drugi raz, za dnia, by ją zdjąć. Powtórny wyczyn został zresztą uwieczniony na fotografiach, do których dotarł pisarz Dan Richards, w książce „Climbing Days" („Dni wspinaczki") próbujący opowiedzieć o górskiej pasji znanego intelektualisty i jego żony, prywatnie jego wujka i ciotki. Dorothy Pilley Richards była fetowaną alpinistką (zasłynęła pierwszym wejściem na Dent Blanche w Szwajcarii drogą północno-zachodnią), nie mogła jednak zapisać się w annałach nocnej wspinaczki, bo angielskie kolegia dopiero w drugiej połowie XX wieku stały się koedukacyjne.

Dowody na praktykowanie wspinaczki w Cambridge rozsiane są więc po literaturze, której autorzy i autorki zetknęli się z uniwersyteckim miastem. O dziwo, mimo podobnie kuszącej architektury, sport nie przyjął się w innych ośrodkach akademickich. Były przebłyski: w 1941 r. pojawił się przewodnik wspinaczkowy po Winchester, angielskiej stolicy do przełomu XII i XIII wieku (co nie powinno dziwić, gdy zobaczy się zdjęcie tamtejszej katedry). Wspinaczka nie trafiła za to na podatny grunt w Oksfordzie, bo – jak przekonuje jeden ze studentów w przewodniku po Trinity – tamtejszy kamień jest o wiele bardziej kruchy, co narażało budynki na uszkodzenia.

Najbardziej sumiennym świadectwem zjawiska pozostaje książka niejakiego Whipplesnaitha z 1937 r. Anonimowość udało mu się zachować przez większość XX wieku. Z czasem został zidentyfikowany jako Noël Howard Symington, dziedzic przemysłowej fortuny i absolwent Kolegium Królewskiego z lat 30. Po opuszczeniu uczelni postanowił podsumować lata wspinaczki. W myśl zasady, że jedna fotografia warta jest tysiąc słów, zachciał, aby książce towarzyszyły zdjęcia. Musiał więc do Cambridge wrócić, by dokonać powtórnych przejść najważniejszych dróg wspinaczkowych miasta. W przedsięwzięciu towarzyszyło mu łącznie 24 kolegów, których poznał w czasie studiów. Grube swetry, tweedowe marynarki, bawełniane spodnie i konopne liny przewiązane w biodrach. Szarość kamienia i czerń nocy. Bezczelność tych chłopaków musiała być zaraźliwa. Nietrudno uwierzyć, że na widok tych zdjęć wielu mówiło: też tak chcę.

Turystyka rynnowa

Wspinaczka w Cambridge sprowadza się do dwóch typów wyzwań, pisze na wstępie Whipplesnaith. Chodzi o rynny i kominy. Samą rynnę można pokonywać na dwa sposoby. Albo trzymając ciało z dala od ściany, ściskając rynnę rękami i zapierając się wokół niej nogami, a potem idąc do góry niczym małpa; albo, jeśli między rynną a ścianą nie ma żadnej przestrzeni, przytulając się do niej, pełznąć w górę niczym gąsienica. To wszystko wspinaczkowe przedszkole. Bez opanowania tej podstawowej umiejętności nie ma czego szukać na ścianach tutejszych uczelni.

Trzeba być szaleńcem, żeby przemierzać Cambridge, wpatrując się w głównie w przebieg rynien, ale tym właśnie kończy się dla mnie lektura książki. Mam jednak pecha – w większości kolegiów trwają egzaminy, a wstępu na ich dziedzińce bronią tabliczki informujące o zakazie wizyt. Wtykam więc głowę, gdzie się da, posiłkując się zdjęciami satelitarnymi z internetu. Z lotu ptaka najstarsza część miasta jest konstrukcją zbudowaną z prostokątów. A więc zieleń trawników i szarość dachów.

Fasada sklepu Marks & Spencer przy Sidney Street właściwie wcale nie rzuca się w oczy, ale mimo to przyglądam się jej długo i wytrwale, mając w pamięci spektakularną wspinaczkę ekipy Whipplesnaitha. To jedyny opisany przez nich epizod wchodzenia na teren prywatny. Powód jest prozaiczny – w zebranym materiale zdjęciowym brakuje efektownych pinakli, wieżyczek z iglicami, z których nie da się wejść nigdzie wyżej. Wspinaczom przychodzą do głowy dwa obiekty. Pierwszy z nich to jedna z wież na terenie Kolegium Jezusowego. Ale w nocy, której decydują się na akcję, na jego terenie trwa impreza, a „każdy, kto nie jest pijany, tańczy przy ognisku". Zatrzymani przez portiera, muszą zmienić plany.

Drugim potencjalnym celem jest budynek banku Lloyds. Idą tam we dwóch po rusztowaniach ustawionych przy nieistniejącym już kinie, a potem po dachu sklepu Marks & Spencer przedostają się na teren banku. Stojąc u podnóży docelowej iglicy, dochodzą do wniosku, że choć brakuje jej chwytów, to można się na nią wdrapać po piorunochronie. Ale konstrukcja jest licha i nietrwała, więc można to zrobić tylko raz. Potem ciężar ich ciał osłabi mocowania. Zanim przystąpią do wspinaczki, muszą zejść po fotografa. Zaczyna jednak padać, chowają się więc przed deszczem pod jakimś okapem na dachu sklepu. A potem pierwszy z nich zaczyna iść po drabinie w dół, wprost w ramiona czekających już na chodniku policjantów. Drugi salwuje się ucieczką, której trasa odwzorowana została na prowizorycznej mapce wydrukowanej w książce.

Przypomina bohomazy Kevina z filmu „Kevin sam w domu", który na prowizorycznym planie pozaznaczał wszystkie przygotowane przez siebie pułapki na złodziei. A więc naj-

JOHN BULMER / POPPERFOTO / GETTY IMAGES

Urzędnicy wizytują dach Kolegium Gonville'a i Caiusa, na którym studenci z grupy Night Climbers zainstalowali samochód Austin 7, Cambridge, czerwiec 1959 r.

pierw po dwumetrowym murze w górę, potem dwa razy wyższym kominem w dół. Dalej po rynnie i dwóch okiennych parapetach do poziomu ulicy po wewnętrznej stronie bramy. Ta jest zamknięta, wdrapuje się na nią, ale po drugiej stronie widzi policjantów. Nie ma szans przejść niezauważony, więc wraca. Przez okno włazi do czyjejś sypialni, gdzie lokatorki podnoszą na jego widok krzyk. Przeprasza je i już chce wyskoczyć z przeciwległego okna na ulicę, ale znów widzi policyjne latarki i się cofa. Jeszcze raz przeprasza przestraszone dziewczyny, a potem wbiega po schodach do pustego pokoju, z niego przedostaje się na szklany dach, dalej kilkunastometrową rynną w górę na szczyt jeszcze innego sklepu. W alejce na dole jest ciemno, więc schodzi po rusztowaniu ewakuacyjnym na chodnik i rozpływa się, niczym Batman, w ciemności.

Zakaz na zakazie

„Don't climb". Zakaz wspinaczki. Kiedy spaceruję po Cambridge, na każdym kroku natrafiam na podobne tabliczki. Inny afisz informuje, że kamienny mur okalający Kolegium Emmanuela pomalowano antywłamaniową farbą. Tyle możliwości, myślę, widząc wystający zza niego sędziwy platan, bo gałęzie rozchodzą się na boki z wyobraźnią godną górotworu.

Wszystkie te zakazy rodzą oczywiście pytanie – czy to możliwe, by nocna wspinaczka wciąż była żywą tradycją? Czy w czasach wszechobecnych kamer przemysłowych jest to w ogóle wykonalne? Czy reprinty stuletnich przewodników są już tylko antykwaryczną ciekawostką? A może ktoś z nich korzysta zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem?

Wyraźną sugestią, że tak jest, staje się artykuł z kwietnia 2022 r. Znajduję go na stronach uniwersytetu. „Następnym razem, gdy ktoś poprosi cię o potrzymanie kebaba, miej świadomość, że być może właśnie wchodzisz do jednego z najstarszych i najbardziej tajemniczych klubów Cambridge" – pisze Mark Frary. Słowom towarzyszą zdjęcia, ich autorem jest słynny angielski fotografik John Bulmer, który w latach 50. sam studiował w Cambridge. Jednocześnie imał się zleceń od popularnych tytułów prasowych. Choć cierpiał na lęk wysokości, parokrotnie wybierał się z kolegami w teren.

W artykule wspomina wyjście na Senat Kolegium Gonville'a i Caiusa, nazywany Everestem nocnej wspinaczki. Trzeba wejść po parapetach i kratach na jeden z posągów, a potem przedostać się z niego na senacki dach. Drogę przegradza ponad dwumetrowa przepaść do przeskoczenia. Bulmer czaił się z aparatem na dole, podczas gdy jego kompan próbował dokonać niemożliwego. I choć skok był udany, to zawiodła lampa błyskowa. Chwilę później Bulmera złapała uniwersytecka ochrona. Trafił przed oblicze nadzorców kolegium. Wykpił się stwierdzeniem, że był tylko przypadkowym przechodniem z aparatem. Nie upiekło mu się za to kilka miesięcy później, gdy jego zdjęcia zostały opublikowane w „Sports Illustrated". Skreślony z listy studentów na sześć tygodni przed końcem nauki, stał się prawdziwym męczennikiem sportu. Jego fotoreportaż przyniósł za to renesans dyscypliny i zaowocował nowym wydaniem przewodnika po Trinity.

Autem na grań

To wspaniałe uczucie – na końcu wyczerpującej wspinaczki ujrzeć na sąsiednich dachach ciemne sylwetki innych śmiałków, przekonuje Whipplesnaith. Bo każde kolegium ma swoich wspinaczy, którzy zwykle nie mają pojęcia o innych grupach i ich wyczynach. „Przychodzą z ciemności, w ciemności przebywają i w niej się rozpływają, a większość wyczynów pozostaje niezarejestrowana i tym samym zapomniana". Wszystko spowija mrok tajemnicy i niepewności, które każą ci myśleć, że jesteś tu, na wierzchołku, pierwszy: „Zdobycie gmachu Senatu to jedna z tych mglistych legend, które swój urok zawdzięczają zupełnemu brakowi szczegółów. Słyszeliśmy, że wejście na szczyt przypisywano różnym osobom, zwłaszcza pewnemu słynnemu sportowcowi, znanemu z wielu wybitnych osiągnięć. Ale niezweryfikowana legenda pociąga bardziej niż suche fakty i daty. Dlatego powstrzymaliśmy się od napisania do niego z pytaniem, czy to wszystko prawda".

Prawdą musi być niewątpliwie jedna z anegdot przytoczonych przez Bulmera. W 1958 r. dostał cynk, że grupa studentów inżynierii wciągnęła na lokalny Everest samochód osobowy. Udał się tam z aparatem następnego ranka. Zdjęcie – jedno z nielicznych zrobionych w świetle dnia – nie pozostawia żadnych złudzeń. Austin model numer siedem stoi okrakiem na grani kolegialnego senatu. Widać nawet jego numer rejestracyjny. Samochodowi przyglądają się dwie osoby w garniturach. W tle prężą się iglice sąsiedniego Kolegium Królewskiego. Ale co to była za wspinaczka? Którędy i jak? To na zawsze pozostanie tajemnicą.

© ADAM ROBIŃSKI

TOMASZ

Stawiszyński: *Przeciw algorytmom*

Kiedy czytałem tekst przemówienia papieża Franciszka, wygłoszonego 14 czerwca podczas szczytu G7, cały czas przypominał mi się francuski antropolog René Girard, do którego książek w ostatnich latach coraz częściej powracam. A w szczególności dwie jego myśli. Pierwsza: chrześcijaństwo jest jedyną religią w dziejach, która zapowiada własny upadek, od początku wie bowiem, że ludzie ostatecznie nie przyjmą jej przesłania, lecz wybiorą drogę „zwierzchności i władz". Druga: istnieje taka prawda o człowieku, którą dostrzega wyłącznie religia, rozum i nauka nie są i nigdy nie będą jej w stanie rozpoznać.

Jak to się ma do Franciszka i jego przemówienia? Powiedzmy najpierw, że tamtego dnia w Apulii papież był w miejscu, w którym być powinien, wśród najpotężniejszych przywódców świata. Czy podczas takich spotkań decydują się globalne losy? Nie sądzę. Niemniej, jeśli w ogóle ktokolwiek, choćby ramowo, jest w stanie o nich decydować, to z pewnością ci, którzy się na podobnych zgromadzeniach widują. Istotnie, mnóstwo tam pustych gestów i okrągłych zdań, ale przecież odbywają się także rozmowy, których treści nie zna nikt poza uczestnikami. Jeśli rolą głowy Kościoła katolickiego, wciąż największej organizacji religijnej na świecie, jest upominanie się o sprawy fundamentalne, nie wolno było nie skorzystać z tej szansy.

Można się oczywiście zastanawiać nad doborem tematu przemówienia – czyli sztucznej inteligencji – ale to już pozostawmy na inną okazję. Dość powiedzieć, że padło tam kilka rzeczy niby oczywistych, ale ujętych wyjątkowo precyzyjnie. Np. że technologia ma służyć człowiekowi, a nie na odwrót. W szczególności, że to ludzie mają decydować, do czego będą danej technologii używać, a nie bezduszna logika zysku albo... sama ta technologia (co w przypadku sztucznej inteligencji wydaje się scenariuszem nad wyraz realistycznym). Franciszek mówił także, że należy zakazać używania sztucznej inteligencji w sferze wojskowości, a przynajmniej takie zastosowania radykalnie ograniczyć. Cytuję: „żadna maszyna nie powinna nigdy decydować, czy odebrać życie istocie ludzkiej".

Ale główna refleksja, spajająca cały papieski wywód, przenikająca każdą jego część, miała charakter ściśle antropologiczny. Ująć by ją można następująco: człowieka nie da się zalgorytmizować, nie da się go opisać wyłącznie ilościowo. Zawsze pozostanie coś, co się takiemu opisowi wymyka. I to coś ma wagę pierwszo-, a nie drugo- albo trzeciorzędną. Tymczasem sztuczna inteligencja myśli wyłącznie algorytmicznie. Nie jest w stanie podejmować decyzji tak jak człowiek – „w sercu". Nie pojmuje więc ludzkiej specyfiki i moralnej autonomii, polega wyłącznie na statystyce i kalkulacji.

Skąd jednak skojarzenie z koncepcjami Girarda? Po pierwsze stąd, że wezwanie do podporządkowania globalnego wirtualnego kapitalizmu etyce opartej na wartościach chrześcijańskich to postulat utopijny. Owszem, rozwój technologiczny przynosi wiele dobra, ale zagrożeń związanych z jego totalną komercjalizacją i militaryzacją jest co najmniej równie dużo, jeśli nie więcej. I lepiej nie będzie, ewentualnie – gorzej. Słowem, to przesłanie także nie zostanie przyjęte. Po drugie natomiast stąd, że współczesne nauki biologiczne i humanistyczne szukają właśnie tego, o czym Franciszek mówi, że jest niemożliwe do odnalezienia. A mianowicie pełni parametrów pozwalających człowieka poznać, przewidzieć jego zachowania, całościowo opisać jego życie biologiczne, kulturowe, społeczne i psychologiczne. W kategoriach neuronaukowych, ekonomicznych, socjologicznych i innych.

Chrześcijaństwo z kolei, w tym przypadku ustami Franciszka, uporczywie podkreśla, że to się nie może udać, bo jest w człowieku jakaś niemierzalna ilościową miarą sfera. To właśnie sprawia, że sztuczna inteligencja nigdy nie będzie w stanie nas do końca zrozumieć. I dlatego też pod żadnym pozorem nie należy zachowywać się tak, jakby była do tego zdolna. Byłby to niezawodny przepis na katastrofę. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

Kraków

ZDJĘCIE? CO ROBI
CO ROBI ZDJĘCIE?
ZDJĘCIE? CO ROBI
CO RO ZDJĘCIE?
ZDJĘCI CO ROBI
CO ROBI ZDJĘCIE?
ZDJĘCIE? CO ROBI

„Co robi zdjęcie?”

Wystawa główna Muzeum Fotografii w Krakowie

MuFo Rakowicka
ul. Rakowicka 22A

mufo.krakow.pl

MUZEUM FOTOGRAFII W KRAKOWIE - INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

REKLAMA